tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 41 (1396)
5-11.10.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Grzegorz W. Kołodko
Ile kosztuje lojalność wobec USA?

Robert Walenciak
Morawiecki gra o życie

Prof. Piotr Kimla
Jakiej demokracji Polacy potrzebują?

Jacek Pałkiewicz
Wołga i dwie Rosje

Kogo zatopi były agent CBA



Artur Chodziński: od Zondacrypto do PiS i Kancelarii Prezydenta

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

NOWY FILM REŻYSERKI „PLANU 75”

RENOIR

reżyseria Chie Hayakawa



W KINACH OD 9 PAŹDZIERNIKA

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

eprasa.pl/f93f182c32



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Warszawiacy nie chcą odwołać Trzaskowskiego

Jeśli ostatnie orędzie Nawrockiego napisała sztuczna inteligencja, to na żywo oglądaliśmy jej słabości. Chyba że wystąpienie było celowo przygotowane pod umiejętności tego, który je dość nieudolnie przeczytał. Tyle nonsensów i sprzeczności w tak krótkim tekście to rekord kompromitujący Kancelarię Prezydenta.

Nawrocki po dwóch miesiącach kluczenia podpisał ustawę, bo weta w sprawie paliw popierało coraz mniej Polaków. Nawet jego wyborcy wiedzą, że przyczyną wysokich cen na stacjach paliw nie jest rząd, ale Donald Trump. Sprawca światowego zamętu ciągle się chwali, że to on załatwił Nawrockiemu prezydenturę. Coś musi być na rzeczy, bo w tym kuriozalnym pod każdym względem orędziu ani razu nie padło nazwisko Trumpa. Wiemy dlaczego. Ilekroć będziemy na stacji tankować, musimy mieć w pamięci sprawcę tej drożyzny. Za doraźne wsparcie kierowców zapłacimy wszyscy. Tak jak wszyscy płacimy krocie za amerykańskie big techy, które ciągle nie płacą u nas należnych podatków.

Czy Nawrocki mógł jeszcze raz zawetować tę ustawę? Mógł. I bardzo chciał, o czym świadczą wypowiedzi jego i urzędników kancelarii jeszcze kilka godzin przed orędziem. Dlaczego więc podpisał ustawę? Powód jest oczywisty. Z matematyką jeszcze nikt nie wygrał. Podobnie jak z coraz bardziej wkurzonymi wyborcami. Gdy się okazało, że Polaków ślepo wierzących w weto jest ok. 30%, trzeba było zwinąć pawi ogon i podpisać.

Mitem podgrzewanym przez obóz prezydencki jest opowieść o niebywale wysokim zaufaniu społeczeństwa. Wystarczy sięgnąć do badań CBOS, by przekonać się, że po pierwszym roku prezydentury wszyscy poprzednicy Nawrockiego cieszyli się dużo większym poparciem. Jeszcze trochę tak bezsensownych albo interesownych wet jak SAFE czy kryptowaluty, a skończy się cierpliwość do Nawrockiego.

Wracam do wyborów prezydenckich i porażki Rafała Trzaskowskiego. Przegrał po fatalnej kampanii, ze sztabem, jakiego największemu wrogowi nie życzę. Z takim sztabem nikt nie miałby szans na zwycięstwo. Trzaskowski poniósł konsekwencje porażki, a sztabowcy? Mają się świetnie. Są nawet ministrami, choć śladu kompetencji u nich nie widać. I będą przy władzy, aż okręt utonie.

Czym zaś różni się Warszawa od Krakowa? Jakością prezydentów. Krakowski poległ z kretesem. A w Warszawie próba zorganizowania referendum skończyła się kompromitacją organizatorów. Zebrali jeszcze mniej podpisów, niż podają. Warszawiacy mają wiele pretensji do władz miasta, ale jak patrzą na tych, którzy mieliby zastąpić Trzaskowskiego, to przybywa mu ocen pozytywnych. I zaufania.

Mam też nadzieję, że po wyroku NSA upadły roszczenia wobec budynku dziennikarzy przy ul. Foksal 3/5 i władze miasta uregulują jego status. I przekażą zarządzanie budynkiem fundacji skupiającej wszystkie organizacje dziennikarskie. A nie jak dotąd tylko SDP.

BĄKOWSKI



eprasa.pl f93f182c32

W NUMERZE

KRAJ

8 Kogo zatopi były agent CBA
Kariera i wiedza Artura Chodzińskiego

12 Morawiecki gra o swoje życie
Czy Rozwój Plus się zwija?

15 Lewica po krakowsku
Refleksje po I turze wyborów

18 Czarny rynek farmaceutyków
Kuszące zyski z podrabiania leków

21 Akademiku, otwórz się
Ubywa miejsc w domach studenckich

25 Walka o podpis
Przepychanki wokół cen paliw

OPINIE

28 Piotr Kimla
Jakiej demokracji Polacy potrzebują?

32 Grzegorz W. Kołodko
Między Iranem a Kubą

HISTORIA

36 Sprawiedliwość w Norymberdze
80 lat od procesu zbrodniarzy III Rzeszy

ZAGRANICA

40 Bułgaria ostrożnie wstaje z kolan
Korespondencja z Sofii

44 Nie ma miejsca na sprzeciw
Kolejne grupy represjonowane w Turcji

ZDROWIE

46 Zrozumieć tik
Codzienność z zespołem Tourette'a

PSYCHOLOGIA

50 Czy możemy skuteczniej zapobiegać samobójstwom?
– rozmowa z dr Darią Biechowską

KULTURA

52 Cały jestem czekaniem
Opowiadania Tomasza Jastruna

55 Qulturalia

66 American Dream Wandy Marzec

SPORT

56 Nadzieja w młodzieżówce
Na kadrę seniorską żal patrzeć

OBSERWACJE

58 Wołga. W poszukiwaniu rosyjskiej duszy
Metropolie rosną, głubinka trwa

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Warszawiacy nie chcą odwołać Trzaskowskiego

31 Jan Widacki
Nożownicy są wśród nas. Chcecie jeszcze rewolwerowców?

35 Andrzej Szahaj
Indie – wielkie rozczarowanie

43 Roman Kurkiewicz
Tu żelazność, tam niezabijalność

49 Tomasz Jastrun
Po pół wieku

61 Wojciech Kuczok
Zalety lalkomanii



44 ZAGRANICA

NIE MA MIEJSCA NA SPRZECIW

Kolejne grupy represjonowane w Turcji



56 SPORT

NADZIEJA W MŁODZIEŻÓWCE

Na kadrę seniorską żal patrzeć



58 OBSERWACJE

WOŁGA. W POSZUKIWANIU ROSYJSKIEJ DUSZY

Metropolie rosną, głubinka trwa



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. HTTPS://WWW.LINKEDIN.COM/IN/ARTURCHODZINSKI

eprasa.pl f93f182c32

Czy Europa wie, jak ułożyć relacje z Rosją?



Przeczytałem obie części rozmowy z prof. Przemysławem Grudzińskim. To jeden z niewielu merytorycznych głosów o świecie i Polsce trzeciej dekady XXI w. Ale i o przyszłości Europy. Głos ważny i odważny. Oby był wysłuchany w MSZ i Kancelarii Premiera. Mam nadzieję, że analizy i konkluzje rozmówcy staną się początkiem poważnej, merytorycznej dyskusji o interesach i przyszłości naszego kraju.

Tadeusz Jędrzejczak

•

Można powtarzać do znudzenia: kraj, na którego terytorium toczy się wojna, jest przegrany od pierwszego dnia walk. Ukraina nigdy nie mogła wygrać tego konfliktu. Mogła co najwyżej się obronić. To raz. Dwa – Polska po wojnie nie będzie się liczyć, bo ci, którzy mają zarobić na odbudowie Ukrainy, już dawno podzielili tort między siebie. Tak było już w Iraku i w Afganistanie. My zostaniemy z rekordowym długiem i zapaścią w gospodarce. No i z nowymi militarnymi zabawkami, które będą historycznym złomem, kiedy zostaną spłacone. A Europa? Po kryzysie paliwowym, którego początek właśnie odczuwamy, będzie błagać Putina o dostawy gazu i ropy. I znając życie, będzie układać się z Rosją, żeby wyjść z recesji, czyli najpierw znikną sankcje, a potem zostanie wznowiony handel, bo Rosja nadal jest rynkiem zbytu, który wchłonie dosłownie wszystko. W interesie Europy będzie wyrwanie rynku rosyjskiego z rąk Chin. A jedynym krajem, który stanie okoniem, będzie Polska. Osamotniona, machająca szabelką w kierunku Rosji. I my, obywatele, będziemy ponosić koszt rusofobii polityków.

Michał Czarnowski

Oczekiwanie na recepty

Miejsko-Gminna Przychodnia w Świeciu przy ul. Wojska Polskiego 80 odmówiła mi 10 sierpnia br. wypisania recept na leki zaordynowane wcześniej przez lekarzy. Uznaję to za akt barbarzyństwa i ciche mordowanie mnie. Wszedłem w 90. rok życia i na stare lata spotyka mnie taka nieczułość i przykrość. Osoby w administracji ośrodka zdrowia są bez serc i ducha, to dramat mojego życia. Odmowa wypisania recept nie mieści się w mojej świadomości. W jakim kraju ja żyję? Gdzie elementarny humanizm? Oświadczam, że do ośrodka zdrowia nie przybędę, bo badania nie są mi potrzebne. Jeśli zaistnieje taka potrzeba, sam się zgłoszę. A wypisanie recepty to konstytucyjny obowiązek służby zdrowia. Mnie to też dotyczy. (…) Byłem krwiodawcą, posiadam najwyższe odznaczenia – Kryształowe Serce, Złoty Krzyż Zasługi i inne. Przez ponad 30 lat byłem aktywnym działaczem PCK, a teraz ośrodek zdrowia odbiera mi leki przyznane przez lekarzy. Superskandal!

Jarosław Rządkowski

Kiedy świętować Dzień Wojska Polskiego?

W rozwoju demokracji nie uniknęliśmy błędu podzielenia środowiska żołnierskiego na żołnierzy dobrych i złych, bo inne wody przepłynęli. Przelanej krwi nie wolno różnicować, zawsze ją trzeba cenić, aby ograniczyć kolejne jej przelewanie i straty ludzi w koniecznej walce z wrogiem Ojczyzny. Dzień Wojska Polskiego obchodzono w rocznicę bitwy pod Lenino 12-13 października 1943 r. Był to chrzest bojowy odradzającego się ludowego Wojska Polskiego. Starcie zbrojne 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki oraz początek zwycięskiego szlaku bojowego WP w II wojnie światowej. Uważam, że nadszedł czas, aby ocalić od zapomnienia to wydarzenie i przywrócić oddanie hołdu i czci żołnierzom, którzy w strasznej wojnie stracili życie w obronie Ojczyzny.

Zbigniew Olszewski, żołnierz przeklęty, syn żołnierza wyklętego, sierota po PRL

ZDJĘCIE TYGODNIA



„Run" – premier Izraela Beniamin Netanjahu i jego rywal wyborczy Gadi Eisenkot gonią Barta Simpsona – bojownika Hamasu. Tel Awiw, 29 września 2026 r.

FOT. JACK GUEZ/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl f93f182c32

PRZEGLĄD TYGODNIOWY

Prezydent Nawrocki pod presją rządu i kierowców zdecydował się podpisać ustawę o podatku od nadzwyczajnych zysków koncernów paliwowych. Ogłosił to w orędziu, w którym ani razu nie wymienił Donalda Trumpa, jedynego sprawcy problemów z paliwem. ● Sąd Okręgowy w Warszawie zgodził się na wydanie listu żelaznego Marcinowi Romanowskiemu, byłemu wiceministrowi sprawiedliwości. Prokuratura zapowiada złożenie zażalenia na decyzję neosędziego Konrada Mielcarka. W mediach społecznościowych wspiera on PiS i Grzegorza Brauna. Jest też aktywnym antyszczepionkowcem. ● Inflacja wzrosła we wrześniu do 4%. ● W ciągu roku działania systemu kaucyjnego zebrano ok. 5 mld puszek i butelek PET. Zbiórką zajmuje się ponad 65 tys. punktów, w tym 23 tys. automatów. ● We wrześniu 2026 r. ważne dokumenty pobytu w Polsce miało 42,8 tys. obywateli Unii Europejskiej, 5,8 tys. obywateli Wielkiej Brytanii i 3,3 tys. obywateli USA („Duży Format"). ● Po wygranej z Francją (3:1) polscy siatkarze obronili tytuł mistrzów Europy i awansowali na Igrzyska Olimpijskie w Los Angeles. Dla trenera Nikoli Grbicia to już 10. medal z reprezentacją Polski. Wilfredo León został uznany za najlepszego zawodnika turnieju (MVP). ● Film „Przez ścianę" w reżyserii Macieja Sobieszczańskiego otrzymał Złote Lwy na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Wyróżniono także producentów filmu: Zbigniewa Domagalskiego oraz Agnieszkę Będkowską. Platynowe Lwy za całokształt twórczości otrzymała Halina Prugar-Ketling. ● Ze 108,6 tys. w roku akademickim 2024/2025 do niespełna 98 tys. spadła liczba studentów zagranicznych w Polsce. ● Minął rok od decyzji o postawieniu Macieja Świrskiego, byłego członka i przewodniczącego KRRiT, przed Trybunałem Stanu, a nie ma jeszcze uzgodnionego składu sędziów („Press"). ● Ogólnopolskie Pogotowie dla Ofiar Przemocy w Rodzinie „Niebieska Linia" wszczyna rocznie ok. 100 tys. procedur Niebieskiej Karty. ● Deficyt Unii Europejskiej w handlu towarami z Chinami wzrósł z 66 mld euro w pierwszym kwartale 2024 r. do 103 mld euro w drugim kwartale 2026 r. W 2025 r. deficyt przekroczył 360 mld euro. ● Według raportu NBP w obiegu w banknotach i monetach jest aktualnie ponad 502 mld zł. W tym w jednogroszówkach 9,1 mld zł, a w dwugroszówkach 3,1 mld zł. ● Pod koniec 2025 r. mieliśmy w Polsce 10 403 osoby, które ukończyły 100 lat.

PRZEBŁYSKI

Biskup poleca wina

Czasy mamy takie, że oszuści nie szanują już niczego. Nawet wino mszalne jest zagrożone. Podróbką może też być chleb używany podczas Eucharystii. Sytuacja zrobiła się tak poważna, że zajęła się nią Konferencja Episkopatu Polski, która powołała zespół ds. weryfikacji materii Eucharystii.



Jak powinno być? Według biskupa bydgoskiego Krzysztofa Włodarczyka wino ma być naturalne, pochodzące z winogron, czyste i niezepsute. Niestety, badania laboratoryjne wykazały, że zdarzają się domieszki i środki konserwujące. A to może skutkować nieważnością Mszy Świętej. Podobne są wymagania wobec chleba używanego podczas Eucharystii. Powinien być czysto pszenny, niekwaszony i świeżo wypieczony. Za zgodą biskupa ordynariusza chorzy kapłani mogą używać moszczu winnego i hostii z obniżoną wartością glutenu. Dla bezpieczeństwa księżom nakazano korzystanie z oficjalnego Wykazu Win.

Uciekają od Kuleszy



Wiedza o tym, że Cezary Kulesza lubi wypić, trafiła pod strzechy. I do kibiców, którzy w czasie meczu Lecha Poznań z Górnikiem Zabrze o Superpuchar powitali go hasłami „Łączy nas wóda" (przerobione hasło PZPN „Łączy nas piłka") i „Czarek alkoholik" z podobizną Kuleszy po spożyciu. Prezes PZPN pił w loży prezydenckiej na Stadionie Narodowym, na wyjazdach z reprezentacją i na mundialu w Katarze. Choć tam obowiązywała prohibicja, Kulesza miał do dyspozycji przemycone przez PZPN skrzynki wódki. I to on decydował, kto może się napić. Trudno więc się dziwić, że od PZPN uciekają sponsorzy. Biedronka po 16 latach, InPost, TCL, a nawet Staropolanka. Może nie chcą być symbolem popitki.

Dumni z siebie

Jak się nie wzruszyć, gdy czytamy, że jedna z pisowskich telewizji obchodzi urodziny. Pełne dwa lata. Powstała za rządów Tuska i dzielnie trwa mimo okropnego reżimu.

Tygodnik „SIECI" i telewizja wPolsce24 są jak bliźniacy. A nawet bardziej niż bracia K.

W ramach uroczystości urodzinowych Marcin Wikło napisał: „Przepełnia mnie duma z tego, co osiągnęliśmy. W sercu mamy Polskę i jej dobro". Pamiętamy, ile tego dobra trafiło przez osiem lat do „SIECI".

„Wesprzyjcie dziennikarstwo śledcze, fundament misji telewizji", apeluje jakiś skromnie znany Wojciech Biedroń. Gość z oryginalnym poczuciem humoru: „Patrzymy władzy na ręce. Tropimy afery. Demaskujemy kłamstwa…". Biedroń nie urodził się wczoraj. Przez osiem lat rządów PiS afer były setki. Niestety, o żadnej z tych afer „SIECI" nie pisały. Bo i jak pisać o dobrodziejach, którzy wpłacali miliony.



FOT. FACEBOOK, YOUTUBE.COM

eprasa.pl f93f182c32



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl
Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

PYTANIE TYGODNIA

Czy nowe kierunki medyczne poprawią sytuację pacjentów?

PROF. MICHAŁ MARKUSZEWSKI,
rektor Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego

Zwiększanie liczby miejsc na studiach lekarskich jest potrzebne, ale powinno być prowadzone w sposób odpowiedzialny i z poszanowaniem standardów jakości kształcenia. Szczególne wątpliwości budzi tworzenie kierunków lekarskich na uczelniach niemedycznych, które nie zawsze dysponują odpowiednią kadrą, zapleczem klinicznym i doświadczeniem w kształceniu medycznym. W medycynie nie możemy sprowadzać edukacji do zwiększania liczby absolwentów. Musimy mieć pewność, że każdy absolwent uzyska kompetencje stosowne do odpowiedzialności, jaką będzie ponosił wobec pacjenta. Jakość kształcenia lekarzy jest bowiem jednym z fundamentów bezpieczeństwa całego systemu ochrony zdrowia.

PROF. JANUSZ URIASZ,
przewodniczący Polskiej Komisji Akredytacyjnej

Polska Komisja Akredytacyjna odpowiada za ocenę jakości kształcenia na wszystkich studiach w Polsce. Zależy nam, aby każdy kierunek zapewniał odpowiednie warunki do zdobywania wiedzy i umiejętności, a kwalifikacje i dyplomy były uznawane w kraju i za granicą. W przypadku kierunków lekarskich ma to szczególne znaczenie, bo jakość edukacji przyszłych lekarzy jest bezpośrednio związana z bezpieczeństwem pacjentów. Dlatego PKA stosuje najwyższe standardy oceny studiów medycznych, uznane przez amerykańską NCFMEA i światową WFME. Kierunki akredytowane ocenione pozytywnie spełniają te wymogi. Na sytuację pacjentów wpływa wiele czynników, a kształcenie lekarzy to tylko jeden z nich. PKA nie odpowiada za politykę państwa w zakresie dobrostanu pacjentów, widzi jednak potrzebę wypracowania jasnej strategii kształcenia lekarzy.

PROF. KRYSPIN MITURA,
chirurg, ordynator Oddziału Chirurgii Ogólnej Szpitala pw. NMP w Siedlcach, Uniwersytet w Siedlcach

Sama liczba absolwentów medycyny nie rozwiąże problemów kadrowych ochrony zdrowia, równie ważna jest jakość kształcenia. Mimo że duże uczelnie od lat kształcą wielu lekarzy, w mniejszych ośrodkach nadal brakuje specjalistów, a zarządzający placówkami mają trudności z obsadzeniem etatów. Kształcenie lekarzy również poza największymi ośrodkami akademickimi może więc wspierać budowanie lokalnych kadr medycznych. Mniejsze ośrodki mogą przy tym stworzyć warunki sprzyjające bliskiemu kontaktowi studentów z pacjentem i codzienną praktyką kliniczną. Potrzeby regionu są ważnym argumentem, ale nie mogą zastępować kryteriów jakościowych – zdecydowanie podstawą każdego kierunku lekarskiego muszą być odpowiednia kadra, baza kliniczna i wysoki poziom kształcenia.

Rozmawiał Maciej Belowski

eprasa.pl f93f182c32

Kogo zatopi były agent CBA

Artur Chodziński: od Zondacrypto do PiS i Kancelarii Prezydenta

Andrzej Sikorski

Tytułowe pytanie wcale nie jest z gatunku political fiction. Jednak aby tak się stało, prokuratura musi najpierw zachęcić do „współpracy" Artura Chodzińskiego, który pracował dla prezesa kontrolowanej przez przestępców giełdy kryptowalut Zondacrypto i odgrywał rolę łącznika z politykami PiS i ludźmi z Kancelarii Prezydenta. To PiS i Karol Nawrocki bronili interesów Zondacrypto, blokując wprowadzenie ustawy regulującej rynek kryptowalut. Zondacrypto sponsorowała konferencję CPAC (Konserwatywnej Akcji Politycznej) w Jasionce, a wydarzenie to było de facto wiecem wyborczym Nawrockiego. Kandydat na prezydenta złożył wówczas publiczne zobowiązanie, że jeśli zostanie głową państwa, nie podpisze ustawy kontrolującej rynek kryptowalut. To Zondacrypto opłaciła Polish-American Strategic Industries Summit, którego organizatorem była propisowska Telewizja Republika. Impreza stanowiła część oficjalnej wizyty prezydenta Nawrockiego w Waszyngtonie we wrześniu 2025 r.

Śledczy nie powinni mieć problemów z nakłonieniem Artura Chodzińskiego do współpracy, bo jeśli rzeczywiście Przemysław Kral sypie, to na pewno opowie o wpływowym i dobrze opłacanym współpracowniku, który za swoje usługi zainkasował pół miliona złotych.

Czując pismo nosem, Chodziński sam zgłosił się do prokuratury. „Pan Artur nie ma żadnych zarzutów, żadne zarzuty na nim nie ciążą, stawiamy się dobrowolnie w prokuraturze w ramach dobrego gestu celem ustalenia tak naprawdę, czego prokuratura chce, biorąc pod uwagę tylko i wyłącznie informacje znajdujące się w przestrzeni medialnej", wyjaśniał pełnomocnik Chodzińskiego mec. Krystian Paderewski.

Takie tłumaczenie jest niedorzeczne w ustach prawnika. To prokurator wzywa podejrzanych i świadków do stawiennictwa (albo korzysta z pomocy policji lub służb) i nie informuje zawczasu o tym, jakie będzie podejmował czynności. A mówienie o „dobrym geście" wobec prokuratury jest zwykłą bezczelnością.

Artur Chodziński pracował dla prezesa Zondacrypto i odgrywał rolę łącznika z politykami PiS i ludźmi z Kancelarii Prezydenta.

Ale Chodzińskiemu tupetu nie brakuje. Gdy 11 września prokuratura poinformowała o przeszukaniu nieruchomości byłego agenta CBA i zarekwirowaniu m.in. sprzętu elektronicznego, oznajmił, że żadnego przeszukania u niego nie było, policjantom zaś przekazał „przygotowane przez siebie wcześniej dokumenty, nośniki danych i inne przedmioty". A przecież to prokurator decyduje, jakie dowody ma zabezpieczyć, a nie osoba, u której ma dojść do przeszukania.

Zapytałem w Prokuraturze Krajowej, jaki status w śledztwie dotyczącym Zondacrypto ma Artur Chodziński i jak przebiegało przeszukanie jego nieruchomości. Dostałem zaskakującą odpowiedź. „Prokuratura nie przeprowadziła dotychczas czynności z udziałem wspomnianej osoby. Udzielenie odpowiedzi na pozostałe pytania nie jest możliwe z uwagi na dobro i tajemnicę postępowania", stwierdziła prokurator Anna Adamiak. Takie stanowisko może wskazywać, że były agent CBA poszedł na współpracę.

Agent do zadań specjalnych

Artur Chodziński, zanim trafił do CBA, był dziennikarzem. Piotr Głuchowski tak pisał o nim w „Gazecie Wyborczej": „Karierę zaczynał w połowie lat 90. we wrocławskim »Słowie Polskim« – dawnym organie PZPR przejętym najpierw przez norweską Orklę, a potem Passauera. W redakcji miał ksywkę »Kurtka«, ponieważ przychodząc do pracy, odpalał komputer, wieszał kurtkę na oparciu – i znikał. »Pozostawione okrycie miało sugerować, że Artur pracuje, tylko jest w toalecie albo na papierosie« – mówi mi teraz G. Drugim, krótkotrwałym miejscem zatrudnienia »Kurtki« był nowo otwarty w 1997 r. dziennik »Puls Biznesu«, a trzecim – wrocławski oddział naszej gazety mieszczący się przy Placu Solnym. Dawni koledzy i koleżanki słabo jednak go stamtąd pamiętają: »Raczej niepozorny, pisał notki, kryminałki, miejską drobnicę«. H: »Nie wzbudzał zaufania. Co innego mówił w oczy, a co innego za plecami. Taki cwany gapa. Tu cię przytulił, tu ci jakąś wiadomość sprzedał, węszył za korzyściami. Rozstaliśmy się z nim bez żalu«".

Gdy PiS utworzyło Centralne Biuro Antykorupcyjne w 2006 r., Chodziński zaciągnął się do walki ze

eprasa.pl f93f182c32



Artur Chodziński spotykał się nie tylko z ludźmi prezydenta, ale i z samym Nawrockim. 11 listopada 2025 r. pozował na tle biało-czerwonych flag z parą prezydencką.

skorumpowanymi politykami i urzędnikami. Według serwisu Służby Specjalne początkowo służył w biurze prasowym, ale „szybko stał się jednym z najbardziej zaufanych ludzi szefostwa CBA, Macieja Wąsika i Ernesta Bejdy, ten ostatni w tamtym czasie kierował wrocławską delegaturą CBA".

„Kurtka" zajmował się m.in. „aferą hazardową", która przetrzebiła pierwszy rząd Donalda Tuska i zakończyła polityczne kariery Zbigniewa Chlebowskiego oraz Mirosława Drzewieckiego. Pracował przy „aferze podsłuchowej", która przyczyniła się do upadku rządu koalicji PO-PSL i przejęcia władzy przez PiS. Zanim wybuchła afera Zondacrypto, Chodziński był już bohaterem mediów.

Cezary Gmyz musiał współpracować z Chodzińskim, bo z wyprzedzeniem wiedział o planowanej akcji CBA.

Onet pisał, że namawiał oskarżonego o nadużycia byłego dyrektora Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej do złożenia zeznań obciążających wpływowego polityka PO Stanisława Gawłowskiego.

W 2015 r. wybuchł kolejny skandal. Chodziński na nocnym dyżurze wprowadził prostytutkę do budynku wrocławskiej delegatury CBA. Twierdził, że kobieta jest jego siostrą, ale nie potrafił tego udowodnić. „To była skandaliczna sytuacja, bo w budynku znajdowała się broń i tajne dokumenty (...). Tak, że postronna osoba nie miała prawa się tam poruszać. Powiem szczerze, że przez 30 lat pracy w różnych służbach nie spotkałem się z taką sytuacją", mówił Onetowi Zbigniew Stawarz, były szef delegatury CBA we Wrocławiu.

Przełożeni odkryli też, że Chodziński ściągnął z bazy CBA informacje, które nie miały żadnego odzwierciedlenia w jego dokumentacji służbowej, czyli nie dotyczyły spraw, którymi sam się zajmował. Podejrzewano, że agent przekazuje tajemnice pisowskim dziennikarzom. Zdaniem serwisu Służby Specjalne „chodziło o przeciek z lutego 2015 r., kiedy to Cezary Gmyz ujawnił meldunki operacyjne CBA w sprawie spotkań z Markiem Falentą zamieszanym w sprawę afery taśmowej".

Szef CBA Paweł Wojtunik zwolnił dyscyplinarnie Chodzińskiego ze służby. Jednocześnie prokuratura wszczęła śledztwo, a podpadnięty agent usłyszał prokuratorskie zarzuty ujawnienia tajnych informacji. Jego pełnomocnikiem był Ernest Bejda, zaufany prawnik PiS, niedoszły poseł tej partii (startował w wyborach w 2011 r.), współtwórca CBA i jego wiceszef w latach 2006-2009.

Jednak gdy PiS doszło do władzy w 2015 r., wszystkie sprawy Chodzińskiego zostały umorzone, a ten wrócił do służby w glorii chwały. „Artur Chodziński miał to szczęście, że kumplował się ze starym kierownictwem biura i po złożeniu przeze mnie dymisji zwrócił się do nich o pomoc. A ci nie tylko przyjęli go z powrotem do pracy, ale zwolnili z roboty funkcjonariuszy, którzy prowadzili

eprasa.pl f93f182c32

postępowanie przeciwko niemu", tłumaczył w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" Paweł Wojtunik.

Wedle ustaleń „GW" to Chodziński kierował grupą realizacyjną CBA, która jesienią 2020 r. zatrzymała kilkanaście osób, w tym Romana Giertycha, w związku z głośną sprawą rzekomego wyprowadzenia ponad 90 mln zł ze spółki Polnord. Jak wiemy, była to polityczna ustawka mająca skompromitować znienawidzonego przez Jarosława Kaczyńskiego prawnika. Chodziński kierował też akcją we włoskim miasteczku Velletri niedaleko Rzymu, gdzie agenci CBA w asyście miejscowych służb dokonali przeszukania domu należącego do Barbary Giertych. Wszystko to na miejscu relacjonował berliński korespondent TVP Cezary Gmyz. Musiał on współpracować z Chodzińskim, bo z wyprzedzeniem wiedział o planowanej akcji CBA. Pisowski propagandysta porzucił placówkę w Niemczech, a na delegacji do Włoch jako cel wyjazdu wpisał „przeszukanie willi Romana Giertycha".

W październiku 2025 r. w Katowicach odbywał się kongres PiS. W tym samym czasie w jednym z apartamentów w stolicy Śląska zorganizowano suto zakrapianą „patriotyczną domówkę". Bawili się na niej wspólnie politycy PiS (m.in. Michał Dworczyk, Piotr Müller, Sebastian Kaleta i Janusz Cieszyński), pisowscy dziennikarze (Jacek Karnowski oraz Michał Adamczyk), sfraternizowani z PiS ludzie służb specjalnych (m.in. były wiceszef CBA Daniel Karpeta i były wiceszef ABW płk Lech Wojciechowski), a także biznesmeni rozpracowywani przez służby w czasach rządów PiS (Piotr Wojtyczka i Radosław Tadajewski). Pojawił się również Chodziński (był prelegentem na kongresie PiS), który jako agent CBA kilka lat wcześniej inwigilował kolegów od kieliszka. Towarzystwo musiało mieć nieźle w czubie, bo straciło czujność i dało się sfotografować reporterom „Faktu".

Człowiek na posyłki

Chodziński odszedł z CBA w 2023 r. Nie wiódł sielskiego życia emeryta, próbował szczęścia w biznesie. Założył własną firmę doradczą, a oprócz tego został wspólnikiem pisowskich dziennikarzy Michała Karnowskiego, Michała Adamczyka i Marcina Tulickiego w spółce Trzej Muszkieterowie, wydawcy politycznego kanału TAK! na YouTubie.



Chodziński brał udział jako panelista w dyskusji o przeciwdziałaniu wojnie hybrydowej i bezpieczeństwie struktur państwowych. Forum Samorządowe, 25-26 listopada 2025 r.

W rozmowie z „GW" Chodziński twierdził, że w połowie maja 2025 r. zadzwonił do niego Przemysław Kral z propozycją współpracy biznesowej. Numer telefonu byłego agenta CBA Kral miał dostać od niewymienionego z nazwiska wspólnego znajomego z branży biznesowej. Według przedstawionej relacji Chodziński z szefem Zondacrypto spotkał się po raz pierwszy 16 czerwca w Monako. Współpraca polegała na tym, że raz lub dwa razy w miesiącu spotykał się z Kralem w różnych miejscach w Europie, a ten zlecał mu analizowanie dokumentów i zbieranie informacji „z jawnych, ogólnie dostępnych źródeł". Szczegółów nie zdradził, zasłaniając się poufnością zwartej umowy.

Przy tym byłemu agentowi CBA nie przeszkadzały medialne doniesienia o szemranej działalności giełdy kryptowalut, za którą stali przestępcy, bo – jak twierdził – „gdy coś się pojawiało", zawsze prosił o wyjaśnienia, a Kral pokazywał mu „aktualne dokumenty o stałej współpracy z policją, ABW, Krajową Administracją Skarbową czy Generalnym Inspektorem Informacji Finansowej" (sic!).

Wedle ustaleń dziennikarzy Wirtualnej Polski i TVN 24 Kral i Chodziński poznali się poprzez związanego z Telewizją Republika Cezarego Gmyza. W marcu 2026 r. biznesmeni wspólnie oglądali w Monachium mecz Bayernu z Atalantą Bergamo w ramach Ligi Mistrzów. W kwietniu Chodziński zameldował Kralowi, że jest już po spotkaniu z „doradcą z Biura Bezpieczeństwa Narodowego", który prosił go o opinię w sprawie tekstu Szymona Jadczaka z WP (prawdopodobnie chodziło o artykuł na temat problemów Zondacrypto z wypłacalnością). Chodziński zapewnił Krala, że „uspokoił jak trzeba" swojego rozmówcę i jest umówiony na rozmowę ze Sławomirem Cenckiewiczem, szefem BBN, i jeszcze jedną osobą (niewymienioną z nazwiska) z Kancelarii Prezydenta. Chodziński spotykał się nie tylko z ludźmi prezydenta, ale i z samym Karolem Nawrockim. Na zdjęciu zrobionym z okazji 11 Listopada pozował na tle biało-czerwonych flag z parą prezydencką.

FOT. LINKEDIN/ARTUR CHODZIŃSKI, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f93f182c32

Inny trop łączący Chodzińskiego z głową państwa wskazali Konrad Piasecki i Maja Wójcikowska w „Podcaście politycznym" TVN 24+. Podobno za tajemniczym kontem „John Bingham" w serwisie X, rozpowszechniającym treści hejterskie, zachwalające PiS i uderzające w obóz rządzący, stoi były agent CBA. Dziennikarze przypomnieli zdjęcie ubłoconej prezydenckiej limuzyny zrobione na płycie lotniska w Rydze przy okazji wizyty Karola Nawrockiego w tym kraju, które zamieścił „John Bingham". Wybuchła wtedy ogólnonarodowa awantura, a politycy PiS i prezydencki minister Marcin Przydacz oskarżyli Radosława Sikorskiego o prowokację i uderzenie w godność prezydenta. I choć MSZ tłumaczyło, że za transport Nawrockiego odpowiadali gospodarze, nie uspokoiło to emocji.

„To zdjęcie musiał zrobić ktoś, moim zdaniem, z bliskiego otoczenia Karola Nawrockiego (…). To nie jest tak, że przeciętny człowiek, stojąc tak blisko, może zrobić zdjęcie samochodu, do którego wsiądzie za chwilę prezydent (…). Są tacy, którzy uważają, że jeśli to zdjęcie pojawiło się na profilu Chodzińskiego, może to oznaczać, że on ma na tyle bliskie relacje z kimś z Pałacu Prezydenckiego lub że któryś z ministrów prezydenckich zrobił to zdjęcie, przesłał Chodzińskiemu, a ten wrzucił to do obiegu publicznego", zastanawiał się Konrad Piasecki.

Wiemy, że Kral dzięki Chodzińskiemu miał dojścia do innych polityków prawicy, m.in. Zbigniewa Ziobry i Michała Moskala. Byłemu ministrowi sprawiedliwości i prokuratorowi generalnemu szef Zondacrypto przelał na konto jego fundacji 450 tys. zł. Ziobro twierdził, że wziął pieniądze od Krala (którego nie znał i nie widział nigdy na oczy), bo jego środowisko potrzebowało środków na walkę prawną i medialną z autorytarnymi działaniami rządu Tuska. Czyli Ziobro musiał opłacać pieniędzmi Krala nie tylko prawników broniących aferzystów Funduszu Sprawiedliwości, ale też dziennikarzy przygotowujących przychylne im materiały. Na pewno były minister ma za wykonane usługi faktury, bo jeśli płacił „pod stołem", to szykują mu się kolejne zarzuty.

Poseł Moskal i fundacja widmo

Równie ciekawie w relacji byłego agenta CBA wyglądały kontakty Krala z Moskalem.

„Kral pytał mnie, czy znam jakiegoś polityka, który rozumie cokolwiek z nowych technologii finansowych, takich jak kryptowaluty. Dwa tygodnie wcześniej na jakiejś konferencji poznałem posła Moskala. Opowiadał wtedy, czym się zajmuje, co go interesuje. Kryptowaluty i w ogóle nowe technologie były jedną z takich rzeczy. Powiedziałem o nim Kralowi i zaproponowałem, żeby przyjechał do Warszawy, to ich umówię. Kral nie chciał przyjeżdżać do Polski, zaprosił posła na Ibizę, gdzie akurat był na wakacjach. Poseł zgodził się na takie spotkanie. Powiedział, że pozna się z jakimś praktykiem. Polecieliśmy na Ibizę. Wylądowaliśmy po południu jednego dnia, zjedliśmy z Kralem kolację, przenocowaliśmy w hotelu i następnego dnia rano wróciliśmy do kraju", mówił Chodziński w rozmowie z „GW".

Kral dzięki Chodzińskiemu miał dojścia do polityków prawicy, m.in. Zbigniewa Ziobry i Michała Moskala.

Były agent CBA twierdził, że to on opłacił Moskalowi podróż na Ibizę, a poseł PiS tuż po powrocie, jeszcze na lotnisku, wyciągnął z kieszeni 3 tys. zł i oddał mu te pieniądze. Chodziński nie widział w tym niczego niestosownego. Wręcz przeciwnie, uznał, że „to jest normalne, legalne i praktykowane wśród znajomych".

Relacjonując spotkanie Krala z Moskalem, Chodziński wspomniał o tajemniczej fundacji posła PiS. „Przemysław Kral mówił o sobie, a Moskal o sobie i swojej fundacji. Kral zastanawiał się, czy nie przysłać pracowników Zondacrypto w charakterze prelegentów na konferencję organizowaną przez fundację posła Moskala. Rozmawiali też o tym, czy firma Przemysława Krala nie zostałaby oficjalnym sponsorem tej konferencji. Ostatecznie do tego nie doszło", mówił były agent CBA.

Problem w tym, że w oświadczeniu majątkowym Michał Moskal nie wykazał, że jest związany z jakąkolwiek fundacją. Prawdopodobnie zaufany poseł prezesa Jarosława Kaczyńskiego kieruje z tylnego siedzenia Fundacją Instytut im. Kazimierza Promyka, za rządów PiS hojnie wspieraną publicznymi pieniędzmi.

Fundację w 2019 r. założyła wraz ze znajomymi z Niezależnego Zrzeszenia Studentów (NSZ) ówczesna narzeczona, a teraz żona Moskala – Maria Cholewińska. O parze zrobiło się głośno w styczniu 2019 r., po tym jak media ujawniły, że zakochani zjechali 960 m pod ziemię szybem w lubelskiej kopalni Bogdanka, by się zaręczyć. W czasach władzy PiS Cholewińska zrobiła zawrotną karierę. Pracowała w Państwowym Instytucie Geologicznym, Narodowym Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, PKP Intercity, a nawet została dyrektorką w koncernie miedziowym KGHM. Miała wtedy zaledwie 28 lat.

Moskal nie zorganizował konferencji wspólnie z Zondacrypto, ale zgłosił poprawki do rządowej ustawy o rynku kryptowalut, które były w interesie Przemysława Krala i które wcześniej z nim konsultował. A wszystko to oczywiście za pośrednictwem Chodzińskiego. Ten – jak ujawnił Onet – założył fałszywe konto na jednym z komunikatorów jako „Stan Skalski", od nazwiska słynnego pilota z czasów II wojny światowej. Oburzyło to bardzo Janusza Kowalskiego. „Jestem w szoku. Poprawki przygotowane przeze mnie w imieniu Klubu Parlamentarnego PiS trafiły do człowieka pracującego dla Krala i do samego Krala", oznajmił poseł, który odszedł z klubu parlamentarnego PiS w atmosferze podejrzeń o kontakty z Zondacrypto.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl f93f182c32

Morawiecki gra o swoje życie

Rozwój Plus czy nadchodzi czas zwijania?



Na ile lojalne będzie zaplecze Morawieckiego? Ilu, patrząc na sondaże, myśli, jak wrócić do PiS, jak teraz się wycofać?

Robert Walenciak

Mamy początek października 2026 r. Projekt polityczny Mateusza Morawieckiego wchodzi w decydujący czas. Najbliższe tygodnie rozstrzygną, czy się obroni, czy zacznie obumierać.

15-16 października Rozwój Plus ma się przekształcić w partię polityczną i to wydarzenie ma tchnąć w całą inicjatywę nowe siły. Ale czy ktoś w to wierzy? Przemysław Czarnek, kandydat PiS na premiera, też przecież postać mocno zużyta, opowiada dziennikarzom, że już rozmawia z czterema posłami ugrupowania Morawieckiego: „Jeden już wrócił do PiS, reszta patrzy na to, kiedy wrócić. Kiedy ma się poparcie na poziomie 3,4%, to się nie dziwię. Myślą, jak wrócić, bo teraz trzeba się z tego jakoś wycofać".

Morawiecki ripostuje, że PiS to dzisiaj „suwpolizacja" i Zondacrypto. I że przechodzą do niego samorządowcy z PiS. Wytacza zatem najcięższe działa. Ale czy skutecznie? Wojna PiS kontra Rozwój Plus wchodzi więc w kolejny etap.

•

Eksperci, z którymi rozmawialiśmy, wielkiego sukcesu inicjatywie Morawieckiego nie wróżą. Prof. Robert Alberski z Uniwersytetu Wrocławskiego widzi pewne szanse, ale zależą one od wielu czynników. Po pierwsze, Morawiecki musi wejść do Sejmu.

„Wyniku dwucyfrowego się nie spodziewam – mówi prof. Alberski. – Ale na pewno iluś wyborców matce partii odbije. Bo wygląda to tak, że PiS zaczęło ścigać się z konfederatami, skręciło jeszcze bardziej na prawo i trochę pisowskich wyborców bardziej umiarkowanych jest do zagospodarowania. Drugie źródło: można ewentualnie spróbować zagospodarować sieroty po Trzeciej Drodze. Część tych wyborców wróci do Koalicji Obywatelskiej, bo w roku 2023 głosowała taktycznie, część tego elektoratu to wyborcy PSL. Ale są też tacy, którzy mówili i mówią, że obecnego duopolu nie trawią.

eprasa.pl f93f182c32

Część z nich idzie zatem na lewo, część do Konfederacji, a część może iść do Morawieckiego, który próbuje ten duopol jakoś rozbić. I z tych wszystkich grup może te 6-7 pkt się uzbiera".

A jeżeli już uda się Morawieckiemu prześliznąć do Sejmu, musi liczyć na jeszcze jedno: dobry układ sił. „Żeby była sytuacja, w której mandaty tak się rozłożą, że Morawiecki ze swoim ugrupowaniem będzie języczkiem u wagi – dopowiada prof. Alberski. – Wtedy to on będzie rozdawał karty. I jest to właściwie jedyny scenariusz, który daje mu możliwość rzeczywiście pozostać w największej polityce".

Dużo bardziej sceptycznie na możliwości Rozwoju Plus zapatruje się prof. Rafał Chwedoruk: „Myślę, że szanse na przetrwanie partii Morawieckiego są minimalne. Z wielu powodów. Po pierwsze, żyjemy w stabilnym systemie partyjnym. Migracje wyborców między partiami są bardzo trudne. Po drugie, trudno wskazać jakiekolwiek różnice pomiędzy Morawieckim i jego zapleczem a PiS. Jeśli są, to trzeba wielkiego szkła powiększającego, żeby je dostrzec. Warto zwrócić uwagę, że Morawiecki, nawet jak zerwał z PiS, w kluczowych sprawach nie szuka różnicy. Vide kwestia imigrancka, kwestia ukraińska… Wreszcie – elektorat PiS. Jest go dużo mniej, zarówno ze względów demograficznych, jak i ze względu na odpływ w stronę obu Konfederacji. Ci, którzy zostali, to z reguły wyborcy 60+, którzy przez lata byli socjalizowani przez swoje ugrupowanie w kulcie jedności i lojalności. Skutecznie – przypominam spektakularną klęskę rozłamu Zbigniewa Ziobry. Dlatego tak trudno zrozumieć dużo mniej wyrazistego od Ziobry Mateusza Morawieckiego. Moim zdaniem interpretacja może być tylko jedna – jest to po prostu dramatyczna walka o przetrwanie samego Morawieckiego, który przestał być na prawicy komukolwiek do czegokolwiek potrzebny. Wręcz stał się przeszkodą w relacjach PiS z Konfederacją".

•

Z dzisiejszej perspektywy wyraźnie widać, że Kaczyński traktował Morawieckiego jako człowieka do wykonania zadania, do kierowania rządem. A po przegranych wyborach uznał, że trzeba go odesłać na tyły. Ale Morawiecki tej roli nie zaakceptował. Uznał się za człowieka numer 2 w PiS, za naturalnego następcę prezesa.

Tylko czy dobrze odczytał znaki czasu? I swoją moc? Na pewno miał i ma dwa atuty. Po pierwsze, rozpoznawalność. Był premierem sześć lat, każdy w Polsce go kojarzy. Po drugie, jest finansowo niezależny. „To człowiek, który jest w rewelacyjnej sytuacji – mówi więc prof. Wojciech Peszyński z UMK. – Bo posiada olbrzymie pieniądze. On sobie sam tę partię finansuje, nie potrzebuje dotacji. I jeżeli np. jego partia nie wejdzie do Sejmu, on sobie spokojnie da radę poza polityką. Ma gdzie spadać".

Prof. Rafał Chwedoruk: Szanse na przetrwanie partii Morawieckiego są minimalne.

Sześć lat premierowania, rozpoznawalność, pieniądze – to najwyraźniej wprowadziło Morawieckiego we własny świat.

Widać to było po przegranych wyborach, gdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego musi oddać władzę. A potem, gdy uczestniczył w upiornej farsie, nazwanej rządem dwutygodniowym. Zapewniał przy tym, że prowadzi rozmowy i może uzyska w Sejmie większość. Choć każdy wiedział, że ten rząd jest po to, żeby załatwić dla PiS ostatnie sprawy, dopiąć umowy, zrobić „porządek" z papierami, no i utrudnić Tuskowi co się da. Mieliśmy zatem w tym rządzie minister kultury, która dziś szczeka w Sejmie, albo posła PiS w roli ministra finansów. A podatników te dwa tygodnie kosztowały niemal 785 tys. zł brutto, jako wynagrodzenie premiera i ministrów, oraz 534 tys. zł ekwiwalentów za niewykorzystane urlopy. Ponad 1,3 mln zł! Za dwa tygodnie „pracy"!

Potem mogliśmy się przekonać, że Morawiecki nie potrafi przystosować się do nowej rzeczywistości i do nowej sytuacji PiS. Też przecież określonej wzrostem wpływów obu Konfederacji i widocznym dla wszystkich spadkiem sił witalnych Jarosława Kaczyńskiego.

„Ten rozłam jest jednym z dowodów, że to ostatnia prosta – ocenia Rafał Chwedoruk. – Ostatnia prosta w wykonaniu Kaczyńskiego. Że walka toczy się o to, jak będzie wyglądał w partii mechanizm sukcesji. Mówiąc wprost, czy to Kaczyński faktycznie wskaże swojego następcę, czy wszystko pójdzie na żywioł. I Morawiecki zrozumiał, że nawet nie będzie w gronie pretendentów".

Ale czy nie postąpił pochopnie? Miejmy świadomość – Morawiecki jest wprawdzie rozpoznawalny, ale miłością ludu się nie cieszy. Ma fatalną opinię technokraty, bankstera, a na dodatek osoby opływającej w miliony i wyjątkowo niewiarygodnej. Na koncie ma przegrane sprawy sądowe za kłamstwa. Puste obietnice o promach na Bałtyku, o samochodach elektrycznych, programy „Batory", „Mosty Plus", „Cyberpark", 100 obwodnic… Toteż nie wierzą mu ani wyborcy Koalicji 15 Października, ani wyborcy obu Konfederacji, a teraz coraz sceptyczniej patrzą na niego wyborcy PiS. Jeżeli w polityce ci nie wierzą, to nie istniejesz.

Dużo też mówiono o tym, że Morawiecki wyprowadził z PiS 40 parlamentarzystów. Ale jeżeli przyjrzymy się jego ekipie, są to przede wszystkim ludzie z jego rządu, ministrowie i wiceministrowie. Urzędnicy, bardziej pracownicy korporacji niż działacze z ludu – czy można więc się spodziewać, że wzbudzą emocje wyborców?

Rafał Chwedoruk nie może temu się nadziwić: „Morawiecki wchodzi w swoisty trójkąt bermudzki polskiej polityki. Trójkąt bermudzki wyznaczony przez wierzchołki w postaci PiS, PSL i Platformy. Kto wszedł w tę strefę – znikał. Albo szybko musiał uciekać. Gowin, PJN, jeszcze w zamierzchłych czasach

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl f93f182c32

środowisko wokół Halla, Rokity, Komorowskiego… Wszyscy marzyli o formacji umiarkowanej prawicy, konserwatywnej, katolickiej światopoglądowo i mocno kapitalistycznej, rynkowej. I wcześniej czy później każdy musiał zostać albo konserwatystą trochę bardziej wspólnotowym i socjalnym, albo integralnym liberałem. Bardzo wiele takich sierot po PO-PiS krąży. I z niewiadomych przyczyn Mateusz Morawiecki postanowił w tę strefę wejść. Więc myślę, że to jedna z dziwniejszych inicjatyw w polskiej polityce. Owszem, Morawiecki miał jeden atut – rozpoznawalność. Był premierem bardzo długo. Ale po wyborach jakie znaczenie ma były premier?".

Morawiecki jest rozpoznawalny, ale miłością ludu się nie cieszy. Ma opinię technokraty i bankstera.

Prof. Chwedoruk dodaje: „PiS może swoim działaczom oferować mniej i mniej, ale w ogóle może jeszcze oferować cokolwiek. A cóż może zaoferować Mateusz Morawiecki z wyjątkiem wielkiej wyborczej przygody? Uda się albo się nie uda. Każdy tydzień, w którym nie ma rewolucyjnego przełomu, coraz bardziej komplikuje jego sytuację. I coraz liczniejsze grupy działaczy będą się zastanawiały, czy dobrze zrobiły, wiążąc się z nim".

Ale nie wszyscy są tak sceptycznie nastawieni wobec inicjatywy Morawieckiego. „Na mówienie, że on już nic w polityce nie ugra i że już po nim, trochę za wcześnie – studzi emocje prof. Alberski. – Wszystko zależy od najbliższych tygodni. Najpierw jego organizacja musi się jakoś pozbierać, potem zrobić kampanię wyborczą. A mogą to przeprowadzić – będą mieli pieniądze, jest tam kilka osób dobrych organizacyjnie, np. Dworczyk, więc myślę, że to jest do zrobienia. Natomiast jak się ułoży konfiguracja później, w Sejmie, to trochę kwestia szczęścia".

Prof. Wojciech Peszyński uważa z kolei, że wszystkie warianty są jeszcze możliwe: „Jak dotąd Rozwój Plus nie wypracował jakiegoś swojego rdzenia, przekazu, swojego mitu, więc zejście się z PiS jest wciąż możliwe. Owszem, proces rozejścia się zaszedł daleko, ale wariantu, że padną słowa: przepraszamy, idziemy razem, nie można wykluczyć. Dwa tygodnie temu jakiś poseł w Rozwoju Plus głosował za Horałą przeciwko Ociepie, po czym wrócił do PiS. A wcześniej przecież Kaczyński mówił, że wszystkie mosty zostały spalone. Jeżeli zostały spalone, jak po tym moście przed chwilą przeszedł?".

„Jest też druga opcja dla Morawieckiego: samodzielny start – wskazuje prof. Peszyński. – Ale czy jest dla Rozwoju Plus szansa, że za rok przekroczą próg 5%? Nie wiem. Jeżeli się nie określą, nie wypracują jakieś rdzenia, to będzie trudne. Przypominam, w wyborach parlamentarnych głosuje się taktycznie. Wiele osób chcących głosować na Morawieckiego, wiedząc, że ma nikłe szanse na przekroczenie 5%, może taktycznie głosować na PiS. Na silniejszego. Podobnie mogą głosować ci, którzy dziś deklarują się jako zwolennicy Brauna. Wydaje mi się zatem, że PiS nie jest warte 17%, jak mówią sondaże. Ono jest warte dużo więcej".

Wojciech Peszyński mówi również o trzecim możliwym wariancie: Morawiecki dogaduje się z PSL. „W roku 2019 PSL weszło do Sejmu w opcji z Kukizem. W 2023 – z Hołownią. Bo samo nie jest w stanie przekroczyć 5%, mimo że ma struktury, pieniądze i nazwiska. Gdy pójdą z Morawieckim, będą mogli mówić: przełamaliśmy mityczny mur, umiemy się dogadać, mimo że się różnimy. Może to byłoby potrzebne w tej hiperpolaryzacji życia publicznego… Ale nie wiem, czy na to pójdą".

Rafał Chwedoruk uważa ten wariant za absolutnie niemożliwy: „To byłaby groteska! Wicepremier w rządzie Tuska i premier w ekipie Jarosława Kaczyńskiego. Nadzieja na to, że nagle cały stolik zostanie wywrócony! Na razie nic tego nie potwierdza".

•

Jesteśmy więc skazani na tę samą, graną od ponad 20 lat melodię? Nie do końca, bo przecież prawica nie jest już wyłącznie domeną Kaczyńskiego, dzieli się na cztery części. Owszem, ten podział na prawicy to marzenie ekipy Tuska – że wprawdzie prawica ma więcej wyborców, ale D'Hondt, pięcioprocentowy próg i wewnętrzne kłótnie zepchną ją poniżej 230 mandatów. Czy ten scenariusz się ziści? Nie wiemy. Wiemy za to, że im PiS słabsze, tym bardziej rosnąć będą Morawiecki i obie Konfederacje. Bój będzie musiał nastąpić. Ale wiemy, że Morawiecki stanie do niego w niekomfortowej sytuacji.

„Atak Morawieckiego na PiS? Dokładnie na ten moment czeka prezes Kaczyński – tłumaczy Rafał Chwedoruk. – Żeby powiedzieć swoim wyborcom: od początku mówiłem, że w tym wszystkim chodzi tylko i wyłącznie o polityczne deale Morawieckiego z Tuskiem i rozbicie PiS! W tym sensie, cokolwiek Morawiecki zrobi, będzie miał kłopot – jeśli nie będzie atakował PiS, to w zasadzie po co istnieje, skoro się nie różni? A jak zaatakuje frontalnie PiS, Kaczyński będzie kładł twardym wyborcom do głowy: a nie mówiłem od początku, o co w tym chodzi?".

Czy w takim razie Morawiecki w tej wojnie o swoje miejsce na prawicy nie ma żadnych szans? Pewne szanse daje mu Robert Alberski: „Jarosław Kaczyński już nie ma takiego potencjału rażenia. On już nie jest tak mocny jak wtedy, kiedy się pozbywał Gowina. Nie jest już takim demiurgiem, jakim był nawet trzy-cztery lata temu".

Jeszcze dalej idzie Wojciech Peszyński. „To nie jest ten Kaczyński co kiedyś – ocenia. – Po 1 czerwca 2025 r. zmieniły się zasady gry na prawicy. I to, kto jest szefem po prawej stronie i kto będzie kleił pakt senacki".

Może teza o nowym szefie jest zbyt odważna. Ale przyjmijmy ją, przynajmniej częściowo. Prawica to już nie tylko PiS i Kaczyński. To PiS, Rozwój Plus, obie Konfederacje i Pałac Prezydencki. Pięć ośrodków. I gra trwa.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f93f182c32

Lewica po krakowsku

Refleksje po I turze wyborów

Paweł Sękowski



Debata prezydencka na stadionie Wisły Kraków. Nz. Magdalena Biejat i startująca w wyborach Daria Gosek-Popiołek. 20 września 2026 r.

Za nami I tura głosowania w przedterminowych wyborach włodarza miasta w Krakowie. Poszczególni kandydaci otrzymali następujące poparcie: Łukasz Gibała (bezpartyjny) 36,38%, Monika Piątkowska (popierana przez KO i PSL) 29,91%, Michał Drewnicki (PiS) 17,5%, Aleksandra Owca (Razem) 6,91%, Daria Gosek-Popiołek (KW Nowej Lewicy) 4,81%, Michał Klimek (Konfederacja Brauna) 4,11%, Sławomir Pietrzyk (SDPL) 0,37%. W II turze spotkają się Łukasz Gibała i Monika Piątkowska.

Prezydent Krakowa wybierany jest na niepełną, około dwuipółletnią kadencję, tzn. do końca obecnej pięcioletniej kadencji, która upływa wiosną 2029 r. Niniejszy tekst nie stanowi pogłębionej analizy przyczyn i skutków krakowskich wyborów – będzie to raczej garść refleksji z punktu widzenia środowiska krakowskiej inteligencji lewicowej, niezwiązanego wytycznymi określonej partii politycznej.

Wygranych I tury jest troje: Łukasz Gibała, Monika Piątkowska i Aleksandra Owca. Gibała przekonująco wygrał pierwsze starcie, a ponadto jest niekwestionowanym faworytem przed II turą, jako że można się spodziewać, że poprze go zdecydowana większość elektoratów Michała Drewnickiego i Michała Klimka. Wydaje się, że także większość „antyestablishmentowego" elektoratu Aleksandry Owcy. W dodatku to Łukasz Gibała cieszy się największą rozpoznawalnością spośród wszystkich kandydatek i kandydatów w tegorocznych wyborach.

Piątkowska uzyskała znacznie większe poparcie, aniżeli wskazywały na to sondaże, a także przedwyborcze przewidywania mieszkańców i mieszkanek Krakowa. Na początku kampanii była kandydatką stosunkowo mało rozpoznawalną przez osoby, które nie śledzą na bieżąco lokalnej polityki. Ponadto w sposób naturalny i całkowicie od niej niezależny jej kandydatura była osłabiona faktem, że odwołany w tegorocznym referendum prezydent miasta Aleksander Miszalski wywodził się – tak samo jak Monika Piątkowska – z Koalicji Obywatelskiej.

W Piątkowską najmocniej też uderzała krytyka działań rządu Donalda Tuska w skali ogólnopolskiej. W tej sytuacji prawie 30% poparcia jest sukcesem w tym sensie, że wydaje się, iż Piątkowska „wybroniła się". I o ile nie zrealizuje się scenariusz druzgocącej klęski w II turze, może ona liczyć na namaszczenie na kandydatkę KO na prezydenta Krakowa w wyborach w 2029 r. Nawet w wypadku porażki w wyborach 11 października.

Aleksandra Owca uzyskała wynik, który satysfakcjonowałby Razem w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych, a ponadto wygrała pojedynek na lewicy z Darią Gosek-Popiołek.

Kandydat PiS nie wygrał, ale także nie przegrał. Na niełatwym dla partii Jarosława Kaczyńskiego krakowskim terenie uzyskał wynik wyższy od tego, jaki wróżyła mu większość sondaży. Wydaje się, że jest to również najbardziej prawdopodobny kandydat PiS w wyborach w 2029 r. Chyba analogicznie należy ocenić rezultat Michała Klimka, kandydata partii Grzegorza Brauna.

Daria Gosek-Popiołek straciła poparcie pokaźnej części elektoratu, przede wszystkim ideowej lewicowej młodzieży.

eprasa.pl f93f182c32

Przegranych tegorocznych krakowskich wyborów jest dwoje. Przegrał oczywiście Sławomir Pietrzyk, który uzyskał śladowe poparcie, przy wsparciu kanapowej dzisiaj Socjaldemokracji Polskiej oraz przy „wsparciu-niewsparciu" Nowej Fali Joanny Senyszyn (Nowa Fala Pietrzyka nie poparła, ale sama Joanna Senyszyn tak, i to nie z powodu sporów wewnątrz tego środowiska, ale taka była decyzja samej prof. Senyszyn). Pietrzyk jednak nie robił sobie większych nadziei w związku z tegorocznymi wyborami, niczym nie ryzykował i nie wydaje się, by teraz specjalnie się martwił.

Bez wątpienia największą przegraną tych wyborów jest Daria Gosek-Popiołek, kandydatka Nowej Lewicy, i to mimo faktu, że nie jest za tę porażkę osobiście odpowiedzialna – w tym sensie, że w moim przekonaniu, mimo pierwszych bardzo obiecujących sondaży, nie mogła liczyć na dużo lepszy wynik.

Skupmy się na krakowskiej wewnątrzlewicowej batalii Aleksandry Owcy i Darii Gosek-Popiołek. Po pierwsze, obie kandydatki do października 2024 r. wspólnie działały w partii Razem – Daria Gosek-Popiołek odeszła z jej szeregów przy okazji frondy grupy działaczek i działaczy skupionych wokół Magdaleny Biejat, która następnie została kandydatką Nowej Lewicy w wyborach prezydenckich w skali ogólnopolskiej w 2025 r.



Aleksandra Owca wygrała na lewicy z Darią Gosek-Popiołek.

Monika Piątkowska zacięcie walczy, spotyka się z mieszkańcami i mieszkankami Krakowa.

Podobnie jak rok temu przewidywałem prestiżowe zwycięstwo Adriana Zandberga nad Magdaleną Biejat, tak w tym roku nie zdziwiło mnie wcale wyższe miejsce w stawce Aleksandry Owcy niż Darii Gosek-Popiołek (na to, że wyrażałem takie opinie w licznych rozmowach prywatnych, mam kilkudziesięcioro świadków).

O ile w zeszłorocznych wyborach pojawiły się istotne różnice między Biejat a Zandbergiem, przede wszystkim na tle stosunku do polityki rządu Donalda Tuska, o tyle w tegorocznych krakowskich wyborach kandydatki Owca i Gosek-Popiołek były do siebie w warstwie retorycznej bardzo podobne. Z tą różnicą, że Aleksandra Owca pozostała wierna partii, z której się wywodziła, i że otwarcie krytykowała Darię Gosek-Popiołek jako przedstawicielkę obozu aktualnie rządzącego w Polsce, a także w Krakowie, gdzie w radzie miasta większość mają KO i Nowa Lewica.

Z kolei Daria Gosek-Popiołek podkreślała, że jako prezydentka Krakowa miałaby większą sprawczość i skuteczniej mogłaby przeforsowywać lewicowe postulaty, ponieważ lepiej aniżeli Owcy układałaby się jej współpraca z radą miasta, której organizatorzy tegorocznego krakowskiego referendum nie zdołali odwołać.

Problemem Darii Gosek-Popiołek w tych wyborach było to, że straciła poparcie pokaźnej części elektoratu, przede wszystkim ideowej lewicowej młodzieży związanej z krakowską Spółdzielnią „Ogniwo", ze Strajkiem Kobiet, Młodzieżowym Strajkiem Klimatycznym i oczywiście z partią Razem. Polityczna „tragedia" Darii Gosek-Popiołek i całego środowiska Wspólnego Jutra, czyli stowarzyszenia powstałego wokół Magdaleny Biejat po frondzie jesienią 2024 r., polega na tym, że podejmując obiektywnie dobrze uzasadnioną decyzję o odejściu z Razem po to, by mieć wpływ na politykę rządu i nie pozostawać w wiecznej opozycji, te bardzo mocno osadzone w swoich lokalnych środowiskach lewicowych i aktywistycznych osoby utraciły poparcie większości dotąd oddanych zwolenniczek i zwolenników.

Gosek-Popiołek była jako posłanka bardzo aktywna i nie przestała działać na gruncie krakowskim – nadal wszędzie było jej pełno i popierała dokładnie te same sprawy, co przed październikiem 2024 r. Mówiąc brutalnie, nie miało to jednak dla większości jej dotychczasowego elektoratu żadnego znaczenia. Ważne było to, że opuściła Razem i poparła obóz rządzący z Donaldem Tuskiem na czele. Jednocześnie liderki Wspólnego Jutra do dziś nie wstąpiły do Nowej Lewicy.

Czy gdyby Daria Gosek-Popiołek to zrobiła, w jakikolwiek sposób

FOT. ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS, MATEUSZ KOTOWICZ/REPORTER

eprasa.pl f93f182c32

wpłynęłoby to pozytywnie na jej rezultat wyborczy? Nie wydaje się. Dla większości mieszkańców i mieszkanek Krakowa Gosek-Popiołek była kandydatką Nowej Lewicy. Zdecydowana część zapewne trwa w przekonaniu, że jest członkinią tej partii. Natomiast dla większości tych, których poparcie Gosek-Popiołek utraciła, głównym (a często jedynym) powodem zmiany decyzji jest sam fakt, że opuściła ona Razem. Trzeba to bowiem powiedzieć dobitnie: dla elektoratu Razem i szerzej, dla ideowego młodego elektoratu lewicowego – a właśnie na poparciu tych wyborców zbudowała swoją bardzo silną pozycję w Krakowie Daria Gosek-Popiołek – argument większego wpływu na rzeczywistość i większej sprawczości nie jest przekonujący.

Dla tego elektoratu liczy się idealistyczne trwanie przy integralnie lewicowych pryncypiach, a takie stanowisko ma cechować partię Razem. Przecież ta młodzież przyszła do Razem i innych lewicowych aktywistycznych środowisk wtedy, gdy rządziło PiS, nie w nadziei na wpływ na władzę polityczną, która zawsze łączy się z kompromisami, lecz w duchu frontalnego protestu przeciwko ówczesnej prawicowej władzy.

Przypomnijmy, że w 2023 r. Daria Gosek-Popiołek weszła do Sejmu, uzyskując jedyny mandat dla wspólnej listy Nowej Lewicy i Razem z Krakowa, z drugiego miejsca! Cztery lata wcześniej, również z drugiego miejsca, zrobiła lepszy wynik niż krakowska jedynka, przyczyniając się walnie do dwóch lewicowych mandatów z Krakowa. Jaki wynika z tego wniosek? Nie chcę wyciągać wniosków za kandydatkę Darię Gosek-Popiołek – polityczkę ideową, uczciwą i bardzo aktywną. Wydaje się natomiast, że wyniki zeszłorocznych wyborów prezydenta RP i tegorocznych wyborów prezydenta Krakowa jasno pokazują, że z punktu widzenia Nowej Lewicy nie ma większego sensu wzmacnianie podmiotowości Wspólnego Jutra jako bytu ściśle współpracującego, a jednak mocno autonomicznego.

Z drugiej strony kandydaturę Darii Gosek-Popiołek w zupełnie innych lewicowych kręgach – nazwijmy je „starolewicowymi" – osłabiał fakt, że w przeszłości, gdy jeszcze była w Razem, mocno atakowała wieloletniego prezydenta miasta prof. Jacka Majchrowskiego, wywodzącego się przecież z lewicy (choć bezpartyjnego od momentu objęcia urzędu w 2002 r.). W wyborach prezydenta Krakowa wiosną 2024 r., gdy była jeszcze w Razem, Gosek-Popiołek poparła Łukasza Gibałę, który ostatecznie zajął drugie miejsce, a swoją silną pozycję w mieście zbudował na konsekwentnej, wieloletniej totalnej krytyce Jacka Majchrowskiego i jego polityki.

Nie tylko tradycyjny elektorat dawnego SLD, a potem Nowej Lewicy, ale także duża część krakowskich środowisk kulturalnych i naukowych wysoko ocenia osobę prof. Jacka Majchrowskiego i jego prezydenturę. Konsekwentnie popierała go także „Kuźnica" – oraz niżej podpisany. Tymczasem Daria Gosek-Popiołek, wyrażając od wielu lat niezmiennie te same postulaty, jednocześnie odcięła się od Razem, a także od Łukasza Gibały. Nie zmieniła przy tym dotychczasowej niezbyt pochlebnej opinii o prezydenturze Jacka Majchrowskiego ani o skróconej kadencji kolejnego prezydenta Krakowa – Aleksandra Miszalskiego (z którego partią Nowa Lewica tworzy mającą większość koalicję w radzie miasta)…

Trzeba jednak zaznaczyć, że Daria Gosek-Popiołek po odejściu z Razem przestała akcentować krytykę zarówno w stosunku do Jacka Majchrowskiego, jak i do Aleksandra Miszalskiego. Obiektywnie była w bardzo skomplikowanej sytuacji politycznej, która doprowadziła do tego, że uzyskanie przez nią lepszego wyniku wyborczego stanowiło *mission impossible*.

Kto zatem tworzył elektorat Darii Gosek-Popiołek w tegorocznych wyborach? Nie dysponuję żadnymi pogłębionymi analizami ani nawet szacunkowymi danymi, ale stawiam tezę, że były to następujące grupy: część zdyscyplinowanego elektoratu dawnego SLD, dzisiaj Nowej Lewicy (ale chyba mniejszość, bo większość skłaniała się ku Monice Piątkowskiej), część dotychczasowego elektoratu Gosek-Popiołek, zwłaszcza w wieku średnim oraz starszym (ale na pewno mniejszość, bo większość, w tym przygniatająca większość młodzieży, odpłynęła do Aleksandry Owcy, a raczej… pozostała przy Owcy, czyli przy Razem), oraz bardziej lewicowe kręgi Komitetu Obrony Demokracji, złożonego głównie z osób 60+, pamiętających i doceniających wieloletnią, konsekwentną aktywność Darii Gosek-Popiołek na krakowskiej „ulicy". Jak się okazuje, było to za mało, by uzyskać choćby 5% w wyborach.

Elektorat dawnego SLD i Nowej Lewicy, ale też duża część krakowskich środowisk kulturalnych i naukowych, wysoko ocenia prezydenturę prof. Jacka Majchrowskiego.

Przed nami II tura 11 października. Faworytem, jak zostało to wspomniane, jest Łukasz Gibała. Monika Piątkowska zacięcie walczy, spotyka się z mieszkańcami i mieszkankami Krakowa, wydaje się być na fali wznoszącej. Czy to wystarczy, żeby pokonać Łukasza Gibałę? Będzie to bardzo trudne. Mówi się, że atutem Piątkowskiej może być mobilizacja tych, którzy nie wzięli udziału w I turze. Frekwencja 27 września wyniosła 43,5%. Problem w tym, że nie ma absolutnie żadnych podstaw, by uważać, że większość niezdecydowanych i tych, którzy nie wzięli udziału w I turze, skłania się bardziej ku Monice Piątkowskiej aniżeli ku Łukaszowi Gibale. Jest więc Łukasz Gibała nie tylko faworytem, ale i faworytem zdecydowanym, co oczywiście nie oznacza, że zwycięstwo ma w kieszeni.

Paweł Sękowski – prezes Stowarzyszenia „Kuźnica", redaktor naczelny kwartalnika „Zdanie", historyk, adiunkt w Instytucie Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego

eprasa.pl f93f182c32

Czarny rynek farmaceutyków

Prawdziwe miliony na podrabianych lekach

Marek Czarkowski



We wrześniu 2025 r. w Szczecinie funkcjonariusze CBŚP zabezpieczyli wyroby warte 20 mln zł.

W połowie września 2025 r. funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego Policji, działając na polecenie Zachodniopomorskiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu do Spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Szczecinie, weszli do szczecińskiego budynku, w którym zamiast zwykłego magazynu znajdowała się linia do produkcji leków. Znaleziono prasy do tabletek, urządzenia do napełniania ampułek, maszyny pakujące, blistry i fiolki. Na miejscu funkcjonariusze zabezpieczyli wyroby warte co najmniej 20 mln zł.

Asortyment obejmował sterydy anaboliczno-androgenne, selektywne modulatory receptora androgenowego (SARMs), z których żaden nie został dotychczas oficjalnie zarejestrowany i dopuszczony do obrotu jako lek, peptydy, środki na potencję i cukrzycę oraz pseudoefedrynę.

Według śledczych fabryka działała od 2021 r. Wśród ośmiu zatrzymanych byli zawodowy żołnierz, który służył w Żandarmerii Wojskowej, policjantka, funkcjonariusz policyjnej jednostki antyterrorystycznej oraz pracownica ochrony zdrowia. Na czele grupy stał Robert B., który odpowiadał za zaopatrzenie i nadzór nad produkcją. Skład tej ekipy każe postawić pytania o bezpieczeństwo produkcji i obrotu farmaceutykami w naszym kraju. A także o gwarancje bezpieczeństwa, jakie mogą dać tzw. służby.

Szczecińska wytwórnia fałszywych leków była największą z dotychczas zlikwidowanych w Polsce. Był to też zapewne wierzchołek góry lodowej, gdyż proceder fałszowania leków jest niezwykle dochodowy. Według szacunków zachodnich służb jest on od 10 do 20 razy bardziej opłacalny niż handel narkotykami, przy znacznie niższych wymiarach kar grożących za tego rodzaju proceder.

W takich sprawach niezwykle rzadko dochodzi do procesów. A jeśli już, to na ławie oskarżonych zasiadają najczęściej osoby z wyższym wykształceniem, a nawet z tytułami naukowymi. Jest to absolutne przeciwieństwo gangsterów trudniących się przemytem narkotyków.

Pieniądze, które kuszą

W lutym 2022 r. funkcjonariusze CBŚP rozbili w Poznaniu zorganizowaną grupę przestępczą, która co najmniej od stycznia 2018 r. sprowadzała z Azji i innych państw dziesiątki ton podrabianych produktów leczniczych. Towar był następnie sprzedawany za pośrednictwem stron internetowych odbiorcom w Polsce i za granicą.

Zatrzymano 34 osoby, a wartość zabezpieczonych leków oszacowano na co najmniej 40 mln zł. Zarzut kierowania zorganizowaną grupą przestępczą usłyszały dwie osoby. Publicznie dostępne informacje nie wskazują, aby w tej sprawie zapadł jakikolwiek wyrok. Wedle ostatnich oficjalnych komunikatów postępowanie było kontynuowane i miało charakter rozwojowy.

W lipcu 2026 r. funkcjonariusze policji, działając na zlecenie Prokuratury Regionalnej w Katowicach, zatrzymali 12 członków zorganizowanej grupy przestępczej wprowadzającej do obrotu sfałszowane wyroby farmaceutyczne za pośrednictwem forów internetowych, zamkniętych grup na komunikatorach internetowych i portalach społecznościowych oraz licznych stron internetowych. W trakcie tej operacji zlikwidowano nielegalne laboratorium i miejsce przepakowywania farmaceutyków przemycanych z Chin. Grupa wysłała ponad 15 tys. przesyłek o czarnorynkowej wartości przeszło 15 mln zł. Oferta

eprasa.pl f93f182c32

obejmowała leki hormonalne, psychotropowe i na potencję.

Prokuratura Regionalna w Katowicach wystąpiła do sądu o tymczasowe aresztowanie czterech podejrzanych, a sąd rejonowy uwzględnił wszystkie wnioski i zastosował wobec tych osób trzymiesięczny areszt. Pozostałych objęto dozorem policyjnym.

W tym samym miesiącu Centralne Biuro Śledcze Policji zatrzymało w województwie śląskim trzy osoby (kobietę oraz 33-latka i 64-latka), które oferowały pochodzące z nielegalnej produkcji hormony wzrostu, środki stosowane w leczeniu otyłości oraz sterydy anaboliczne.

W sierpniu br. policjanci działający pod nadzorem Prokuratury Okręgowej w Bydgoszczy przerwali proceder wprowadzania do obrotu bez zezwolenia produktów leczniczych, środków farmaceutycznych i substancji psychotropowych sprzedawanych przez internet. Zatrzymano dziewięć osób, którym postawiono 24 zarzuty. Wobec dwóch osób zastosowano areszt tymczasowy, wobec czterech innych środki wolnościowe. Zabezpieczono mienie o wartości ponad 127 tys. zł. Podejrzani oferowali substancje psychotropowe, stymulanty i sterydy anaboliczno-androgenne.

To tylko garść przykładów ilustrujących funkcjonowanie podziemia farmaceutycznego w naszym kraju. W bogatych państwach Unii Europejskiej jest gorzej. Unijny urząd ds. własności intelektualnej szacował, że w latach 2012-2016 utracona sprzedaż europejskiej branży farmaceutycznej związana z podrabianiem leków sięgnęła ok. 10,2 mld euro rocznie. Przy czym był to rachunek strat producentów leków, a nie rachunek szkód medycznych wyrządzonych pacjentom.

Z kolei Europol – czyli agencja wspierająca współpracę organów ścigania w Unii Europejskiej – podał, że podczas operacji SHIELD VI, prowadzonej od kwietnia do listopada 2025 r., przejęto leki o wartości ponad 33 mln euro, wszczęto 907 śledztw i zidentyfikowano dziesiątki grup przestępczych.

Jak dotąd nie ma wiarygodnych szacunków dotyczących skali sprzedaży sfałszowanych leków w Polsce. Nielegalny towar w wykrywanych sprawach wart jest dziesiątki milionów złotych, a w 2024 r. odnotowano 670 przestępstw w szeroko rozumianym obszarze przestępczości farmaceutycznej. Nie wiadomo, ile przestępcy zarabiają rocznie na tym procederze – 1 mld, a może 5 mld zł. Nasz kraj wydaje się zresztą dość bezpiecznym miejscem dla osobników gotowych łamać prawo na tym polu.

Trzeba pamiętać, że podziemie farmaceutyczne to nie są opowieści o pojedynczych paczkach podejrzanych tabletek. To stara jak świat historia wielkich pieniędzy i rynku, który wykorzystuje trzy potężne atuty: nadzieję na szybkie wyleczenie, internetową anonimowość i legalną infrastrukturę dostaw.

Sprzedawca może udawać lekarza, magazyn będzie wyglądał jak solidna hurtownia, a produkt dotrze do odbiorcy za pośrednictwem firmy kurierskiej lub paczkomatu. Dopiero po otwarciu fiolki lub wyjęciu tabletki okazuje się, że między deklaracją na etykiecie a zawartością przesyłki nie ma żadnej zgodności.

Rynkowe hity

Gdy w marcu 1998 r. w aptekach pojawił się pierwszy lek na potencję, czyli Viagra wyprodukowana przez koncern farmaceutyczny Pfizer, stało się jasne, że Amerykanie zarobią na nim nie dziesiątki, lecz setki miliardów dolarów. Nic dziwnego, że konkurenci rzucili się nadrabiać zaległości, by choć trochę uszczknąć z tego ogromnego tortu.

W 2002 r. na rynku pojawił się Cialis wyprodukowany przez koncern Eli Lilly, a rok później koncerny Bayer, GlaxoSmithKline i Schering-Plough wprowadziły do obrotu słynną Levitrę, która działała szybciej niż produkt Pfizera.

Znamienne, że zaledwie miesiąc po rozpoczęciu sprzedaży Viagry służby celne Tajlandii, Kambodży oraz Wielkiej Brytanii zarejestrowały pierwsze próby przemytu nielegalnie wyprodukowanych tam tabletek. Popularność leku, jego wysoka cena (początkowo od kilkunastu do 20 dol. za tabletkę) oraz wstyd pacjentów przed wizytą u lekarza stworzyły ogromny popyt na nielegalnym rynku.

Przeprowadzone w 2011 r. przez koncern Pfizer badania wykazały, że



W sierpniu br. policjanci w Bydgoszczy zatrzymali dziewięć osób, którym postawiono 24 zarzuty. Podejrzani oferowali substancje psychotropowe, stymulanty i sterydy anaboliczno-androgenne.

FOT. CBŚP

eprasa.pl f93f182c32

ponad 80% tabletek Viagry zamawianych przez internet z nielegalnych lub niezarejestrowanych aptek to były podróbki. I nie zawsze zawierały właściwą substancję czynną – czyli sildenafil.

Dziś ten problem zniknął, gdyż wygasła ochrona patentowa Viagry i w niemal każdej aptece, także w Polsce, można kupić całą baterię leków na potencję, bez recepty, za rozsądną cenę i oczywiście „w celach rekreacyjnych".

Kolejnym Świętym Graalem branży farmaceutycznej stały się leki na odchudzanie. Gdy na przełomie grudnia 2017 i stycznia 2018 r. w amerykańskich aptekach pojawił się Ozempic wyprodukowany przez duński koncern Novo Nordisk, rozpoczął się szalony wyścig po setki miliardów dolarów. Pierwsze opakowania sfałszowanego Ozempicu wykryto dopiero na przełomie wiosny i lata 2023 r., a pierwsze głośne konfiskaty i oficjalne ostrzeżenia organów nadzoru miały miejsce w czerwcu 2023 r. w Stanach Zjednoczonych oraz jesienią tego samego roku w Europie i w Ameryce Południowej.

Wyzwaniem dla przestępców okazało się nie tyle wyprodukowanie substancji czynnej będącej podstawą leku – czyli semaglutydu – ile sfałszowanie oryginalnego wstrzykiwacza (penu) produkowanego przez Novo Nordisk. Bo co w tych penach znajdowano, to już inna sprawa. W październiku 2023 r. w Austrii wykryto we wstrzykiwaczach insulinę. U poszkodowanych doszło do ciężkiej, zagrażającej życiu hipoglikemii oraz drgawek. Niezbędna okazała się hospitalizacja. Można mówić o dużym szczęściu, jeśli podrobione peny zawierały roztwór soli fizjologicznej, gdyż taki „Ozempic" przynajmniej nie zagrażał zdrowiu i życiu. Gorzej, gdy trafiło się na roztwory chemiczne wywołujące ciężkie infekcje i reakcje alergiczne.

Ostatnio fałszerze poszli jeszcze dalej. Chodzi o retatrutyd – eksperymentalną, drobnocząsteczkową substancję czynną stosowaną w lekach nowej generacji, opracowywaną przez amerykański koncern farmaceutyczny Eli Lily. Działanie retatrutydu budzi ogromne nadzieje osób pragnących szybko zrzucić zbędne kilogramy.

W październiku 2025 r. pracownicy brytyjskiej Agencji ds. Regulacji Leków i Produktów Medycznych weszli do nielegalnego zakładu w Northampton. Znaleziono w nim ponad 2 tys. wstrzykiwaczy, na których znajdowała się informacja, że zawierają retatrutyd. Wartość przejętych produktów z tej kategorii, w tym podróbek innych leków odchudzających, przekroczyła 250 tys. funtów.

Według szacunków handel podrabianymi lekami jest 10-20 razy bardziej opłacalny niż handel narkotykami.

Pikanterii sprawie dodawał fakt, że retatrutyd znajdował się w trzeciej fazie badań klinicznych, więc nie można było kupić go w aptece!

W roku bieżącym w Australii w stanie Wiktoria odnotowano sześć przypadków ostrej niewydolności wątroby u osób, które przyjmowały preparaty oferowane jako wspomniany lek. Analiza jednego z produktów wykazała brak deklarowanej cząsteczki czynnej, zamiast niej znaleziono semaglutyd w stężeniu znacznie wyższym niż w zatwierdzonych lekach.

Także brytyjskie media opisały ciężkie powikłania po produkcie sprzedawanym jako retatrutyd. Również w tym przypadku analiza wykazała inną substancję, niż obiecywano.

Z tych przykładów wynika niepokojący wniosek – dziś konsument nie może polegać na etykiecie. Za to jeśli popyt wyprzedza rejestrację leku, fałszerze mogą handlować samą nazwą, a kupujący bierze na siebie całe ryzyko.

W sierpniu br. koncern Eli Lilly skierował w USA sześć pozwów przeciw firmom, którym zarzucił nielegalny handel produktami przedstawianymi jako badany przez niego lek. Trudno orzec, jaki będzie sądowy finał tych spraw.

Wiara w etykietę

Nasz kraj w historiach o fałszowanych lekach pojawia się w kilku rolach. Jest miejscem produkcji, przepakowywania leków, ich sprzedaży, a także źródłem eksportu podejrzanych produktów. W 2019 r. brytyjskie służby wykryły co najmniej kilkaset opakowań specjalistycznego leku, które miały trafić na Wyspy z legalnie działającej polskiej hurtowni. Europejska Agencja Leków zaalarmowała odpowiednie polskie instytucje i hurtownię zamknięto, a sprawa trafiła do prokuratury. Nazwy leku ani finału postępowania w tej sprawie nie nagłośniono.

Czy to jest dowód, że polskie hurtownie, aby zarobić, gotowe są łamać prawo? Nie. To raczej świadczy, że w tej branży status legalnie działającej firmy przestał być gwarancją, że nie dojdzie do przekrętów. Nie ma publicznej informacji o liczbie polskich pacjentów, którzy kupili poza aptekami i przyjęli takie leki. W sprawach z lat 2025-2026 są zatrzymania i zarzuty, lecz nie zapadły jeszcze żadne wyroki.

Czytelny jest jeden mechanizm. Wielu z nas, gdy widzi w sieci obietnicę: szybciej schudniesz, bez wysiłku zbudujesz bicepsy i tricepsy, otrzymasz lek bez zbędnych pytań albo uratujesz bliską osobę, gdy inne terapie okazały się nieskuteczne, traci zdolność krytycznego myślenia.

Oszuści podsuwają nam strony wyglądające na wybitnie profesjonalne, głosy „specjalistów" z imponującą tytulaturą oraz numer przesyłki. W szczecińskiej, poznańskiej lub katowickiej pakamerze produkt dostaje opakowanie. A na końcu drogi jest człowiek, który otwiera przesyłkę z czymś, czego skład zna tylko wytwórca… i ewentualnie specjalistyczne laboratorium pracujące na zlecenie prokuratury prowadzącej postępowanie. Reszta to wiara w napis na etykiecie.

Marek Czarkowski

eprasa.pl f93f182c32

Akademiku, otwórz się

Coraz więcej studiujących i coraz mniej miejsc w domach studenckich

Zuzanna Muszyńska

Akademik uczelniany, prywatny, stancja czy mieszkanie z innymi? Oto jesienne dylematy wielu studentów. Tych zaś według GUS mamy ponad 1,3 mln. W akademikach publicznych mieszka co dziesiąty, pozostali nie wyprowadzają się z domu rodzinnego na czas studiów lub trafiają na komercyjny rynek najmu. Większość studenckiej bazy mieszkaniowej pochodzi z czasów PRL. Około dwóch trzecich akademików należących do uczelni publicznych wymaga remontu lub przebudowy, na które uczelnie pieniędzy nie mają. A gdy środki finansowe już się znajdą, pokoje wieloosobowe są przerabiane na pożądane jedynki lub dwójki, więc liczba miejsc maleje. W ostatnim roku ubyło ich ok. 3 tys. Według firmy doradczej JLL w Polsce może brakować nawet 400 tys. miejsc dla studentów.

Z państwowych dopłat do remontów, modernizacji lub budowy nowych akademików w ramach Funduszu Dopłat Banku Gospodarstwa Krajowego uczelnie otrzymają na inwestycje ok. 460 mln zł. Przekłada się to na oddanie do użytku w najbliższych latach ok. 5,5 tys. łóżek. Kropla w morzu potrzeb. I już wkracza agresywny kapitał zagraniczny. Zaczyna się bum na prywatne akademiki.



Pusty dom studencki Jowita należący do UAM straszy w Poznaniu przy Rondzie Kaponiera od prawie trzech lat.

Buldożerem w akademik

Pusta Jowita, największy dom studencki w centrum Poznania, należący do Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, straszy przy Rondzie Kaponiera od prawie trzech lat. W grudniu 2023 r., po 10-dniowej okupacji, uratowali ją przed prywatyzacją studenci, wspierani przez towarzyszy z Torunia, Warszawy i innych miast. W proteście uczestniczyły m.in. Studencka Inicjatywa Mieszkaniowa, OZZ Inicjatywa Pracownicza i centrum społeczno-kulturowe Rozbrat.

Działka premium, na której stoi Jowita, położona w pobliżu hoteli Sheraton i Mercure oraz biurowców Bałtyk i Concordia, to nie miejsce dla gorzej sytuowanych lokatorów, w tym mieszkańców publicznych akademików. Bliższy wizerunkowi Poznania jako miasta znanego z przedsiębiorczości byłby kolejny biurowiec tudzież akademik oddany w ręce prywatnego właściciela, dyktującego znacznie wyższe ceny najmu.

Protestujący żądali zachowania status quo Jowity jako taniego domu studenckiego. Postulowali też zwiększenie zasobu mieszkalnego uniwersytetu, dostępność tanich stołówek oraz pokoi socjalnych na wydziałach. Ustąpili po zapewnieniu ówczesnego ministra nauki Dariusza Wieczorka, że środki na remont zostaną przyznane. Rektorka UAM prof. Bogumiła Kaniewska broniła decyzji o sprzedaży, z której uczelnia zamierzała sfinansować kolejny nowy akademik na Morasku. Meteor oddany do użytku w tym samym roku był, jak przypomniała rektorka, pierwszym od 50 lat nowym akademikiem UAM i jednym z nielicznych nowo wybudowanych akademików w Polsce. Powstał w trzy lata, kosztował 68 mln zł.

Remont Jowity wyceniono na ok. 100 mln zł. Jest już projekt, który zakłada kilkupiętrową nadbudowę 13-kondygnacyjnej konstrukcji i zielony skwer na miejscu dzisiejszego parkingu.

„Dom Studencki Jowita to budynek symbol – jeden z ważniejszych

eprasa.pl f93f182c32

obiektów powojennej architektury Poznania. Jego modernistyczna forma, pionowa bryła i unikatowa elewacja z ceramicznego gruzu mówią o estetycznych i technologicznych poszukiwaniach lat 60. Obiekt na szczęście uznano za wartościowy i godny zachowania w rękach UAM. Teraz otrzyma drugie życie", napisał w serwisie WhiteMAD po ogłoszeniu wyników konkursu architektonicznego Mateusz Markowski, absolwent gospodarki przestrzennej UAM.

Pod jego postem można znaleźć liczne głosy niezadowolenia: „Masakra. Jak można?", „Powinni to zburzyć i postawić coś, co nie straszy", „Brawo. Paskuda była przeznaczona do rozbiórki, lecz grupka wyszczekanych studenciaków zrobiła aferę, bo nie chcieli mieszkać w akademikach poza ścisłym centrum. Teraz nie dość, że komuszy kloc zostanie, to jeszcze remont tego trupa wyniesie tyle, że można by było zbudować ładniejszy obiekt od podstaw".

Akademik widmo w centrum Poznania na razie symbolizuje niemoc zarówno państwa, jak i uczelni. Fundusz Dopłat Banku Gospodarstwa Krajowego obiecanych 80 mln zł dopłaty do przebudowy Jowity dotychczas UAM nie przyznał.

O zabytkowe akademiki na poznańskich Winogradach zawalczyła radna Lewicy Halina Owsianna. Pierwszy powojenny kompleks akademików z 1956 r. stanął przy ulicy Dożynkowej blisko śródmieścia. Siedem domów tętniło życiem, działał tu znany klub studencki Nurt, w którym pierwsze kroki sceniczne stawiały Zdzisława Sośnicka i Urszula Sipińska. Od początku nowego stulecia kampus podupadał i częściowo opustoszał. Cztery budynki należą do Uniwersytetu Przyrodniczego i są nieużywane od ponad dekady. W odremontowanej Dewizce i Feniksie mieszkają studenci Uniwersytetu Ekonomicznego, a w DS Babilon – UAM.

W 2020 r. wrocławska firma Vantage Development kupiła dwa akademiki od UP i otrzymała od miasta zgodę na ich rozbiórkę. Deweloper zaczął burzyć, ale buldożery powstrzymała zdecydowana akcja radnej Owsiannej, która zaapelowała o wpisanie całego zespołu zabudowy do rejestru zabytków. Konserwator miejski, a następnie wojewódzki uznali osiedle czteropiętrowców ze stromym zadaszeniem za wartościową spuściznę architektury socrealu. Odwołanie się dewelopera od tej decyzji nic nie dało, Dożynkowa zostaje. I na razie straszy – z sąsiednich akademików studenci mają widok na krajobraz jak po wojnie. I tu jest mowa o kosztownym remoncie, z zachowaniem zabytkowych fasad, i ewentualnej adaptacji na lokale dla doktorantów lub dom asystenta. Studenci UP na Dożynkową nie wrócą.



Uniwersytet Warszawski po niemal 60 latach doczekał się nowego Domu Studenta nr 7 na Służewcu.



Żak nieborak

Akademiki widma straszą w wielu miastach. Na barykady poszli wiosną 2024 r. studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego, którzy zajęli na dziko Kamionkę, od pięciu lat pustostan. Okupowali akademik przez kilka tygodni. Nie obyło się bez spięć, kiedy na polecenie władz uczelni wyłączono im media. Na wystawioną na sprzedaż zabytkową Kamionkę nie znaleźli się chętni. W końcu zawarto porozumienie i wycofano nieruchomość z rynku, ale 54 mln zł na remont uczelnia nie ma.

Roszczeniowi, zmanipulowani, wyszczekani. I po co walczą o stare pokoje ze wspólną łazienką na korytarzu? Mogli pójść na stancję albo do prywatnego akademika. Może i mogli, a może nie mieli za co? Publiczny akademik to najtańsze i ciągle pożądane lokum; aby się na nie załapać, trzeba wykazać dochód na członka rodziny na progu ubóstwa (mile widziane dojazdy z odległych miejsc zamieszkania). Jeśli student spełnia wyśrubowane kryteria, trafia do

eprasa.pl f93f182c32

kolejki – na jedno miejsce zwykle jest kilkoro chętnych. Trudno oczekiwać wiwatów, kiedy tych miejsc ubywa.

W Polsce według danych Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego działa 370 publicznych akademików, w których dostępnych jest ok. 100 tys. miejsc noclegowych. Remontu lub modernizacji, natychmiast lub w ciągu najbliższych lat, wymagają łącznie 263 budynki; z użytkowania ze względu na zły stan techniczny wyłączono 12 (stan z 2024 r.). W Warszawie i Poznaniu wskaźnik zakwaterowania w publicznych akademikach wynosi 7%, o 2 pkt proc. mniej niż ogólnopolska średnia. Studenci zwracają się ku prywatnemu rynkowi najmu z braku wyboru. Również praca podczas studiów dla wielu z nich nie jest wyborem, lecz koniecznością.

Z jubileuszowej 10. edycji raportu „Portfel Studenta", przygotowanego przez Warszawski Instytut Bankowości i Związek Banków Polskich, wynika, że w ostatniej dekadzie wydatki studentów wzrosły dwuipółkrotnie, z ok. 1,5 tys. zł miesięcznie w 2016 r. do prawie 4 tys. zł w 2025 r. Natomiast raport „Studenci na rynku nieruchomości 2025" opracowany przez Centrum AMRON we współpracy z WIB mówi o podwyżkach kosztów najmu o 5-10% w roku akademickim 2024/2025, które dotknęły co trzeciego studenta.

Trudna sytuacja ekonomiczna to bezpośredni skutek studenckiego kryzysu mieszkaniowego. Dawniej ratunkiem dla młodzieży niezamożnej były akademiki i stypendia. Dziś miesięczne opłaty wahają się od ok. 300 zł za pokój dwu- lub trzyosobowy (Łódź, Gdańsk, Kalisz) do ponad 1,5 tys. zł w stolicy za jedynkę. Ceny za łóżko w prywatnych mieszkaniach mogą być nawet kilkukrotnie wyższe, jeśli wziąć pod uwagę opłaty za media. Stypendia socjalne ledwie pokrywają koszty zakwaterowania.

Dlatego mamy studentów kurierów i kelnerów, którzy, zamiast się uczyć, pracują, i to coraz częściej w pełnym wymiarze. Wielu młodym ludziom trudniej dotrwać do dyplomu. Jak pokazują statystyki, nawet 30-40% studentów rezygnuje z nauki w trakcie studiów, najwięcej, bo aż 60%, już na pierwszym roku. W raporcie „Portfel Studenta 2025" co piąty respondent deklarował, że rozważał przerwanie nauki z przyczyn finansowych.

Dostępność miejsc w akademikach ma kluczowe znaczenie dla osób spoza dużych ośrodków miejskich oraz tych, dla których komercyjny najem jest zbyt dużym obciążeniem. Tym samym spełnienie marzenia o wybranym kierunku na renomowanej uczelni przegrywa z realiami. Nauka staje się luksusem.

Bananowy vibe

W ostatnich 12 miesiącach oddano do użytku dziewięć nowych akademików, a do rozpoczęcia roku akademickiego 2027/2028 planowane jest udostępnienie kolejnych 4 tys. łóżek. Tak działa rynek akademików prywatnych w Polsce. Tam, gdzie państwo niedomaga, wchodzi prywatny inwestor.

Wróćmy tymczasem do Poznania. We wspomnianym Feniksie są 172 miejsca w 24 pokojach jednoosobowych i 74 pokojach dwuosobowych. Pokoje łączą się w segmenty wyposażone w pełny węzeł sanitarny. Miejsce w dwójce to koszt 800 zł miesięcznie, w jedynce z łazienką 1,2 tys. zł, a w jedynce w segmencie 1,1 tys. zł. Tanio nie jest, ale można drożej. Akademik premium z sieci Student Depot przy Al. Niepodległości oferuje „najlepszy studencki vibe w mieście". Za najtańszy lokal reklamowany jako Solo Vibes (jedynka z łazienką i aneksem kuchennym) student zapłaci niemal dwa razy więcej niż na Dożynkowej (2375 zł – w cenie media, wi-fi, całodobowa ochrona, siłownia 24/7, pralnia i suszarnia, parking). Dwójka, czyli Duo Vibes, również jest dwukrotnie droższa (1650 zł/os.).

Na koniec 2025 r. sektor PBSA, czyli Purpose-Built Student Accommodation, oferował ok. 16,5 tys. łóżek. Kolejne 7,7 tys. znajdowało się na etapie przygotowania lub realizacji. Fundusze inwestycyjne upodobały sobie szczególnie starsze biurowce, hotele oraz internaty. W niespełna rok od przejęcia nieruchomości oddają do użytku gotowe tzw. mikrostudia dla studentów. Motorem sukcesu jest przychód z metra kwadratowego o połowę wyższy niż w przypadku klasycznego wynajmu mieszkań.

Jednym z największych już zrealizowanych projektów jest warszawski gigant SHED Sky Living przy Żwirki i Wigury. Według PropertyNews.pl to flagowy i największy w Europie Środkowo-Wschodniej przykład udanej transformacji nowoczesnego kompleksu biurowego klasy A w obiekt o funkcji mieszkaniowej dla studentów. Budowa trwała zaledwie 11 miesięcy. W 582 pokojach typu studio może zamieszkać 733 studentów. W jedynkach ceny zaczynają się od 2,6 tys. zł, miejsce w dwójce to wydatek rzędu 1,7-1,9 tys. zł od osoby za miesiąc. Pokoje mają łazienki i aneksy kuchenne. Siłownie, pokoje gier, strefy relaksu i pracy to pozostałe elementy składające się na bananowy vibe.

Prywatny akademik to adres, pod który uda się chętnie zagraniczny student w poszukiwaniu wyższego standardu zakwaterowania w pokoju jednoosobowym. Co trzeci wybierze województwo mazowieckie. Rynek PBSA w stolicy już za dwa lata wyprzedzi lidera, jakim jest Kraków z ok. 5 tys. łóżek w prywatnych akademikach. Umiędzynarodowienie polskich uczelni w połączeniu z kryzysowym trybem zarządzania nimi uderza jednak w gorzej sytuowanych. Adieu, studencie z problemami akademikowo-stołówkowymi. Bonjour, bogaty studencie zagraniczny!

Publiczny akademik to najtańsze i ciągle pożądane lokum.

Czym skorupka za młodu…

Gdańsk potrafi. Na remont i rozbudowę akademika w Sopocie Uniwersytet Gdański otrzyma niemal 15,5 mln zł z resortu nauki. DS nr 9, położony kilkanaście metrów od plaży, stał pusty przez pięć lat, aż do wybuchu wojny w 2022 r., kiedy wprowadzili się do niego uchodźcy

eprasa.pl f93f182c32

z Ukrainy. Budynek ma 181 pokoi, które przejdą modernizację. Oprócz tego za trzy lata mają powstać dwa nowe, kilkupiętrowe skrzydła. Co roku o jedno miejsce w akademikach UG ubiega się około czterech osób. Ci, którym się nie uda, trafiają do trójmiejskiej dżungli zdominowanej przez Booking i Airbnb i konkurują o lokal z turystami, młodymi rodzinami i gospodarstwami na dorobku.

Paryż też potrafi. Kiedy wiosną tego roku opublikowano we Francji raport donoszący, że prawie połowa studenckiej trzymilionowej społeczności nie dojada, oszczędzając na posiłkach, reakcją rządu – pod naciskiem



Warszawski SHED Sky Living to przykład udanej przeróbki biurowców na funkcję mieszkaniową dla studentów.

Krajowego Związku Studentów Francji (UNEF) – było rozszerzenie programu Repas à 1 € (posiłek za 1 euro), obejmującego wcześniej studentów pobierających pomoc socjalną, na wszystkich studiujących, niezależnie od dochodu (ci dotychczas płacili 3,30 euro za pełnowartościowy posiłek). Programem zarządza sieć regionalnych agend państwowych, podlegająca Ministerstwu Szkolnictwa Wyższego, która odpowiada za akademiki, stołówki i stypendia socjalne. Tanie posiłki serwowane są w 950 punktach w całym kraju. Szef jednego z nich powiedział: „Karmimy osoby, które są przyszłością Francji, i ważne, żeby były dobrze odżywione".

W Polsce w tym samym czasie otworzyła się nowa jadłodajnia w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego, z cenami nie na studencką kieszeń. Kiedy protestujący przeciwko drożyźnie studenci weszli do BUWBaru z własnym jedzeniem, interweniowała policja. Po miesiącu lokal zamknięto.

Ale Warszawa też potrafi. Uniwersytet Warszawski po niemal 60 latach doczekał się nowego Domu Studenta nr 7 na Służewcu. Spełnia on wszystkie standardy publicznego akademika premium, jest ekologiczny, nowoczesny, z pralnią, świetlicą i siłownią.

Jeśli chodzi o liczbę studentów, zajmujemy szóstą pozycję w Europie po Francji, Wielkiej Brytanii, Niemczech, Włoszech i Hiszpanii. I nie borykamy się sami ze studenckim kryzysem socjalnym – w Niemczech podobnie jak w Polsce przypada ok. 10 studentów na jedno miejsce w akademiku, a we Włoszech prawie 24.

W Wielkiej Brytanii to wielki międzynarodowy kapitał rozwiązuje problemy studentów. W 2018 r. „Guardian" ujawnił, jakimi metodami deweloperzy zarabiali na prywatyzacji domów studenckich. Proceder obejmował wiele brytyjskich ośrodków uniwersyteckich, od Newcastle po Bristol, w których firmy offshore, prowadzące kreatywną księgowość, zapewniały prywatne zakwaterowanie nawet 20 tys. młodych ludzi. Jedna z nich, jak podał brytyjski dziennik, zapłaciła w 2016 r. zaledwie 10 tys. funtów podatku dochodowego od 2,2 mln dochodu z najmu. Zysk powędrował do luksemburskiej spółki holdingowej. To uniwersytety zwróciły się do prywatnych deweloperów o pomoc w przekształceniu branży zakwaterowania studenckiego. Izzy Lenga, wiceprzewodnicząca Krajowego Związku Studentów, stwierdziła, że zagraniczni inwestorzy, zarabiając miliardy funtów na budowie luksusowych apartamentów dla studentów brytyjskich uczelni, wykorzystują ich niczym „dojne krowy".

Ale to Wielką Brytanię stawia się za wzór innym krajom, z jej sięgającym 15% zakwaterowaniem w prywatnych akademikach studentów krajowych (u nas w tej chwili to tylko 1%, w Hiszpanii, Niemczech i Holandii 3-6%) i aż 60% studentów z zagranicy (u nas 15%). W Bristolu, który pod względem wyśrubowanych kosztów mieszkań zajmuje drugie miejsce, zaraz za Londynem, akademiki opanowały firmy outsourcingowe, „zarządzające" życiem studenckim.

O słowie tanio można zapomnieć. Student, który decyduje się usamodzielnić, stawiając czoła realiom rynku, to dziś bohater. W bieżącym roku akademickim co trzeci świeżo upieczony student w Zjednoczonym Królestwie nie opuści rodzinnego domu. Dekadę temu co piąty wybierał dojazdy na uczelnię, oszczędzając na zakwaterowaniu. Najwyraźniej trwający od co najmniej dekady bum na PBSA nie rozwiązał problemów mieszkaniowych studentów, co więcej, widać pierwsze sygnały początku jego końca. W Szkocji, gdzie od 2015 r. przeszło dwuipółkrotnie wzrosła liczba studentów, prywatne akademiki zaczynają świecić pustkami.

W Polsce miały być akademiki za złotówkę. Polityk, który złożył tę obietnicę przedwyborczą, dziś jest szefem MON. Wspierajmy żaków w walce – o przyzwoitą łazienkę, czystą kuchnię, cichy kąt do nauki, świetlicę czy windę w tradycyjnym akademiku, w przystępnej cenie, oraz o więcej niż groszowe stypendium, z którego starczy i na mieszkanie, i na książki. Stać nas.

Zuzanna Muszyńska

FOT. ZUZANNA MUSZYŃSKA, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (3)

eprasa.pl f93f182c32



Walka o podpis

Wreszcie wejdą w życie rozwiązania, które obniżą ceny paliw

Andrzej Dryszel

Za chwilę z powodu wojny na Bliskim Wschodzie, wojny wytoczonej przez Rosję i niezrozumiałej blokady pana prezydenta będziemy mieli rzeczywiście rekordowe ceny, takie, o jakich nikt nie śnił w najgorszych snach. Gwarantuję, że jeśli prezydent wreszcie podpisze ponownie złożoną teraz ustawę o nadzwyczajnych zyskach, to natychmiast po tym podpisie zrealizujemy kolejny wariant CPN, czyli obniżenia cen paliw. Zobaczymy, na ile starczy środków. Nikt nie może mieć wątpliwości, że ustawę trzeba podpisać. Panie prezydencie, proszę to podpisać – zaapelował Donald Tusk. Kilka dni później wypowiedział się już ostrzej. – Prezydent lub jego ludzie uznali, że im gorzej będą mieli Polacy, tym trudniej będzie miał rząd, więc postanowili działać tak, żeby blokować możliwości obniżenia cen paliw, bo to zaszkodzi rządowi. Podpisuj, prezydencie – nakazał premier.

– Jeśli prezydent nie podpisze ustawy o nadzwyczajnych zyskach koncernów paliwowych, weźmie na siebie odpowiedzialność za wysokie ceny. Trudno będzie wtedy znaleźć środki na program osłonowy – wskazywał minister energii Miłosz Motyka.

Przekaz ekipy rządzącej był więc spójny: to z winy Karola Nawrockiego paliwa na stacjach mogą być coraz droższe. To on, jeśli nie złoży podpisu, powinien stać się adresatem niezadowolenia milionów Polaków. No i prezydent podpisał.

Nie ulega wątpliwości, że prezydent będzie patrzył teraz rządowi na ręce, a Polacy chyba razem z nim.

Wcześniej, wiosną tego roku, gdy po ataku USA i Izraela na Iran ceny paliw ruszyły w górę, rząd wprowadził program Ceny Paliw Niżej, obowiązujący w kwietniu, maju i czerwcu oraz w drugiej połowie sierpnia. Wymagało to zmiany ustawy o podatku akcyzowym. Prezydent podpisał nowelizację błyskawicznie, bo 27 marca, w tym samym dniu, w którym została uchwalona. W czasie funkcjonowania programu benzyna Pb95 staniała o ok. 80 gr na litrze, a olej napędowy o złotówkę. Obniżanie opodatkowania paliw spowodowało spadek cen, ale i ubytek wpływów budżetowych o ok. 5,2 mld zł. Rząd uznał więc, że kontynuacja CPN jest niemożliwa bez znalezienia nowego źródła finansowania. Tym źródłem miały się stać błyskawicznie rosnące zyski koncernów paliwowych.

Może być taniej

Walka o kolejny podpis Karola Nawrockiego trwała od lipca. Prezydent skierował wtedy do Trybunału Konstytucyjnego ustawę o opodatkowaniu nadzwyczajnych zysków ze sprzedaży paliw płynnych,

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl f93f182c32

tłumacząc, że narusza ona zasadę, iż prawo nie działa wstecz (podatek miał obowiązywać od marca). Rząd przygotował kolejną wersję ustawy, która 24 września została uchwalona przez parlament i od razu trafiła na biurko głowy państwa. Prezydent miał 21 dni, by ją podpisać, odmówić podpisu albo skierować do Trybunału Konstytucyjnego. Liderzy koalicji rządowej już zapowiedzieli, co nas czeka, jeśli nie podpisze. A co będzie, skoro jednak podpisał?

– Ceny detaliczne paliw spadną w granicach od 1 zł do nawet 1,40 zł na litrze. Ustawa opodatkuje podmioty generujące ponadstandardowe zyski – a osiem światowych koncernów paliwowych podwoiło w II kwartale zysk operacyjny w stosunku do 2025 r. W ustawie jest też upoważnienie dla ministra finansów, które pozwoli mu zmniejszyć podatek akcyzowy do niezbędnego minimum (dopuszczalnego przez Unię Europejską), czyli o trzydzieści kilka groszy na litrze. Do tego dochodzi możliwość obniżki VAT z 23% do 8%. Mamy więc z jednej strony delegację dla ministra, by mógł od razu zmniejszać stawki podatków, a z drugiej opodatkowanie nadzwyczajnych przychodów. Dzięki temu pokryty zostanie koszt obniżki cen detalicznych poniesiony przez budżet – mówi Marek Sowa (Koalicja Obywatelska), poseł sprawozdawca tej ustawy.

Perspektywa płacenia niespełna 7 zł za litr benzyny Pb95, a nie ponad 8 zł jak obecnie, za olej napędowy zaś nie 9 zł z hakiem, lecz niewiele powyżej 7,5 zł, jest pociągająca. Na razie jednak to wciąż nieokreślona przyszłość.

Obetnie albo nie obetnie

Ustawa o podatku od nadzwyczajnych zysków osiągniętych od marca 2026 do marca 2027 ze zbycia paliw ciekłych wprowadza 60-procentowe opodatkowanie przychodów firm produkujących i sprzedających paliwa – jeśli te przychody przekroczą poziom, jaki zostałby osiągnięty przy zastosowaniu średniej marży sprzedaży z 2025 r. powiększonej o 20%. W przypadku firm tylko handlujących paliwami ich dochód zostanie opodatkowany stawką 50%.

Nowy akt prawny wejdzie w życie 1 listopada 2026 r. Firmy będą musiały jednak płacić zaliczki na nadzwyczajny podatek z tytułu przychodów osiągniętych już od marca – czyli wciąż z mocą wsteczną. Pomysł dodatkowego opodatkowania wywołał oczywiście ogromny protest koncernów paliwowych (do którego nie przyłączył się państwowy Orlen, choć to on pokryje większość z 4 mld zł wpływów, na jakie liczy rząd w wyniku obowiązywania ustawy).

Inne podmioty oceniają raczej pozytywnie koncepcję podatku płaconego przez koncerny w celu ograniczenia cen na stacjach. Na przykład Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych stwierdziło, że „geopolityczne okoliczności powstania nadzwyczajnych zysków przedsiębiorstw paliwowych uzasadniają wprowadzenie ograniczonego czasowo instrumentu fiskalnego obejmującego to wzbogacenie”.



eprasa.pl f93f182c32

Ustawa daje ministrowi finansów prawo obniżenia stawki akcyzy od paliw na okres „niezbędny do ograniczenia negatywnych skutków konfliktu na Bliskim Wschodzie dla rynku paliw, uwzględniając sytuację gospodarczą państwa". Niższa stawka to tańsza benzyna i olej napędowy na stacjach. I właśnie na tym jedynym, w pełni uznaniowym zapisie, umożliwiającym ministrowi ewentualne obcięcie akcyzy, bazuje cała koncepcja przeznaczenia środków z nowego podatku na obniżkę cen detalicznych paliw.

– Gdy wcześniej, w okresie kwiecień-czerwiec oraz w drugiej połowie sierpnia, mieliśmy obniżkę akcyzy, VAT i regulowaną cenę końcową, to w Polsce było najtańsze paliwo w Unii Europejskiej, z wyjątkiem Malty. Kosztowało to jednak budżet państwa ponad 5 mld zł. Teraz na interwencję na rynku paliwowym chcemy przeznaczyć część gigantycznych zysków koncernów działających na naszym rynku. Fakty jasno pokazują, że chodzi o zmniejszenie cen benzyny i oleju napędowego ze środków tych, którzy dzięki kryzysowi paliwowemu osiągają nadzwyczajne zyski. Intencje rządu są tu oczywiste – podkreśla poseł Marek Sowa.

Opozycja uważa, że dobrymi intencjami piekło jest wybrukowane, i zarzuca, że w ustawie nie ma jednoznacznego zapisu kierującego całość środków uzyskanych z opodatkowania nadzwyczajnych zysków na pokrycie skutków obniżki cen paliw. Posądza zatem rządzących o to, że wprawdzie ściągną dodatkowy podatek od firm paliwowych, ale przeznaczą go na rozmaite inne wydatki, nie tylko na ulżenie kierowcom. W rezultacie ceny detaliczne mogą wcale nie spaść o zapowiadane 1-1,40 zł na litrze, a pieniądze płacone na stacjach pójdą na łatanie różnych dziur budżetowych.

Funduszowi mówimy nie

W istocie, w deklaracjach członków rządu nie padała kategoryczna zapowiedź, że literalnie wszystkie pieniądze, jakie przyniesie nowy podatek, będą szły na pokrycie skutków obniżenia cen paliw. Również premier Tusk, ważący przecież słowa, powiedział, że „zobaczymy, na ile starczy środków" na realizację kolejnego wariantu programu CPN. Kancelaria Prezydenta stwierdza więc: „Ustawodawca uzasadnia potrzebę wprowadzenia podatku koniecznością sfinansowania działań osłonowych mających prowadzić do obniżenia cen paliw. Obecna ustawa nie zawiera jednak żadnych mechanizmów prawnych gwarantujących przeznaczenie wpływów z podatku na ten cel".

Dlatego, w celu stworzenia tych właśnie mechanizmów prawnych, prezydent i jego urzędnicy zaproponowali powołanie państwowego funduszu celowego, którego wyłącznym źródłem dochodów byłyby wpływy z podatku od nadzwyczajnych zysków ze sprzedaży benzyny i oleju napędowego. Wydatki funduszu pójdą zaś wyłącznie na obniżkę cen paliw, czyli na rekompensowanie budżetowego ubytku dochodów z VAT, akcyzy i podatku od sprzedaży detalicznej paliwa. Niewykorzystane środki zostaną w funduszu na wszelki wypadek, czekając na kolejny skok cen benzyny i oleju.

Koalicja rządząca odrzuciła ten pomysł, uznając, że niepotrzebnie ogranicza on elastyczność budżetu. Poprawki mające wprowadzić fundusz paliwowy przepadły podczas prac parlamentarnych.

– Rząd działa w ramach prawnych wyznaczonych przez ustawy – i musi mieć swobodę szukania rozwiązań najbardziej efektywnych w czasie obecnego kryzysu. Polska ma już wystarczająco dużo funduszów celowych, tylko brakuje w nich środków finansowych – uważa poseł Sowa.

W naszym kraju istnieje kilkadziesiąt państwowych funduszy celowych (dokładną liczbę trudno podać, bo są różne metody określania warunków, jakie powinny spełniać takie fundusze), niektóre dosyć oryginalne, jak Fundusz Rozwiązywania Problemów Hazardowych. W Państwowym Funduszu Wyrównywania Cen Paliw (taką nazwę proponowali posłowie PiS) środków raczej by nie zabrakło. W obecnej sytuacji budżetowej państwa trudno jednak blokować bliżej nieokreśloną, z pewnością niemałą sumę, czekającą nie wiadomo jak długo na wykorzystanie.

Parlament na pewno odrzuci też prezydencki projekt ustawy Paliwa Kosztują Normalnie (o ile będzie miał okazję się nim zająć, bo na razie czeka on w sejmowej zamrażarce). Projekt wprowadza maksymalne ceny i marże, których nie wolno byłoby przekroczyć, a także zwalnia od podatku sprzedaż detaliczną benzyny, oleju napędowego i autogazu. Nie ma w nim natomiast ani słowa, skąd wziąć pieniądze na ubytek wpływów do budżetu wywołany przez zmniejszone opodatkowanie paliw. Minister Motyka już poddał gruntownej krytyce prezydenckie propozycje, zarzucając, że doprowadzą one do spekulacyjnego wykupu i braku paliwa na stacjach.

Obniżanie opodatkowania paliw powoduje spadek cen, ale i ubytek wpływów budżetowych.

Niech ceny spadną

Na placu boju zostaje więc ustawa o podatku od nadzwyczajnych zysków ze zbycia paliw, w której nie ma mechanizmu jednoznacznie stanowiącego, że środki z tego opodatkowania na pewno sfinansują koszt obniżenia cen detalicznych. Premier otrzymał jednak przepisy, na jakich mu zależało.

Prezydent w czwartkowym orędziu telewizyjnym zażądał by, zgodnie z zapowiedziami koalicji rządzącej, po podpisaniu przez niego ustawy, ceny paliw zaczęły się od razu obniżać. Już, niemal natychmiast, a nie za miesiąc czy dwa. Nie ulega wątpliwości, że prezydent będzie patrzył teraz rządowi na ręce, a Polacy chyba razem z nim.

Rządzący mogą więc być pewni, że jeśli ceny benzyny i oleju szybko nie spadną, to wtedy ich notowania spadną tak nisko, że zwycięstwo w przyszłorocznych wyborach stanie się mrzonką.

Andrzej Dryszel

eprasa.pl f93f182c32

Jakiej demokracji Polacy potrzebują?



Obraz „Mowa pogrzebowa Peryklesa" Philippa Foltza z 1852 r. przedstawia kluczowy moment w historii demokracji ateńskiej – polityk i strateg Perykles przemawia do obywateli Aten pod koniec pierwszego roku wojny peloponeskiej (431 p.n.e.). Mowa ta stała się jednym z ikonicznych tekstów na cześć demokracji i wolności obywatelskiej.

Piotr Kimla

W tytule artykułu zawarta jest sugestia, że istnieje wiele rodzajów demokracji i demokracja demokracji nierówna. Tak jest w istocie. W zachodnich demokracjach do niedawna widoczny gołym okiem był komponent oligarchiczny. Na przykład znawcy francuskiej polityki podśmiewali się, że w tym demokratycznym kraju mamy do czynienia z dziedziczeniem urzędów: po starym Debré przyszli dwaj młodzi Debré, a po starym Joksie młody Joxe.

W prezentowanych rozważaniach chodzi mi jednak o sprawę zasadniczą. O fundamentalny podział na demokrację woluntarystyczną i demokrację nomokratyczną. Nawiązuję tym samym do klasycznego, arystotelesowskiego kryterium podziału systemów władzy. Dla Stagiryty stanowi zasadniczą linię demarkacyjną dającą odpowiedź na pytanie, czy rządzący (wszystko jedno, czy są nimi większość ludu, czy określona grupa ludzi lub jedna osoba) w swoich poczynaniach kierują się prawem, czy też własną, niczym nieskrępowaną wolą. Jeśli kierują się własną wolą, mamy do czynienia w gruncie rzeczy nie z ustrojem politycznym, lecz z określoną formą tyranii (większościową, grupową, jednoosobową).

Przypomnienie tych oczywistości wydaje się potrzebne w kontekście współczesnych rozważań nad ustrojem demokratycznym. Są one ważne, bo jesteśmy blisko stanu rzeczy, w którym górę weźmie woluntarystyczny wariant demokracji, a zatem większościowa forma tyranii. Nie chodzi przy tym o zagrożenie występujące w ustrojach demokratycznych w postaci tyranii większości, to znaczy o sytuację, gdy głos pojedynczych obywateli lub ich mniejszości nie jest słyszalny w zderzeniu

eprasa.pl f93f182c32

z głosem większości. Już w XIX w. na tę dolegliwość demokracji zwracał uwagę John Stuart Mill. Nie chodzi również o to, że dominacja większości w ustrojach demokratycznych czyni z nich ustroje konformistyczne, ponieważ myśląca odmiennie mniejszość, nie chcąc być zmarginalizowana, skłania się do dostosowania swoich postaw i myślenia do większości. Pouczył nas o tym dwa wieki temu Alexis de Tocqueville, a w XX w. przypomniał chociażby Allan Bloom. Kiedy piszą o tyranii większości, stwierdzenie to należy rozumieć dosłownie, a mianowicie, że demokracja oparta nie na prawie, lecz na woli większości ludu jest tyranią sprawowaną przez większość obywateli. Ściślej, przez większość kierowaną przez przywódcę ludu – demagoga.

W drugiej połowie XX w. myśliciele polityczni stali się mniej wyczuleni na zagrożenia wolności tkwiące w ustroju demokratycznym. Ściśle rzecz biorąc, w przedstawicielskiej demokracji liberalnej ukształtowanej na zachodzie Europy. Istniała w każdym razie silna pokusa, by ujawniające się w pierwszej połowie ubiegłego wieku przekształcenia systemów demokratycznych w systemy autorytarne (co stało się chociażby w Polsce po zamachu majowym Józefa Piłsudskiego w 1926 r.) czy w systemy totalitarne (jak w Niemczech po dojściu Hitlera do władzy w 1933 r.) składać przede wszystkim na karb skutków I wojny światowej, zmiany granic i pojawienia się na mapie nowych państw, wielkiego kryzysu gospodarczego itp.

Po II wojnie światowej i ukształtowaniu się dwóch wrogich bloków – liberalno-demokratycznego z USA na czele i komunistycznego pod przywództwem ZSRR – trudno było myśleć, że liberalno-demokratyczny ustrój ma w sobie wciąż rzeczywisty potencjał przekształcenia się w tyranię. Klasyczna praca Jacoba L. Talmona „Źródła demokracji totalitarnej", wydana w Nowym Jorku w 1952 r., nie była i nie jest do dziś w Polsce – ze zbyt małymi wyjątkami, aby o nich wspominać – intensywnie studiowana i publicznie omawiana, choć została spolszczona w 2015 r.

Generalnie zatem refleksje klasyków myśli politycznej – od Platona począwszy – którzy zwracali uwagę na niebezpieczeństwa tkwiące w samej naturze systemów demokratycznych, zostały w drugiej połowie XX w. odsunięte na dalszy plan. To wiek XXI, czasy nam współczesne i koncepcja „demokracji nieliberalnej" zmuszają nas do przypomnienia sobie o niebezpieczeństwach immanentnie złączonych z ustrojem demokratycznym, najogólniej mówiąc, z woluntarystyczną odmianą demokracji.

Podstawą demokracji woluntarystycznej jest absolutyzacja woli ludu. Oznacza ona obsadzenie ludu w roli omnipotentnego podmiotu władzy, który może tworzyć i znosić reguły prawne wedle własnego uznania, bo przecież demokracja jest „władzą ludu, dla ludu, przez lud". Tym samym wola ludu zostaje usytuowana ponad prawem. Koncepcja ta czerpie siłę z przekonania, że lud nie jest w stanie uchwalić niczego złego przeciwko sobie. Wspomniany Talmon wywodzi tę koncepcję od Jana Jakuba Rousseau, ale erudyci, których nie brakuje wśród czytelników „Przeglądu", wiedzą, że wcześniej pojawia się ona u Barucha Spinozy, a przed Spinozą u Marsyliusza z Padwy.

To ten ostatni – w przeciwieństwie do św. Tomasza – nie widział potrzeby, aby norma prawna spełniała dwa kryteria wewnętrzne, to znaczy była rozumna i nakierowana na realizację dobra wspólnego. Skoro była uchwalana przez lud, to dla Marsyliusza było rzeczą pewną, że będzie rozumna i będzie realizować dobro wspólne. Lud przecież, powtórzę, nie uchwali nigdy niczego złego przeciw sobie.

Nie sądźcie państwo, że gdy piszę o sytuowaniu woli ludu ponad prawem, to wikłam się w jakieś teoretyczne dywagacje, niemające nic wspólnego z praktyką polityczną. Przypominam wypowiedź Kornela Morawieckiego, ojca byłego premiera Mateusza Morawieckiego, wygłoszoną w Sejmie 25 listopada 2015 r: „Prawo jest rzeczą ważną, ale prawo to nie świętość! Nad prawem jest dobro narodu! Jeżeli prawo to dobro zaburza, to nie wolno nam uważać go za coś, czego nie możemy naruszyć, czego nie możemy zmienić".

Jeżeli jednak ustrój polityczny pojmujemy w klasyczny sposób, czyli jako ograniczenie woli i władzy rządzących za pomocą trwałych reguł prawnych, to woluntarystyczna wersja demokracji, zbudowana na absolutyzacji woli ludu, nie jest ustrojem politycznym, lecz tyranią. Niech nas nie zwiedzie rzekoma gwarancja niemożliwości popadnięcia w tyranię, skoro decyduje większość. Większość nie jest samodzielna w sądzeniu, lecz podlega „kierownictwu" i manipulacji ze strony przywódcy większości, lidera partyjnego, demagoga. To ten przywódca, upewniwszy lud co do jego nieomylności i wszechwładzy, stara się kierować jak najwięcej spraw pod obrady ludu (w demokracji bezpośredniej) lub pod obrady przedstawicieli ludu (w demokracji parlamentarnej), wskutek czego utrwalone zasady zostają zniszczone i zastąpione przygodnymi uchwałami ludu/przedstawicieli ludu, które nie zmierzają do trwałego regulowania stosunków międzyludzkich (czym powinno być prawo), lecz jedynie odzwierciedlają partykularne interesy zgromadzenia ludowego, wmówione zresztą temu zgromadzeniu przez przywódcę ludu – demagoga.

Innymi słowy, fakt, że uchwały ludowe uchwalane są przez większość ludu bądź, współcześnie, przez reprezentantów większości, nie zmienia tego, że prowadzą do labilności, niestabilności prawa, są nieustannym majstrowaniem przy zasadach prawnych i rozmontowywaniem ich. Niweczą zatem ustrój polityczny, przekształcając go w tyranię.

Jesteśmy blisko stanu rzeczy, w którym górę weźmie woluntarystyczny wariant demokracji, a zatem większościowa forma tyranii.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl f93f182c32

„Słusznie więc (…) można podnieść zarzut, że taka demokracja w ogóle nie jest ustrojem, bo gdzie prawa nie rządzą, tam nie ma ustroju. Prawo bowiem musi panować nad wszystkim" (Arystoteles, „Polityka", ks. IV).

Przejawy woli ludu, czyli jego uchwały, doprowadzają do destrukcji stałych zasad prawnych, podobnie jak jednoosobowy tyran doprowadza do labilności prawa, wydając coraz to nowe „akty prawne" wedle własnego widzimisię. Demagodzy demokratyczni mają naturalnie własną koncepcję prawa. „Powiadają mianowicie, że prawem jest to, co uchwali większa masa ludzi", ale to jest równie niedorzeczne jak twierdzenie zwolenników oligarchii, że wola bogaczy stanowi prawo.

Powtórzę zatem: fakt, iż owych manipulacji przy normach prawnych trwale porządkujących rzeczywistość polityczną dokonuje większość ludu lub wybrani przedstawiciele ludu, nie zdejmuje z tych działań odium tyranii. „Toteż taka demokracja odgrywa rolę analogiczną do tyranii (…). Stąd i charakter obu ustrojów jest ten sam, w obu lepsi znoszą bezwzględny ucisk, uchwały ludu są tu tym, czym tam (w jednoosobowej tyranii – przyp. P.K.) rozporządzenia, a demagog pełni rolę analogiczną do pochlebcy: jeden i drugi ma wielki wpływ, pochlebca u tyranów, demagog w takiego rodzaju demokracji (demokracji woluntarystycznej, w której lud jako wielogłowy monarcha stawia swoją wolę ponad prawem pod wpływem demagoga – przyp. P.K.)".

Demokrację jako dobrą, nomokratyczną formę ustrojową, taką, jakiej potrzebujemy, starano się uzyskać w przeszłości i utrzymywać przy życiu przez swoistą depolityzację ludu. Poprzez wytworzenie pośród ludu przeświadczenia o konieczności samoograniczenia. Konieczności przedkładania roli strażnika praw, strażnika norm ogólnych nad rolę omnipotentnego podmiotu władzy. Argumentowano, że sprawowanie władzy być może wzmaga poczucie istnienia, ale nie daje szczęścia i nie może być właściwą drogą do własnego spełnienia. Jest natomiast trudnym do wypełniania obowiązkiem. Zwracano uwagę, że aby uświadomić sobie ciężar związany z rządzeniem, niezwykle pożądane jest, aby obywatel w trakcie swojego życia nie tylko był zobligowany do posłuchu wobec władzy, lecz także miał możliwość – choćby przez jakiś czas – władzę sprawować.

Sytuacja zmienności pozycji rządzony-rządzący niezmiernie pogłębia rozumienie politycznych spraw. Notabene w starożytności wspomniana wymienność ról była istotnym warunkiem prawidłowego funkcjonowania demokracji bezpośredniej.

W każdym razie to dzięki zbudowaniu powyższej narracji i wierze w nią możliwe było utrzymanie demokracji jako systemu, w którym panuje prawo, bez stawiania nad wolą ludu czyjejś innej woli, która by to prawo wprowadzała, stała na straży jego obowiązywalności oraz nadrzędności wobec woli ludu. Ustanowienie takiej nadrzędnej woli byłoby, rzecz oczywista, przejściem do innego systemu (monarchicznego bądź tyrańskiego – jeśli byłaby to wola jednoosobowa, arystokratycznego bądź oligarchicznego – jeśli byłaby to wola grupowa).

Chcę wyraźnie podkreślić, że warunki do zbudowania wyżej nakreślonego stanu świadomości ludu są coraz trudniejsze. Raz będąc fundamentalnym, powiem, że coraz bardziej graniczą z niemożliwością. Na naszych oczach przebiega dynamiczny i całkowicie odwrotny proces skrajnego upolitycznienia demosu. „Reprezentatywna próbka" ludu jest nieustannie bombardowana pytaniami sformułowanymi przez przedstawicieli najróżniejszych ośrodków sondażowych o każdą niemal sprawę, czy to z zakresu polityki międzynarodowej, ogólnokrajowej, lokalnej, społecznej, czy też z zakresu ekonomii.

Przyszłość ustroju demokratycznego w wersji nomokratycznej, którego potrzebujemy jak kania dżdżu, aby dokonać dalszych postępów w cywilizacji, nie tylko nie jawi się jako świetlana. Jest na skraju załamania albo już stacza się w otchłannie głęboki tunel, w którym nie ma światełka. Brzmi to tragicznie i alarmistycznie. Nie sądzę jednak, aby czytelnicy tych łamów – jako realiści – chcieli odwracać wzrok od rzeczywistości tylko dlatego, że jest naga.

Prof. dr hab. Piotr Kimla pracuje w Katedrze Stosunków Międzynarodowych i Polityki Zagranicznej Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego



eprasa.pl f93f182c32



Z Galicji

Jan Widacki

Nożownicy są wśród nas. Chcecie jeszcze rewolwerowców?

Przez kilka dni ubiegłego tygodnia jednym z głównych tematów w mediach był atak nożownika, który w jarosławskim klasztorze śmiertelnie ugodził nożem jednego księdza, a kilka osób poranił. Najważniejszą częścią tego newsa było to, że napastnik był Ukraińcem. Pomijam już wypowiedzi w internecie, gdzie głos zabrali wszyscy możliwi durnie przeróżnych odcieni nacjonalizmu. Zabrali głos politycy prawicy i obsługujący prawicę dziennikarze propagandyści. Za czyn jednego człowieka, w dodatku zdaje się niepoczytalnego, czyli z definicji nieponoszącego odpowiedzialności za swoje czyny, obwiniano wszystkich Ukraińców, no i przy okazji rząd Tuska, który, popierając Ukrainę i udzielając wsparcia imigrantom z Ukrainy, jest za ten atak, zdaniem komentujących, współwinny. Można powiedzieć, że to głupota i podłość, ale też, że to nic nowego, że oni tak zawsze. Nie od dziś znamy Brauna, Mentzena bądź Czarnka.

W tej sprawie – i niestety w wielu innych – głos skrajnej prawicy jest jedynym. Strona lewicowo-liberalna milczy wyniośle. Siłą rzeczy do społeczeństwa trafia tylko ten jeden przekaz. Tym samym to on kształtuje postawy społeczne. Nie rozumiem, dlaczego koalicja po raz kolejny zostawia pole prawicowej opozycji. Gdy w maju jakiś ukraiński celebryta dopuścił się wykroczenia drogowego, dojeżdżając samochodem nad Morskie Oko, mieli czas (i widzieli w tym sens!) zabrać potępiający głos sam premier oraz minister spraw wewnętrznych i administracji. Ten drugi intensywnie zajął się sprawą i do 100-złotowego mandatu wymierzonego przez policję dorzucił od siebie… deportację. Z analizy słupków poparcia im wyszło, że tak trzeba?

Tym bardziej docenić należy nieliczne głosy, jakie na ten temat padły z ambony. Szczególnie głos rannego w ataku ks. Adriana – duchowny z obandażowaną głową wygłosił kazanie, w którym wezwał do nieobwiniania narodu ukraińskiego o zaistniałą tragedię i do modlitwy za sprawcę. Jeśli jednak głoszący od ołtarza chrześcijańskie zasady ksiądz jest ewenementem, wyróżnia się, budzi podziw, to z naszym polskim chrześcijaństwem chyba nie jest dobrze. Uczciwie trzeba przyznać, że w podobnym tonie odezwał się w tej sprawie także abp Polak. Może jeszcze któryś hierarcha, ale jego wypowiedź przeoczyłem.

Od polityków koalicji rządzącej nie oczekiwałem, że będą wzywać do przebaczenia ani tym bardziej do modlitwy za sprawcę. Ale mogli uspokoić opinię publiczną, ustawicznie przez prawicę podburzaną przeciw Ukraińcom, podając kilka ważnych prawd łagodzących nastroje. Nie wiedzieli, co powiedzieć, czy nie chcieli nic powiedzieć? A przydałoby się choćby tyle, że ubolewają nad tragedią, do jakiej doszło w klasztorze w Jarosławiu, i że sprawę wyjaśni śledztwo, które prowadzi prokuratura. Na temat poczytalności sprawcy wypowiedzą się biegli lekarze psychiatrzy, a zgodnie z kodeksem musi ich być co najmniej dwóch.

Mogli też dodać, że napadów dokonanych z użyciem noża mamy w Polsce dziennie od trzech do czterech i o większości z nich opinia publiczna w ogóle nawet nie wie, bo media o nich nie informują. W dniu tragedii w Jarosławiu były w Polsce co najmniej dwa inne podobne zdarzenia. Można było poza tym przypomnieć raz jeszcze, że dziś w Polsce cudzoziemcy stanowią ponad 7% wszystkich mieszkańców, a jest wśród nich prawie 2 mln Ukraińców. Cudzoziemcy ci popełniają razem mniej niż 4% wszystkich przestępstw, nie stanowią zatem żadnego zagrożenia, przeciwnie – procentowo popełniają oni mniej przestępstw niż „rdzenni" Polacy.

Czy naprawdę politycy rządzącej koalicji nie rozumieją, że jeśli opinię publiczną kształtować będą tylko Konfederacja z PiS, to ukształtowani przez nie ludzie później na prawicę zagłosują? Przez pierwsze pół kadencji obecnej władzy nie było rzecznika rządu. Teraz jest, ale jakby go nie było. Rząd nadal nie ma polityki informacyjnej, a posłowie większości sejmowej też wykazują w tej kwestii zadziwiającą bierność. W tym akurat przypadku mam szczególne pretensje do lewicy. I tej, co to podobno jest nowa, i tej, co nazywa się Razem, a jest osobno.

Tymczasem pan prezydent wymyślił sobie, że konieczna jest w Polsce większa dostępność broni. A pewnie. Na ustawki chodzić z maczetą czy bejsbolem, by stanąć do „szlachetnej walki", jest niewygodnie. Spluwa zmieści się w kieszeni. No i jest skuteczniejsza.

Szaleniec z nożem może zabić czy poranić najwyżej kilka osób. Szaleniec z bronią palną może ukatrupić jednocześnie kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt osób. Niech pan prezydent zapyta swojego przyjaciela Donalda Trumpa, ten mu pewnie w przerwie między kończeniem jednej i drugiej wojny opowie o doświadczeniach amerykańskich. A koalicja może niech zapyta ekspertów, co oni na to. Przecież już raz z propozycją ułatwienia dostępu do broni palnej występowali Leszek Miller i Janusz Korwin-Mikke. Już jedną taką dyskusję mamy za sobą. ■

eprasa.pl f93f182c32

Między Iranem a Kubą

Sojusznicza lojalność nie polega na serwilizmie i uleganiu cudzym interesom

Grzegorz W. Kołodko

Na scenie światowej wiele zwojować (oczywiście pokojowo) nie możemy, ale wypadałoby publicznie przeciwstawić się nieodpowiedzialności oraz destabilizującym i tak już nadwątlony globalny ład ekscesom największego współczesnego szkodnika, jakim jest prezydent USA. Donald Trump to klasyczny przykład psychopaty, który kierując się swymi urojeniami, wpycha gospodarkę światową w coraz głębszą nierównowagę gospodarczą, a deklaratywnym sentymentem do pokoju, któremu to zamiłowaniu zaprzecza swymi zaniechaniami i nieodpowiedzialnymi postępkami, przyczynia się do eskalacji napięć politycznych, a także – co gorsza – niekiedy do konfliktów militarnych. (…) Wojny Rosji z Ukrainą nie zakończył w 24 godziny, jak to nonsensownie zapowiadał podczas teatralnej kampanii wyborczej na drugą kadencję, lecz swymi niekonsekwentnymi zachowaniami umożliwia jej trwanie. Wojnę na Bliskim Wschodzie spowodował, łamiąc prawo międzynarodowe i napadając wraz z Izraelem i z jego podpuszczenia na 90-milionowy Iran. Przy okazji, już nie bredząc o jakoby należnej mu Pokojowej Nagrodzie Nobla, dołączył do zbrodniarza wojennego, jakim jest inny psychopata, premier Izraela Beniamin Netanjahu. Prezydenta Rosji, też zbrodniarza wojennego, gościł w USA tylko raz, natomiast izraelskiego militarystę aż pięciokrotnie.

Izraelskie zbrodnie

Już poprzedni prezydenci USA – nie tylko republikański George W. Bush (2001-2009), lecz również demokratyczni liderzy: Bill Clinton (1993-2001), Barack Obama (2009-2017) i Joe Biden (2021-2025) –



pozostawali pod wpływem izraelskiego skrajnego syjonisty, jakim jest Netanjahu z jego ideą Wielkiego Izraela. Zakłada ona trwałą aneksję ziem palestyńskich i wyklucza powstanie palestyńskiego państwa, podczas gdy akurat to jest wstępnym warunkiem pokojowego rozwiązania konfliktu bliskowschodniego. Już od 1996 r., kiedy po raz pierwszy został premierem, Netanjahu w swojej polityce inspiruje się dokumentem politycznym znanym jako „A Clean Break: A New Strategy for Securing the Realm" (Całkowity przełom: Nowa strategia zabezpieczenia domeny), który odrzuca koncepcję „ziemia za pokój" na rzecz zagarnięcia terytoriów palestyńskich, jeśli nie przy otwartej zgodzie reżimów panujących w sąsiednich krajach, to przynajmniej przy ich cichej tolerancji. Największy opór pod tym względem stawia konsekwentnie Iran. To właśnie dlatego, a nie z powodu jakoby egzystencjalnego zagrożenia dla Izraela pragnie on obalić reżim ajatollahów, wciągając do tego dzieła tym razem prezydenta Trumpa, który daje się manipulować proizraelskiemu lobby, przy okazji jeszcze mając na uwadze interesy lobby naftowego.

W takim kontekście tym bardziej żenujące jest, że polska polityka i dyplomacja jednoznacznie nie napiętnowała izraelskich zbrodni w palestyńskiej Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu, które nie tylko były i są tolerowane przez USA, lecz są możliwe wskutek niegasnącego amerykańskiego wsparcia finansowego i militarnego. Żenujące jest, że Polska nie potępiła głośno bezprawnego amerykańskiego ataku na Iran, dla którego uzasadnieniem ma być kłamstwo o możliwości rychłego wyprodukowania przezeń broni jądrowej. To takie samo kłamstwo jak w 2003 r., kiedy przed napaścią na Irak wmawiano opinii publicznej, że jest on w posiadaniu broni masowego rażenia. Nie był. Niestety, Polska wtedy uczestniczyła w tamtym bezprawiu i militarnej awanturze, więc dobrze, że tym razem przynajmniej nie dała się wciągnąć w kolejne amerykańskie ekscesy wojenne.

Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej stanowczo orzekła, że nie ma żadnych dowodów na istnienie bomby. Tulsi Gabbard, dyrektor amerykańskiego Wywiadu Narodowego (National Intelligence, NI), zeznając przed komisją kongresową, jednoznacznie stwierdziła, że irański program nuklearny został „unicestwiony" w wyniku wcześniejszego zbombardowania przez USA, i pisemnie oznajmiła, iż „od tego czasu nie podjęto żadnych działań mających na celu odbudowę ich zdolności wzbogacania [uranu do poziomu niezbędnego do wyprodukowania broni jądrowej]". Joe Kent, dyrektor Narodowego Centrum Antyterrorystycznego (National Counterterrorism Center, NCTC), zrezygnował z funkcji, oświadczając, że „z czystym sumieniem nie mogę poprzeć trwającej wojny w Iranie. (…) Iran nie stanowił bezpośredniego zagrożenia dla naszego kraju i jest jasne, że rozpoczęliśmy tę wojnę pod presją Izraela i jego potężnego amerykańskiego lobby".

eprasa.pl f93f182c32

Nie czas milczeć

A polscy politycy milczą i w kółko powtarzają, jakim to znakomitym głównym sojusznikiem są Stany Zjednoczone, także te pod maniakalnymi rządami Trumpa 2.0. Wiceminister spraw zagranicznych Teofil Bartoszewski posunął się nawet do tego, że publicznie powtórzył jego ewidentne kłamstwa, iż to Iran sam zbombardował szkołę podstawową na południu kraju w Minab, wskutek czego zginęło ok. 170 osób, w tym ponad 100 dziewczynek w wieku od siedmiu do 12 lat, chociaż niezależne źródła dowiodły, że tej zbrodni wojennej dokonały USA. Podczas gdy Amnesty International i UNESCO wezwały do pociągnięcia do odpowiedzialności za ten haniebny atak, Polska pod naciskami ulubionego sojusznika szczerzy militarne zęby, zakupując za oceanem coraz więcej uzbrojenia…

Są w Unii Europejskiej przywódcy, którzy potrafią z uniesioną głową potępiać nie tylko rosyjski, tak jak my, lecz również amerykański militaryzm i przeciwstawiać się zbrojeniowemu szaleństwu. Szczególnie znaczący jest tu głos premiera Hiszpanii Pedra Sáncheza, który wpierw jednoznacznie przeciwstawił się żądaniom USA, aby wydatki określne jako obronne podnieść z dotychczas sugerowanych (sugerowanych, bo to nie obowiązek obwarowany prawem) 2% do aż 5% PKB, a przy okazji amerykańsko-izraelskiej napaści na Iran nie wyraził zgody na używanie hiszpańskich lotnisk przez samoloty USA zmierzające ze swymi rakietami i bombami nad Iran.

Charakter pokazała także, nie po raz pierwszy, premier Włoch Giorgia Meloni, oświadczając w połowie kwietnia 2026 r., że „w świetle aktualnej sytuacji rząd podjął decyzję o zawieszeniu automatycznego odnawiania umowy obronnej z Izraelem", z którym Polska bez przerwy współpracuje w sferze militarnej, kooperując w produkcji zbrojeniowej, transferując technologie i zakupując sprzęt wojskowy.

Co zaś do Stanów Zjednoczonych, to dobrze, że tym razem nie uległa ich presji i nie zgodziła się przesłać nad Zatokę Perską wyrzutni Himars (High Mobility Artillery Rocket System), systemu artylerii rakietowej wysokiej mobilności, aczkolwiek niektórzy politycy opowiadali się za takim „sojuszniczym gestem". Raz jeszcze trzeba powtórzyć, że sojusznicza lojalność nie polega na serwilizmie i uleganiu cudzym interesom, ale na przestrzeganiu wspólnie ustalonych zasad i na solidarności w obliczu rzeczywistych zagrożeń.

Groźby miłośnika pokoju

Samozwańczy kandydat do pokojowego Nobla w 442. dniu swej drugiej prezydentury przeszedł sam siebie, gdy grożąc napadniętemu na jego rozkaz Iranowi, wywołał dreszcze przerażenia także daleko od Zatoki Perskiej: „Cała cywilizacja zginie



Fragment książki Grzegorza W. Kołodki *Niebezpieczne bezpieczeństwo*, Polskie Wydawnictwo Ekonomiczne, Warszawa 2026

dziś w nocy i nigdy nie zostanie przywrócona". To język barbarzyńcy. Taka retoryka, pasująca bardziej do Hitlera niż do prezydenta USA – i to w roku, kiedy to wielkie państwo obchodzi swoje 250-lecie – była czymś nie do pomyślenia nawet w najgorszym okresie poprzedniej zimnej wojny. Brian Finucane, były doradca prawny Departamentu Stanu, skomentował słowa Trumpa następująco: „To zagrożenie dla »całej cywilizacji« można by wiarygodnie interpretować jako groźbę ludobójstwa", a korespondent Departamentu Stanu USA Tom Bateman, odnosząc się w światowym serwisie BBC do tej kuriozalnej wypowiedzi, dodał: „Stany Zjednoczone są sygnatariuszem Konwencji w sprawie ludobójstwa z 1948 r., która zobowiązuje umawiające się strony do »zapobiegania i karania« zbrodni ludobójstwa, definiowanej jako »czyny popełnione w zamiarze zniszczenia w całości lub w części grupy narodowej, etnicznej, rasowej lub religijnej«".

Donald Trump – choć to cudotwórca, bo jak bałwochwalczo oświadcza, „cokolwiek mówię i cokolwiek robię, działa bardzo dobrze" – coraz częściej nie wytrzymuje nerwowo, niekiedy nawet publicznie przeklina („Open the fucking strait, you crazy bastards, or you'll be living in hell – JUST WATCH!"), bo już nie daje sobie rady ze skutkami własnych błędów. Jest zaskoczony tym, że Iran w odpowiedzi na jego bezprawny napad, który według naiwnych wyobrażeń w Waszyngtonie już po kilku dniach miał zakończyć się amerykańskim triumfem, zareagował zablokowaniem cieśniny Ormuz, przez którą przepływa około jednej piątej światowego handlu ropą naftową i gazem. Czy mógł tego nie zrobić, skoro w obliczu zmasowanych izraelskich i amerykańskich bombardowań to jego najbardziej skuteczna linia obrony, wymusza bowiem nacisk na agresora ze strony innych krajów, które dotykają niedobory i drożyzna tych surowców energetycznych? Sześć lat temu pisałem: „Jeśli Izrael – obojętne, z amerykańskim przyzwoleniem czy bez niego – zbombarduje irańskie instalacje nuklearne, na co ochotę mają nie od dziś jastrzębie z Tel Awiwu, to Iran odpowie zablokowaniem cieśniny Ormuz. Wtedy ropa naftowa będzie nie po 25 dol. za baryłkę, do której to niskiej ceny doprowadziły gospodarcze frykcje wywołane pandemią, ale być może po 125 dol.".

Kubański syndrom

Na początku wiosny 2026 r. Trump się odgrażał: „Weźmy Kubę. To znaczy, jeśli ją wyzwolę, to ją wezmę. Myślę, że mogę z nią zrobić, co

eprasa.pl f93f182c32



Prezydent Donald Trump przyjmuje premiera Beniamina Netanjahu w Białym Domu, 7 kwietnia 2025 r.

chcę". Miesiąc później na jednym z wieców, odnosząc się do tego, co USA czyniły wobec Iranu, zapewniał, że „już wkrótce ta potężna siła przyniesie również dzień, na który czekaliśmy 70 lat. Nazywa się Nowy Świt dla Kuby". Oczywiście nie może zrobić, czego zechce, ale zrobić wiele złego na pewno może.

Te 70 lat to zaokrąglony w górę okres od obalenia w 1959 r. wspieranej przez USA autorytarnej, do szpiku kości skorumpowanej dyktatury Fulgencia Batisty. Za jego bezwzględnych rządów Kuba była traktowana przez wielu Amerykanów jak kasyno i dom publiczny, a Fidel Castro swoją rewolucją zrobił z niej społeczeństwo i państwo. Przez cały czas, po dziś dzień kraj ten jest pod pręgieżem dotkliwych amerykańskich sankcji. Gdyby nie represje gospodarcze i polityczne, ta piękna tropikalna wyspa mogłaby prosperować podobnie jak sąsiednia Dominikana. Niestety, nie mogło tak się stać również dlatego, że kubański reżim czasów braci Castro i ich następców nie potrafił zreformować systemu tak, jak uczynił to np. Wietnam. Te dwa czynniki – amerykańskie sankcje i ortodoksyjny system państwowego socjalizmu – doprowadziły Kubę do obecnego opłakanego stanu.

Historia nie powtarza się dwa razy, ale obawiać się można, że po upadku panującego w Hawanie dysfunkcjonalnego systemu Kuba znowu się pogrąży i ten „nowy świt" może kojarzyć się z dawnym miejscem rozrywek i uciech. Spodziewając się załamania niezreformowanego ustroju kubańskiego, nie przypuszczałem, że przetrwa on w tej formie aż do teraz. Już niemal 20 lat temu pisałem: „Nie mam najmniejszych wątpliwości, że transformacja posocjalistyczna na Kubie będzie jedną z najbardziej brutalnych, zasługującą na najgorszą ocenę w kategoriach etycznych, jakimi posługujemy się w naszym, środkowoeuropejskim kontekście. Proces ten zostanie zdominowany przez kilka transnarodowych korporacji oraz przez mafię z Miami, z wszystkimi tego implikacjami, ale także i z odpowiednią retoryką – także o demokracji, sprawiedliwości, etyce. Amerykańscy i kubańscy ekonomiści i politycy, nie wspominając już o publicystach – a w Polsce też znajdzie się wielu gorliwców – będą wydziwiać i rozdzierać szaty, jak to było źle. I jak teraz jest niby dobrze – gdy już transformacja rozwinie skrzydła, a przy okazji wielu ludzi zostanie wykluczonych z dotychczasowego obiegu społeczno-gospodarczego i zepchniętych szybko na społeczny margines.

Amerykańskie sankcje i ortodoksyjny system państwowego socjalizmu doprowadziły Kubę do obecnego opłakanego stanu.

Czy tak stać się musi? Przecież my, w innej części świata, mamy już na temat transformacji znakomitą wiedzę *ex post*, która gdzie indziej może być wykorzystana jako wiedza *ex ante*. I skąd się bierze nieuchronność tego, że przebieg transformacji będzie taki, a nie inny, choć tam na dobrą sprawę jeszcze się ona nie zaczęła? Otóż stąd, że krzyżują się dwie wielkie sprawy. Po pierwsze – interesy, po drugie – wartości. W trosce o interesy silniejszych i zamożniejszych zostaną narzucone mechanizmami politycznymi takie wartości, że gdy wszyscy zorientują się, o co naprawdę chodzi (a chodzić będzie raz jeszcze o wielką redystrybucję majątków i dochodów), za późno już będzie na odwrócenie procesu". Niestety, Kubańczycy nie skorzystali z naszych doświadczeń w ustrojowej transformacji i nie zechcieli oprzeć swych reform na dobrych radach, no to teraz „pomogą" im Stany Zjednoczone z całą ich dobrotliwością i z prezydentem, który może robić z ich krajem, co chce…

Grzegorz W. Kołodko – profesor ekonomii, wykładowca Akademii Leona Koźmińskiego, wicepremier i minister finansów w latach 1994-1997 i 2002-2003. Najczęściej na świecie cytowany polski ekonomista

FOT. WHITE HOUSE PHOTO/DANIEL TOROK, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl f93f182c32

Kapitalizm i realizm



Andrzej Szahaj

Indie – wielkie rozczarowanie

Jako młody człowiek namiętnie czytałem książki hinduskiego filozofa Jiddu Krishnamurtiego. Fascynacja jego filozofią szybko mi przeszła, choć do dziś pamiętam ciekawe fragmenty jego prac, np. twierdzenie „że tylko pusty umysł może poznać prawdę". Bez względu jednak na moje sympatie filozoficzne czy literackie zawsze z wielkim szacunkiem i uznaniem myślałem o kulturze hinduskiej. Nie byłem w tym sam. Zachód co najmniej od drugiej połowy XIX w. traktował Indie jako duchową ziemię obiecaną. Wystarczy wymienić mojego ulubionego pisarza Hermana Hessego czy słynnego niemieckiego filozofa Arthura Schopenhauera.

Wiek XX tę fascynację jeszcze wzmógł, choćby za sprawą wielkiego poety i pisarza hinduskiego Rabindranatha Tagorego (Literacka Nagroda Nobla w 1913 r.) czy polityka opowiadającego się po stronie walki bez użycia przemocy – Mahatmy Gandhiego. Z okresu młodości pamiętam też dobrze fascynację kulturą hinduską wielu członków tzw. ruchu kontrkultury (był mi on nader bliski, nie przypadkiem nosiłem wtedy włosy do ramion…), z wielkim poetą amerykańskim Allenem Ginsbergiem na czele, a także indyjskie zauroczenia Beatlesów plus znakomitą muzykę Raviego Shankara – indyjskiego wirtuoza gry na sitarze.

Wszystko to powodowało, że w mojej głowie powstał wyidealizowany obraz Indii jako kraju pełnego uduchowionych mędrców, ludzi wyzbytych chęci stosowania przemocy, zawsze opowiadających się za pokojem i miłością. Jasne, wszystko to było wyrazem naiwności młodego człowieka, który poszukiwał gdzieś oazy duchowości w nader prozaicznym i smętnym świecie tzw. realnego socjalizmu. Wraz z wiekiem moja fascynacja Indiami powoli odchodziła w przeszłość, ale zaciekawienie, szacunek i uznanie pozostały. Gdy zatem nadarzyła się okazja (konferencja naukowa w New Delhi), skorzystałem z niej i odwiedziłem ten kraj.

Wrażenia były mieszane. Z jednej strony, olśnienie takimi zabytkami jak Tadź Mahal, a z drugiej – przerażenie indyjską codziennością. Niezwykła wprost żywotność indyjskiej ulicy, natężenie bodźców wzrokowych, słuchowych i węchowych, które wprawiały mnie w stan euforii, ale i niebywała skala cierpienia, które wylewało się dosłownie z każdego zakątka i wprawiało mnie w przygnębienie, skłaniając do jak najszybszej ucieczki do świata, gdzie cierpienie nie jest tak obfite i tak manifestacyjne.

Nieco zaszokowały mnie obyczaje akademickie, np. czołobitne, publiczne oddawanie czci profesorowi, który konferencję zorganizował i jej przewodniczył, przez jego asystentów. No ale uznałem to za kwestię odmienności kulturowej. Dużo mniejszym szokiem było obserwowanie wychudzonej krowiny, która dostojnie kroczyła schodami do stacji metra. Wszak nasłuchałem się wcześniej i naczytałem o „świętych krowach". Niestety, nie zobaczyłem żadnego słonia, który przechadzałby się po sławnym miejskim targu Pahargandź (co drugi sprzedawca znał polski), a było to niegdyś codziennością, jak przekonywał mnie przyjaciel towarzyszący mi w podróży do Indii i znający ten kraj z wielokrotnych wcześniejszych pobytów.

Wróciłem do Polski z mieszanymi odczuciami, nadal jednak pełen szacunku i uznania dla Indii. A teraz widzę obrazki, które budzą moje fundamentalne wątpliwości moralne i polityczne. Oto premier Indii ściskający się z Putinem, zaglądający mu w oczy z wielkim uznaniem i miłością. Twarde i niezwykle bolesne dla mnie fakty:

Sojusz Indii i Rosji podszyty jest oczywiście nienawiścią do Zachodu.

Indie kupują ogromne ilości ropy naftowej od Rosji, przerabiają ją w swoich rafineriach i sprzedają Europie jako swój produkt. Dostarczają Rosji w ten sposób środków finansowych, wydatkowanych przez nią na wojnę z Ukrainą. Stają przez to jednoznacznie po stronie zła. Gdzie tu moralność? Gdzie umiłowanie pokoju? Nie ma, przegrały z kalkulacjami finansowymi i politycznymi.

Ten sojusz Indii i Rosji podszyty jest oczywiście nienawiścią do Zachodu. Indie mają powody, aby ją żywić. Jako była kolonia Wielkiej Brytanii kraj ten aż za dobrze pamięta o krzywdach wyrządzanych przez kolonizatorów. Ale czy to wystarczające usprawiedliwienie, aby dziś stanąć po stronie agresora? I to takiego, który sam ma na sumieniu wielkie grzechy kolonizatorskie (Kaukaz, Syberia, Daleki Wschód). Mam wrażenie, że nie tylko dla mnie taka postawa Indii to ogromny zawód. Można ją składać na karb przywództwa, jakie nad tym krajem od wielu lat sprawuje Narendra Modi, postać – delikatnie rzecz ujmując – kontrowersyjna. Jednak został on wybrany demokratycznie, co pokazuje, że jego polityka nacjonalizmu hinduskiego skierowanego przeciwko muzułmanom, stopniowe osłabianie demokracji, skłonności do autorytaryzmu, a wreszcie wątpliwe sojusze polityczne znajdują uznanie w oczach Hindusów. To smutne. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f93f182c32

Bohdan Piętka

Sprawiedliwość w Norymberdze

Osądzono 22 najwyższych funkcjonariuszy III Rzeszy, 12 skazano na śmierć

1 października 1946 r. rozegrał się ostatni akt II wojny światowej w Europie. Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze ogłosił wyrok w głównym procesie zbrodniarzy wojennych III Rzeszy Niemieckiej. Był to fakt bez precedensu w dziejach ludzkości. Nigdy dotąd międzynarodowy sąd nie osądził i nie skazał członków kierownictwa państwa za zbrodnie popełnione pod ich nadzorem. Nie udało się tego zrobić po zakończeniu I wojny światowej. Niemcy zobowiązały się wtedy postawić swoich zbrodniarzy wojennych przed sądami, jednak w praktyce nikogo nie ukarano.

Bardzo szybko w Republice Weimarskiej doszedł do głosu rewanżyzm, którego głosicielem był ruch hitlerowski. Pogląd, że traktat wersalski był straszną krzywdą dla narodu niemieckiego, zdobył popularność i pogrzebał szansę na rozliczenie niemieckiego sprawstwa I wojny światowej oraz popełnionych w jej trakcie zbrodni. Utorował także Hitlerowi drogę do władzy i wywołania II wojny światowej. Dopiero zupełna klęska III Rzeszy w tej wojnie umożliwiła po raz pierwszy w dziejach międzynarodowe osądzenie zbrodni wojennych.

Przygotowania i przebieg

W rezultacie powietrznej ofensywy aliantów zachodnich w latach 1942-1945 Norymberga była wielokrotnie bombardowana i została prawie zupełnie zniszczona. Jednak alianckie lotnictwo celowo oszczędziło jeden budynek – Pałac Sprawiedliwości.

Wybór Norymbergi na miejsce procesu karnego kierownictwa nazistowskich Niemiec nie był przypadkiem. Miasto miało znaczenie dla ruchu nazistowskiego, w latach 1933-1939 odbywały się tam coroczne zjazdy – parteitagi – NSDAP. Tam zostały ogłoszone w 1935 r. tzw. ustawy norymberskie, będące podstawą do prześladowań i późniejszej zagłady Żydów europejskich.

Decyzję o osądzeniu i ukaraniu zbrodni hitlerowskich podjęto podczas trzech konferencji wielkiej trójki, a sprecyzowano zamiar podczas konferencji w Poczdamie (17 lipca-2 sierpnia 1945 r.). Na konferencji londyńskiej 8 sierpnia 1945 r. przyjęto kartę podpisaną przez cztery mocarstwa: USA, Wielką Brytanię, Francję i ZSRR, która ustalała zasady przeprowadzenia procesu, powołano również Międzynarodowy Trybunał Wojskowy. Zostali do niego delegowani przedstawiciele Sądów Najwyższych czterech mocarstw. Sporządzony przez nich akt oskarżenia obejmował podżeganie do wojny i jej przygotowanie, dokonanie zbrodni przeciwko pokojowi, zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości. Pojęcia te sformułowano wtedy po raz pierwszy i weszły one na trwałe do kanonu międzynarodowego prawa karnego.

W skład delegacji polskiej weszli prawnicy Tadeusz Cyprian, Stefan Kurowski (jej szef), Stanisław Piotrowski i Jerzy Sawicki.

Pierwszy i główny proces norymberski toczył się przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym od 20 listopada 1945 r. do 1 października 1946 r. Przewodniczącym składu sędziowskiego został Geoffrey Lawrence (Wielka Brytania), a członkami William Norman Birkett (Wielka Brytania), Francis Biddle i John Parker (USA), Henri Donnedieu de Vabres i Robert Falco (Francja) oraz Iona Nikitczenko i Aleksander Wołczkow (ZSRR).

W ciągu 10 miesięcy i 10 dni pracy trybunał norymberski odbył 403 sesje jawne. Podczas nich zeznania złożyło 240 świadków. Oskarżenie przedstawiło materiał dowodowy liczący 2630 dokumentów, a obrona 2700 dokumentów. Protokół stenograficzny sporządzony w trakcie procesu liczył 16 tys. stron.

Osądzono 22 najwyższych funkcjonariuszy III Rzeszy, z których 12 skazano na karę śmierci. Przy czym Martin Bormann skazany został zaocznie, bo nie wiedziano wtedy, że zginął w Berlinie 2 maja 1945 r. Pozostali skazani na śmierć to: Hans Frank, Wilhelm Frick, Hermann Göring, Alfred Jodl, Ernst Kaltenbrunner, Wilhelm Keitel, Joachim von Ribbentrop, Alfred Rosenberg, Fritz Sauckel, Arthur Seyss-Inquart i Julius Streicher.

Na karę dożywotniego więzienia zostali skazani trzej oskarżeni: Walther Funk, Erich Raeder i Rudolf Hess. Na 20 lat więzienia skazano dwóch: Baldura von Schiracha i Alberta Speera, Konstantin von Neurath otrzymał karę 15 lat, a Karl Dönitz 10 lat więzienia. Trzech oskarżonych uniewinniono – byli to Hans Fritzsche, Franz von Papen i Hjalmar Schacht.

Skazani na śmierć zostali straceni przez powieszenie 16 października 1946 r. z wyjątkiem Göringa, który popełnił samobójstwo przed egzekucją. Ich zwłoki skremowano w Monachium, a prochy wrzucono do Izary.

eprasa.pl f93f182c32



Oskarżeni podczas sesji otwierającej. W pierwszym rzędzie od lewej: Hermann Göring, Rudolf Hess, Joachim von Ribbentrop, Wilhelm Keitel, Ernst Kaltenbrunner, Alfred Rosenberg, Hans Frank, Wilhelm Frick, Julius Streicher i Walther Funk. Z tyłu: Karl Dönitz, Erich Raeder, Baldur von Schirach, Fritz Sauckel, Alfred Jodl, Franz von Papen, Arthur Seyss-Inquart, Albert Speer, Konstantin von Neurath oraz Hans Fritzsche.

Trybunał norymberski uznał SS, SD, gestapo i kierownictwo NSDAP za organizacje przestępcze. Statut trybunału i wyrok zostały zatwierdzone 13 lutego i 11 grudnia 1946 r. przez Zgromadzenie Ogólne ONZ jako tzw. zasady norymberskie. Dwie najważniejsze spośród sześciu głównych zasad norymberskich mówią, że prawo międzynarodowe może penalizować czyny nieścigane w prawie wewnętrznym poszczególnych państw, a pełnione funkcje państwowe nie zwalniają z odpowiedzialności przed międzynarodowymi sądami karnymi.

Czy nie jesteśmy świadkami podważenia, a nawet obalenia spuścizny Norymbergi?

Polski udział

Umowa londyńska z 8 sierpnia 1945 r. przewidywała udział w procesie norymberskim jedynie przedstawicieli czterech mocarstw. Po naleganiach strony polskiej dopuszczono ją do procesu w formie delegacji, której rola ograniczała się do dostarczenia trybunałowi materiału dowodowego, wglądu w powiązaną dokumentację i prawa przesłuchiwania osób podejrzanych o zbrodnie popełnione na ziemiach polskich.

W skład delegacji polskiej weszli prawnicy Tadeusz Cyprian, Stefan Kurowski (szef delegacji), Stanisław Piotrowski i Jerzy Sawicki. Wspierał ich koordynujący zespół prawników w składzie: Aleksander Bramson, Manfred Lachs, Marian Muszkat (szef Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce), Jan Sehn (sędzia śledczy GKBZNwP), Mieczysław Szerer i Henryk Świątkowski (powojenny minister sprawiedliwości). Sporządzili oni tzw. polski akt oskarżenia, który liczył ponad 100 stron i dokumentował najważniejsze fakty dotyczące zbrodni i polityki okupacyjnej III Rzeszy na ziemiach polskich. Został on potraktowany przez trybunał jako materiał dowodowy. Na procesie zeznawało dwoje świadków z Polski: Seweryna Szmaglewska (więźniarka polityczna KL Auschwitz nr 22090) i Samuel Rajzman (Żyd ocalony z obozu zagłady w Treblince).

Delegacja polska uznała, że trybunał norymberski nie uwzględnił należycie przedstawionych przez nią skarg. Dlatego 18 lutego 1946 r. powołano w Warszawie Najwyższy Trybunał Narodowy, zwany niekiedy „polską Norymbergą". Dla Polskiej Agencji Prasowej proces norymberski relacjonował Marian Podkowiński – żołnierz AK i uczestnik powstania warszawskiego, po wojnie korespondent „Robotnika" i „Trybuny Ludu" w Niemczech.

Następstwa

Główny proces zbrodniarzy nazistowskich w Norymberdze otworzył drogę do 12 procesów następczych. Postępowania te zostały wszczęte przez Office of the US Chief

eprasa.pl f93f182c32



Proces norymberski przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym trwał od 20 listopada 1945 r. do 1 października 1946 r. W składzie sędziowskim znaleźli się od lewej: Aleksander Wołczkow, Iona Nikitczenko (ZSRR), William Norman Birkett, Geoffrey Lawrence (Wielka Brytania) i Francis Biddle (USA).

of Counsel for War Crimes (Biuro Głównego Oskarżyciela USA ds. Zbrodni Wojennych, OCCWC) i odbywały się od 9 grudnia 1946 r. do 13 sierpnia 1949 r. Były to: proces lekarzy, proces Erharda Milcha, proces prawników, proces SS-WVHA (Głównego Urzędu Gospodarki i Administracji SS), proces Friedricha Flicka, proces koncernu IG Farben, proces dowódców na Bałkanach, proces RuSHA (Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa SS), proces Einsatzgruppen (grup operacyjnych Policji Bezpieczeństwa), proces koncernu Kruppa, proces ministerstw i proces wyższego dowództwa.

Niezależnie od tych procesów po wojnie odbyły się postępowania karne przeciwko sprawcom zbrodni popełnionych w niemieckich obozach koncentracyjnych. Najbardziej znanym spośród nich był przewód sądowy przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Warszawie przeciwko pierwszemu komendantowi KL Auschwitz Rudolfowi Hössowi, który zakończył się wydaniem 2 kwietnia 1947 r. wyroku śmierci. Drugi proces oświęcimski odbył się przed Najwyższym Trybunałem Narodowym na sesji wyjazdowej w Krakowie. Aktem oskarżenia objęto 40 funkcjonariuszy załogi KL Auschwitz, z których 23 skazano na karę śmierci.

Podobne procesy miały miejsce przed Specjalnym Sądem Karnym w Gdańsku w sprawie załogi KL Stutthof oraz przed amerykańskimi i brytyjskimi trybunałami wojskowymi w sprawie załóg KL Bergen-Belsen, KL Buchenwald, KL Flossenbürg, KL Mauthausen, KL Natzweiler, KL Neuengamme, KL Ravensbrück i KL Sachsenhausen.

Przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Polsce odbyły się też procesy m.in. Josefa Bühlera (sekretarza stanu w tzw. rządzie Generalnego Gubernatorstwa), Ludwiga Fischera (gubernatora dystryktu warszawskiego GG), Alberta Forstera (namiestnika Okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie), Arthura Greisera (namiestnika Kraju Warty) i Amona Götha (komendanta KL Płaszów).

Zimna wojna przyniosła z początkiem lat 50. zawrócenie z drogi, którą wytyczył proces norymberski. Na Zachodzie ograniczono ściganie zbrodniarzy nazistowskich. Sądy Republiki Federalnej Niemiec były z reguły łagodne, a czasem wręcz pobłażliwe dla oprawców. W wielu przypadkach wydane przez nie wyroki okazały się skandalicznie niskie. Przykładem tego może być wyrok w trwającym od 26 listopada 1975 r. do 30 czerwca 1981 r. procesie zbrodniarzy z Majdanka (KL Lublin) w Düsseldorfie. Główną oskarżoną skazano na dożywocie, ale poza tym zasądzono kary od 3 do 12 lat pozbawienia wolności dla siedmiu oskarżonych, pięciu uniewinniono, a dwóch zwolniono z postępowania z powodu choroby.

Dyskredytacja

W sprawie procesu norymberskiego w Niemczech do dzisiaj panuje przekonanie, że odbył się „sąd zwycięzców nad zwyciężonymi". Określenie to było i jest wyłącznie nacjonalistyczną propagandą. Wygodnym pretekstem do dyskredytowania procesu norymberskiego – nie tylko dla środowisk neonazistowskich – stał się udział w nim ze strony ZSRR stalinowskich zbrodniarzy sądowych Iony Nikitczenki i Romana Rudenki (główny oskarżyciel). Narrację, że proces norymberski był z tego powodu „farsą", bardzo chętnie powielają radykalne środowiska antykomunistyczne na całym świecie, w tym w Polsce po 1989 r.

Takie deprecjonowanie procesu norymberskiego usuwa w cień jego

eprasa.pl f93f182c32

znaczenie w wymierzeniu sprawiedliwości zbrodniarzom hitlerowskim i jako wzorca dla podobnych działań w przyszłości. Nie ma nic bardziej mylnego od narracji o „farsie" w Norymberdze. Negatywny wpływ Rudenki na ostateczną sentencję pierwszego procesu norymberskiego był nikły, czego najlepszym dowodem jest to, że nie udało mu się przypisać zbrodni katyńskiej Niemcom. Skład orzekający uznał, że zbrodnia katyńska została popełniona, ale nie wskazał przez kogo. Ta porażka Rudenki i Stalina otworzyła długą drogę do przyznania się przez ZSRR w 1990 r. do sprawstwa zbrodni.

Na podstawie relacji amerykańskiego sędziego Francisa Biddle'a i brytyjskiego sędziego Williama N. Birketta amerykański historyk Bradley F. Smith w wydanej w 1977 r. książce „Reaching judgment at Nuremberg" (Wydanie wyroku w Norymberdze) skutecznie przeciwstawił się legendzie, że we wszystkich istotnych punktach trybunał norymberski przyjął optykę oskarżenia. Smith dowiódł, z jakim trudem przyszło ośmiu sędziom ustalić w wielu sprawach sentencję wyroku, jak daleko szły rozbieżności i jak ostre były zakulisowe konflikty pomiędzy sędziami czterech zwycięskich mocarstw.

To pozwala zrozumieć zaskakująco łagodne lub niespodziewanie wysokie wyroki, jakie zapadły w Norymberdze. W dwóch okresach obradowania (2-10 września i 10-13 września 1946 r.) swoją opinię mogło wyrazić wszystkich ośmiu sędziów. Jednak w naradzie zamykającej liczyły się głosy tylko czterech członków zwyczajnych trybunału, nie ich zastępców. Ostateczne orzeczenie zapadło w gronie trzech sędziów.

Zupełnie bezpodstawne są zatem twierdzenia, że w Norymberdze zrealizowano jakiś z góry zaplanowany scenariusz, że odegrano pokazowe widowisko, a wyroki wydano jeszcze przed procesem. Tak nie było. Podczas 13 procesów norymberskich osądzono 199 oskarżonych, z których 38 zostało uniewinnionych. To najlepszy dowód, że alianci nie przyjęli założenia o zbiorowej winie narodu niemieckiego i że procesy te w niczym nie urągały standardom wymiaru sprawiedliwości.

Znaczenie

Główny proces norymberski i procesy następcze umożliwiły pokazanie Niemcom i światu rzeczywistego obrazu zbrodniczej machiny III Rzeszy oraz sposobu jej działania. Ujawniły tysiące urzędowych dokumentów niemieckich: rozkazy napaści na poszczególne państwa, rozkazy mordowania jeńców wojennych, dowody dotyczące mordowania przeciwników reżimu hitlerowskiego, zagłady osób niepełnosprawnych oraz narodów „mniej wartościowych rasowo", czyli Żydów i Słowian.

Rozkazy te i zarządzenia, a niekiedy również dzienniki pisane przez oskarżonych – np. dziennik generalnego gubernatora Hansa Franka – stanowiły oskarżenie sprawców sporządzone ich własną ręką przeciw samym sobie. Przeprowadzenie głównego procesu w Norymberdze pokazało, kto oprócz Hitlera, Goebbelsa i Himmlera, którzy w chwili katastrofy III Rzeszy popełnili samobójstwo, ponosi największą winę.

Norymberga stała się kamieniem milowym na ciernistej drodze do penalizacji zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości. Plonem procesu norymberskiego są międzynarodowe konwencje o prawach człowieka i zapobieganiu ludobójstwu. Takie pojęcia jak agresorzy, wojna napastnicza, ludobójstwo (genocide) czy zbrodnie przeciwko ludzkości weszły do słownika pojęć prawnych właśnie dzięki procesowi w Norymberdze. Powstanie międzynarodowego prawa, które penalizuje napaść wojenną, łamanie praw człowieka i zbrodnię ludobójstwa, jest wyłączną zasługą działalności trybunału norymberskiego.

Na Zachodzie ograniczono ściganie zbrodniarzy nazistowskich. Sądy RFN były z reguły łagodne, wręcz pobłażliwe dla oprawców.

Co pozostało z procesu po 80 latach? W 1946 r. uznano, że zasady norymberskie powinny mieć zastosowanie wobec wszystkich zbrodni wojennych i ludobójstwa, gdziekolwiek byłyby popełniane. Jednakże w okresie zimnej wojny zbyt długo odrzucano ideę powołania stałego trybunału międzynarodowego. Od tego czasu ludzkość doświadczyła wielu wojen, podczas których popełniono rozliczne zbrodnie, chociaż nie w takim wymiarze jak te zaplanowane i popełnione przez Niemcy hitlerowskie.

Ożywienie spuścizny prawnej Norymbergi nastąpiło po 50 latach, kiedy świat stanął w obliczu zbrodni, których dopuszczono się na Bałkanach po rozpadzie Jugosławii. Przyjęło wówczas postać Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze.

Osądzenie zbrodni popełnionych podczas wojen będących następstwem rozpadu Jugosławii nie było wolne od kontrowersji. Jednak polemiki te nie mogą być usprawiedliwieniem dla faktycznej rehabilitacji w Serbii głównego serbskiego zbrodniarza wojennego Ratka Mladicia, której wyrazem były okazały pogrzeb 7 września br. z udziałem członków rządu serbskiego i towarzysząca temu narracja gloryfikująca sprawcę zbrodni w Srebrenicy jako bohatera narodowego.

Stany Zjednoczone, jedna z głównych sił napędowych procesu norymberskiego, za prezydentury George'a Busha juniora odmówiły uznania Międzynarodowego Trybunału Karnego, a za prezydentury Trumpa nałożyły na MTK sankcje w związku z dochodzeniem w sprawie zbrodni izraelskich popełnionych w Strefie Gazy i wydaniem nakazu aresztowania premiera Izraela. Nakaz ten został też zdyskredytowany przez wiele innych państw, w tym Polskę.

To wszystko rodzi niepokój, czy nie jesteśmy świadkami podważenia, a nawet obalenia spuścizny Norymbergi, czy ludzkość ponownie nie wkracza na drogę bez odwrotu, prowadzącą do nowej wojny światowej.

Bohdan Piętka

FOT. AKG IMAGES/EAST NEWS (2)

eprasa.pl f93f182c32



Premier Rumen Radew został zaproszony przez prezydenta Emmanuela Macrona do udziału w koalicji chętnych na rzecz wsparcia Ukrainy. Paryż, 13 lipca 2026 r.

Bułgaria ostrożnie wstaje z kolan

100 dni rządów Rumena Radewa

Bojan Stanisławski
Korespondencja z Sofii

W ostatnich dekadach Bułgaria przyzwyczaiła Waszyngton i Brukselę do pewnego standardu. Niezależnie od tego, kto rządził, można było przyjąć, że niemal każda sugestia płynąca z danego ośrodka władzy zostanie przyjęta z gorliwością. Niedawno ten mechanizm zaczął się zacinać.

8 maja br. Zgromadzenie Narodowe wybrało byłego prezydenta Rumena Radewa na premiera. Jego stronnictwo Postępowa Bułgaria, zwycięzca przedterminowych wyborów parlamentarnych z 19 kwietnia, samodzielnie poparło nowo utworzony gabinet. Kandydaturę Radewa przyjęto 124 głosami przeciw 70, przy 36 wstrzymujących się posłach partii GERB Bojka Borisowa, zdetronizowanego półdyktatora. Właściwy skład rządu przeszedł stosunkiem 122 do 70. W sierpniu minęło symboliczne pierwsze 100 dni nowej władzy. To wystarczająco długo, by dostrzec kierunek, lecz za krótko, by Radew naprawił i przebudował Bułgarię, państwo, którego porządek socjalny, prawny, instytucjonalny i ekonomiczny od lat są w stanie atrofii.

Analizując kwietniowe zwycięstwo, socjolog Iwo Christow, intelektualista i komentator polityczny, powiedział: „Radew nie ma żadnych mocy nadprzyrodzonych, nie odmieni przyciągania ziemskiego. Mam jednak nadzieję, że przynajmniej zapewni nam miękkie lądowanie". W kraju, który na koniec 2025 r. liczył oficjalnie tylko nieco ponad 6 mln mieszkańców (w porównaniu z ok. 9 mln u schyłku lat 80.), gdzie jedna czwarta ludności ma co najmniej 65 lat, a ubytek naturalny wyniósł w zeszłym roku ponad 49 tys. osób, żadna metafora nie jest przesadzona. Spór o tempo rozwoju dawno został zastąpiony tym o dramatyzm regresu. Jak wyraził się Christow: „Stoimy wobec wyzwania polegającego na ocaleniu nacji, to nasza absolutnie ostatnia szansa".

Radew wyłącza autopilota

W takich warunkach nowy premier próbuje zrobić coś, co jak na bułgarskie standardy wygląda niemal rewolucyjnie. Zanim ktoś postawi pytanie, czego oczekują sojusznicy, Radew najpierw wskazuje interes narodowy.

Nie oznacza to ani odwracania sojuszy, ani zmiany obozów czy reorientacji geopolitycznej. Radew nie zapowiada wyjścia z Unii Europejskiej ani z NATO, nie zamierza włączać kraju do BRICS. Zdaje też sobie sprawę, że Bułgaria nie jest Wielką Brytanią, która jako jedna

eprasa.pl f93f182c32

z największych gospodarek świata mogła stosunkowo swobodnie podjąć decyzję o opuszczeniu UE. Premier wielokrotnie podkreślał, że przyjęte zobowiązania sojusznicze pozostają w mocy i państwo musi się poruszać w międzynarodowej rzeczywistości zgodnie z możliwościami i z narzucanymi przez nią ograniczeniami. Po raz pierwszy od dawna jednak bułgarskie uczestnictwo w zachodnich strukturach nie oznacza automatycznej zgody na każde działanie czy też propozycję NATO albo Unii.

14 lipca premier przebywał w Paryżu, gdzie Emmanuel Macron osobiście zaprosił go do udziału w tzw. koalicji chętnych – grupie państw wspierających dalszą militarną i finansową pomoc Ukrainie. Radew kategorycznie odmówił. „Nie uważam, aby miejsce Bułgarii było w koalicji chętnych", powiedział dziennikarzom, odrzuciwszy zaproszenie francuskiego prezydenta. To wywołało wstrząs.

Reakcja opozycji była natychmiastowa. Politycy obozu liberalnego (Demokratyczna Bułgaria i partia Kontynuujemy Zmiany) udzielali komentarzy o rzekomym „odgórnym putinizowaniu Bułgarii" i o „pustym krześle" przy stole, przy którym rozstrzyga się przyszłość europejskiego bezpieczeństwa. Następnego dnia sytuacja jeszcze się zaostrzyła. Minister spraw zagranicznych Welisława Petrowa uczestniczyła w Kijowie w szczycie Ukraina-Europa Południowo-Wschodnia. W przyjętej tam deklaracji znalazł się zapis pozytywnie oceniający działalność koalicji chętnych i mówiący o gotowości zwiększania udziału w jej pracach. Opozycja znów zagrzmiała, wieszcząc „katastrofalny chaos" i „schizofrenię geopolityczną".

Radew odpowiadał z trybuny parlamentu: Petrowa deklaracji nie podpisała, a „mój rząd nie podjął żadnych zobowiązań, jeśli chodzi o działania w ramach koalicji chętnych". Sama minister tłumaczyła dodatkowo, że tego rodzaju deklaracje przyjmuje się podczas szczytów bez indywidualnych podpisów państw, ale nie wynika z tego automatycznie przystąpienie Bułgarii do udziału w konkretnym formacie. Historia ta doskonale obrazuje sposób, w jaki Radew porusza się w polityce zagranicznej: nie pali demonstracyjnie mostów, za to bardzo uważnie pilnuje umów i zobowiązań. Chociaż swoboda jego manewru ma wyraźne granice.

Między Brukselą a BRICS?

Z drugiej strony Radewa coraz głośniej atakują środowiska nacjonalistyczne, zwłaszcza partia Odrodzenie pod przywództwem Kostadina Kostadinowa. Ich zarzuty są populistyczną odwrotnością argumentacji liberałów: premier jest zbyt miękki, skoro nadal uznaje sankcje, zobowiązania unijne i członkostwo w NATO. 4 września Kostadinow pytał Radewa w parlamencie, dlaczego Bułgaria nie wróci do importu tańszej rosyjskiej ropy. Premier odpowiedział rzeczowo: zniesienie sankcji wymaga decyzji całej UE, i dodał, że temat przedstawiał „w krytycznym dialogu" zarówno sekretarzowi generalnemu NATO, jak i Ursuli von der Leyen.

Tego samego dnia w trakcie debaty parlamentarnej z ust Radewa padło bodaj najbardziej charakterystyczne zdanie pierwszych miesięcy nowych rządów: „Europa nie może być konkursem konformizmu". Jednocześnie zapewniał o pełnej solidarności z UE, by za chwilę oświadczyć, że jego kraj nie będzie uczestniczył w żadnej formule eskalacji wojny na Ukrainie. Nieco wcześniej zaś Radew, również w Zgromadzeniu Narodowym, wypowiedział kwestię, która stała się politycznym aforyzmem: „Europa może istnieć bez Rosji, ale nie może na dłuższą metę funkcjonować przeciwko Rosji".

Właśnie te działania i wypowiedzi Radewa, przywracające elementarną równowagę w polityce zagranicznej, doprowadzają bułgarskich liberałów do gniewu. Dla nich sama odmowa uczestnictwa w kolejnej inicjatywie przeciwko Rosji już jest niepodważalnym dowodem „prorosyjskości". Dla nacjonalistów zaś wszystko, co nie jest wypowiedzeniem sankcji, układów i demonstracyjnym zwrotem w stronę BRICS, stanowi zdradę. Obie strony łączy to samo oczekiwanie co do charakteru bułgarskiej polityki. Ma ona być plemienna i całopalna.

Premier tymczasem próbuje robić coś mniej spektakularnego i znacznie trudniejszego: poruszać się po grząskim gruncie milimetr po milimetrze. Wie, że ostre zwarcie z Brukselą, Waszyngtonem czy Berlinem skończyłoby się fatalnie, próbuje zatem systematycznie odbudowywać podmiotowość państwa w ramach istniejących ograniczeń. Opinia publiczna najwyraźniej to rozumie i docenia, ta sfera działań jest dla niego politycznie najkorzystniejsza.

Znacznie gorzej bilans wygląda tam, gdzie oczekiwania wyborców dotyczą nie tyle sentymentu politycznego, ile kwestii bytowych. Sondaż Alpha Research przeprowadzony między 17 a 23 lipca pokazuje to wyraźnie. Sam Radew dostał 48% ocen pozytywnych wobec 31% negatywnych, a Postępowa Bułgaria utrzymywała gigantyczną przewagę nad przeciwnikami – 41,6% deklarowanego poparcia wobec 13,1% dla drugiego w kolejności GERB. Rząd jako całość respondenci oceniali jednak słabiej: 42% pozytywnie i 33% negatywnie.

Jeszcze wymowniejsze były odpowiedzi dotyczące konkretnych zagadnień. Wzrost cen za poważny problem uznało 81% badanych, a jedynie 28% dostrzegało skuteczne działania rządu. Korupcję i oligarchizację wskazywało 72%, pozytywnie działania w tej sferze oceniało 26%. Ogólny indeks skuteczności polityk rządowych wyliczony przez Alpha Research wyniósł tylko 26,4%.

Rosnące wciąż ceny są największą porażką gabinetu Radewa. Bułgaria weszła do strefy euro 1 stycznia 2026 r. Osiem miesięcy później

Zanim ktoś postawi pytanie, czego oczekują sojusznicy, Radew najpierw wskazuje interes narodowy.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl f93f182c32

oficjalna inflacja wynosiła 5,1% rok do roku, a od początku roku odnotowano dramatyczny wzrost cen, zwłaszcza jeśli chodzi o podstawowe produkty. Rząd nie podjął dotychczas praktycznie żadnych działań na tym polu. To poważnie obciąża cały projekt Radewa. Zwycięstwo Postępowej Bułgarii było wszak wyrazem buntu przeciwko dotychczasowemu modelowi funkcjonowania państwa. Tymczasem w polityce gospodarczej gabinet nadal bardzo ostrożnie porusza się w obrębie kontestowanego wcześniej neoliberalnego paradygmatu.

Źle wygląda również sytuacja w ochronie zdrowia. W badaniu Alpha Research ocena działań władzy okazała się tu najgorsza: 69% wskazywało zdrowie jako istotny problem, ale tylko 14% dostrzegało skuteczne rozwiązania. Minister Katja Iwkowa nie panuje nad resortem. Pod koniec sierpnia zażądała dymisji wiceministra oraz dwóch dyrektorów kluczowych departamentów, gdy okazało się, że nie zaplanowano ubezpieczeń dla części ambulansów i samochodów inspekcji sanitarnej. Niemal równocześnie rezygnację złożył wieloletni główny inspektor sanitarny. Zapaść systemu ochrony zdrowia trwa.

Niezbyt dobrze wypada ogólny widok ław rządowych. Radew nie zbudował zespołu politycznych gwiazd ani grupy ministrów o silnych, samodzielnych osobowościach, których w Bułgarii nie brakuje. Wybrał raczej ludzi przewidywalnych, fachowych w różnym stopniu, ale przede wszystkim takich, których całkowitej lojalności politycznej może być pewien. Taka konstrukcja zabezpiecza go przed powstawaniem konkurencyjnych ośrodków władzy, lecz jednocześnie ogranicza zdolność rządu do radykalnych, kreatywnych posunięć reformatorskich.

Trudno nie wiązać tej ostrożności z wyborami prezydenckimi zaplanowanymi na 25 października. Radew chce utrzymać Pałac Prezydencki w swoim obozie. Jego następczyni, obecna prezydent Ilijana Jotowa, jest oczywistą faworytką. W lipcowym sondażu Global Metrics około połowy badanych deklarowało, że prawdopodobnie lub na pewno poprze Jotową. GERB podjął tymczasem bezprecedensową decyzję, że po raz pierwszy w swojej 20-letniej historii nie wystawi kandydata.

Radew ma zatem powody, by przez kilka miesięcy unikać ruchu, który mógłby niepotrzebnie zrazić część bardzo szerokiego, zróżnicowanego elektoratu, który wyniósł go do władzy. Czy jednak nie jest to ostrożność przesadna? Prezydent Bułgarii ma ograniczone kompetencje, podczas gdy Radew dysponuje obecnie czymś znacznie cenniejszym: większością parlamentarną i pełnią władzy wykonawczej. Okno polityczne umożliwiające rzeczywiste zmienianie państwa nie będzie otwarte wiecznie.

Premier zjednuje sobie poparcie nie tylko spokojnymi i wyważonymi reakcjami, ale także dostojeństwem, z jakim reprezentuje urząd, i profesjonalizmem. Symptomatyczne są tu wydarzenia związane z rozbiciem się drona w północno-wschodniej Bułgarii 8 sierpnia br.

Wczesnym rankiem dron nadlatujący od strony Rumunii eksplodował ok. 100 m w głąb terytorium Bułgarii, niedaleko dawnego przejścia granicznego w miejscowości Kardam i ok. 1 km od stacji kompresorowej gazociągu transbałkańskiego. Premier zwołał Radę Bezpieczeństwa. Teren zabezpieczono, szczątki przejęli specjaliści, rozpoczęto badania materiałów wybuchowych i ekspertyzy techniczne. Po kilku godzinach Ministerstwo Obrony oficjalnie zakomunikowało, że najprawdopodobniej był to ukraiński dron wabik typu Maya. Zaznaczono, że nie ma podstaw do twierdzenia, jakoby Bułgaria była celem ataku, a najbardziej prawdopodobne jest sprowadzenie urządzenia z kursu przez środki walki radioelektronicznej.

Nie zorganizowano po 20 minutach konferencji prasowej w celu wzniecania emocji czy wskazania oczywistego winnego. Najpierw ustalono, co spadło, skąd nadleciało i co można powiedzieć na podstawie szczątków. Później pojawiły się wnioski. W kraju, który przez lata przyzwyczaił obywateli do euroatlantyckich PR-owych improwizacji przy każdej okazji, racjonalne i spokojne działanie połączone z wyczerpującą informacją jest niczym haust świeżego powietrza. Dla porównania, od naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej przez kilkanaście dronów w nocy z 9 na 10 września 2025 r. minął już ponad rok, a opinia publiczna wciąż nie doczekała się jednej kompletnej, ogólnodostępnej ekspertyzy wyjaśniającej pochodzenie odnalezionych obiektów, mechanizm ich wtargnięcia i okoliczności upadku poszczególnych bezzałogowców.

Porażką rządu są rosnące ceny. Bułgaria weszła do strefy euro 1 stycznia 2026 r. i odtąd notuje się dramatyczną drożyznę, zwłaszcza podstawowych produktów.

Miękkie lądowanie?

Radew nie odwrócił ziemskiego przyciągania. Nie zapanował nad drożyzną, jego rząd prezentuje nierówny poziom, a zapowiadana dezoligarchizacja pozostaje w znacznej mierze obietnicą. Im dłużej będzie rządził, tym mniej przekonująco będzie brzmiał argument o fatalnym spadku po poprzednikach, niezależnie do tego, jak bardzo jest wiarygodny.

Fundamentalna zmiana jednak zaszła. W Bułgarii pojawił się przywódca, który obrał ostrożny, ale widoczny kurs na niezależność. Próbuje postawić granice i uwolnić państwo z kieratu klientelistycznego posłuszeństwa. Jego przeciwnicy po obu stronach chcieliby prostszej odpowiedzi: albo bezwarunkowego marszu z Zachodem, albo demonstracyjnej wolty przeciwko niemu. Radew próbuje kroczyć wąskim korytarzem pomiędzy jednym i drugim.

Bojan Stanisławski

eprasa.pl f93f182c32



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Tu żelazność, tam niezabijalność

Dwa ubiegłotygodniowe epizody związane z funkcjonowaniem wymiaru sprawiedliwości przyciągnęły moją uwagę i sprawiły, że oczy miałem jeszcze większe niż zwykle – ze zdumienia.

W Polsce kolejny odcinek telenoweli o tym, jak wiceminister sprawiedliwości z czasów Zjednoczonej Prawicy, Marcin Romanowski, oskarżany przez prokuraturę o udział w zorganizowanej grupie przestępczej, która ma odpowiadać za sprzeniewierzenie dziesiątków (co najmniej) milionów z Funduszu Sprawiedliwości, ścigany europejskim nakazem aresztowania, skutecznie unika stanięcia przed polskim sądem. Tym razem, co może wydawać się dość paradoksalne, pomocną dłoń wyciągnął do ściganego… warszawski sąd okręgowy. Wydanie listu żelaznego automatycznie uchyla tymczasowe aresztowanie, co może spowodować też unieważnienie europejskiego nakazu aresztowania. Od chwili uprawomocnienia się orzeczenia Romanowski nie będzie mógł zostać zatrzymany na terytorium Polski.

Autorem tej przepięknej operacji jest konkretny sędzia, tzw. neosędzia Konrad Mielcarek, zawdzięczający karierę „deformom" Zbigniewa Ziobry. Zresztą już po drodze wykazujący działania odwdzięczające się. Żeby było śmieszniej, w innej sprawie sąd apelacyjny podważył skutecznie tzw. niezawisłość sędziego (z racji mianowania przez neo-Krajową Radę Sądownictwa). Tym razem prokuratura (konkretny prokurator) nie uznała za konieczne podważyć prawa do rozstrzygania w tej sprawie.

Prokurator generalny minister sprawiedliwości Waldemar Żurek próbował argumentować, że prokuratorzy są niezależni itd. Śmiech po sali się niesie. Nie tylko sprawczość prokuratury jest wystawiona na pośmiewisko, ale i ma ta sytuacja wymiar demoralizujący; tzw. odzyskana po wyborach z 2023 r. prokuratura jakby już się szykowała do przyszłorocznej utraty władzy przez obecną koalicję rządzącą i do powrotu Ziobry (ukrywającego się w USA). Teraz będziemy oglądać teatr komedii tłumaczenia, dlaczego tak to wygląda, dlaczego zamiast planowanego wysłania jakiegoś GROM-u do Naddniestrza, gdzie podobno Romanowski się schronił, wystarczy decyzja jednak nieprzypadkowego sędziego.

Tymczasem w kraju, gdzie kara śmierci ma się dobrze, czyli w USA, okazało się, że machina państwa nie była w stanie wykonać skutecznie wyroku śmierci na skazanej 50-letniej kobiecie, w więzieniu o zaostrzonym rygorze w Nashville. Władze stanowe próbowały wykonać wyrok, jednak procedura zakończyła się fiaskiem. „Wykonywanie prawnie nałożonego wyroku należy do najpoważniejszych obowiązków stanu, a mieszkańcy Tennessee oczekują, że będzie się to odbywać w sposób nie tylko legalny i zgodny z konstytucją, ale także skuteczny", powiedział Bill Lee, gubernator Tennessee, którego cytuje AP.

Jak opisuje Gazeta.pl: „Dziennikarze obserwujący egzekucję relacjonują, że przed podaniem leku kobieta zdążyła jeszcze wypowiedzieć swoje ostatnie słowa. Zapewniała w nich, że odchodzi z tego świata w poczuciu spokoju i miłości. Chwilę później doszło jednak do niepokojących zdarzeń – skazana uniosła głowę i zapytała funkcjonariuszy, czy jej ręka powinna tak boleć. Po wstrzyknięciu pierwszej dawki silnego leku uśmiercającego (pentobarbitalu) kobieta wciąż żyła. Zgodnie z procedurą egzekutorzy podali jej drugą dawkę leku (ok. godz. 20.26 czasu lokalnego), jednak skazana nadal oddychała i głośno chrapała. Po chwili zasunięto zasłony, choć wciąż słychać było chrapanie Pike, dopóki o godz. 20.53 nie wyłączono mikrofonu. Po odcięciu dźwięku dla świadków i zasunięciu zasłon do więzienia wezwano karetkę pogotowia, a kobietę przewieziono w ciężkim stanie do szpitala".

Rzecz jasna, mnie jako fundamentalnego przeciwnika kary śmierci (która na szczęście w Europie nie jest zasądzana i wykonywana) cieszą konsekwencje „niezabicia" Christy Gail Pike, która spędziła z wyrokiem ponad 30 lat w więzieniu. Te konsekwencje to zawieszenie innych egzekucji do czasu wyjaśnienia sprawy. W 1995 r. Christa Pike w wieku zaledwie 18 lat zamordowała 19-letnią koleżankę ze szkoły zawodowej. Amerykanie zapewniają, że nikt wcześniej nie przeżył zastrzyku trucizny, to absolutny wyjątek. Pike miała być pierwszą kobietą straconą w USA od 2023 r. i pierwszą w stanie Tennessee od 200 lat.

Tym, co łączy te niezwiązane ze sobą historie ze świata wymiaru sprawiedliwości, jest ich zakotwiczenie w głębokim średniowieczu: stamtąd pochodzi instytucja listu żelaznego i obyczaj darowania życia osobie, na której nie udało się wykonać egzekucji (zerwany sznur szubieniczny). Czy tak się stanie w USA z Christą Pike? Nie wiemy.

Tymczasem 10 października będziemy obchodzić Światowy Dzień przeciw Karze Śmierci. List żelazny nie ma takiego święta (na razie). ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f93f182c32

Nie ma miejsca na sprzeciw

Represje w Turcji uderzają w kolejne środowiska

Tomasz Skowronek

Naloty na organizacje LGBTQI+, zatrzymania aktywistów, wyroki wobec opozycyjnych burmistrzów, aresztowanie popularnego komika. Do tego operacja przeciwko wpływowej wspólnocie religijnej. W Turcji coraz trudniej mówić o odosobnionych przypadkach. W ostatnich miesiącach państwo bierze na celownik kolejne środowiska, które znalazły się poza polityczną kontrolą rządzącej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP).

Najnowszy przykład to rozpoczęta we wrześniu operacja „Moja rodzina jest bezpieczna", skierowana przeciw społeczności LGBTQI+. Według ministra sprawiedliwości Akına Gürleka śledztwa objęły 162 osoby, 9 organizacji oraz 13 przedsiębiorstw w 15 prowincjach. Policja wkroczyła m.in. do biur organizacji i lokali odwiedzanych przez to środowisko. Według Human Rights Watch w ramach skoordynowanych działań prowadzonych od 12 do 14 września zatrzymano co najmniej 112 osób. Wobec 82 z nich sąd zdecydował o zastosowaniu aresztu.

Władze mówią o ochronie rodziny, młodzieży i porządku publicznego. Wśród zarzutów są rozpowszechnianie treści obscenicznych, prostytucja, przestępstwa narkotykowe oraz naruszenia przepisów dotyczących stowarzyszeń. Organizacje praw człowieka zwracają jednak uwagę, że wśród zatrzymanych znaleźli się również działacze zajmujący się ochroną praw człowieka i pomocą dla nosicieli wirusa HIV.

Takie działania nie są w Turcji niczym nowym, ale teraz wyraźnie się zaostrzyły.

Rodzina przede wszystkim

Wrześniowa operacja zbiegła się z coraz mocniejszym akcentowaniem przez prezydenta Recepa Tayyipa Erdoğana kwestii demografii i tradycyjnie rozumianej rodziny. Władze ogłosiły lata 2026-2035 „dekadą rodziny i populacji". Polityka pronatalistyczna została połączona z ochroną modelu rodziny opartego na związku kobiety i mężczyzny.

Akcję „Moja rodzina jest bezpieczna" przedstawiono jako część szerszej kampanii mającej chronić „rodzinę, młodzież i społeczeństwo". Minister sprawiedliwości skierował do prokuratur specjalny okólnik z zaleceniem badania działalności, którą władze uznają za promującą „zacieranie różnic płciowych" wśród dzieci i młodzieży. Niektóre postępowania mogą być prowadzone także jako dotyczące przestępczości zorganizowanej i finansowej.

Dla organizacji LGBTQI+ nie jest to już tylko język debaty ideologicznej. Za słowami poszły zatrzymania, przeszukania, ograniczenia działalności oraz blokowanie stron internetowych i kont w mediach społecznościowych. Human Rights Watch określiła operację jako próbę kryminalizowania i marginalizowania tego środowiska oraz uciszenia podmiotów broniących jego praw. Benjamin Ward, zastępca dyrektora organizacji ds. Europy i Azji Centralnej, mówił o „jawnej próbie kryminalizacji i marginalizacji osób LGBT".

Władze odpowiadają, że ścigają nie orientację seksualną, lecz konkretne przestępstwa. To rozróżnienie jest istotne. Zarzuty w poszczególnych sprawach powinny być oceniane oddzielnie. Pozostaje jednak pytanie o skalę operacji i o to, dlaczego jej celem stały się również organizacje społeczne.

Presja nie kończy się na kwestiach obyczajowych. Drugim wielkim polem konfliktu jest turecka opozycja, przede wszystkim Republikańska Partia Ludowa (CHP). Jej najbardziej znaną postacią pozostaje Ekrem İmamoğlu, burmistrz Stambułu



Turecka policja zatrzymała w Ankarze dziesiątki protestujących na rzecz praw osób LGBTQI+. 15 września 2026 r.

eprasa.pl f93f182c32

i jeden z najpoważniejszych politycznych rywali Erdoğana. Od miesięcy İmamoğlu przebywa w areszcie w związku z zarzutami korupcyjnymi, a we wrześniu zapadł wobec niego wyrok w odrębnej sprawie dotyczącej rzekomego znieważenia byłego burmistrza dzielnicy Tuzla, Şadiego Yazıcıego. Sąd skazał burmistrza na dwa lata i miesiąc więzienia oraz ograniczył jego prawa polityczne. Wyrok nie jest prawomocny.

Problemy İmamoğlu z wymiarem sprawiedliwości zaczęły się dużo wcześniej. Jego zatrzymanie w marcu 2025 r. wywołało największą od lat falę protestów. Samorządy stały się jednym z głównych pól konfrontacji między rządem a opozycją. Władze przekonują, że postępowania wobec burmistrzów dotyczą korupcji i innych przestępstw. Opozycja odpowiada, że wymiar sprawiedliwości służy do wywierania szerszej presji politycznej.

W sierpniu sąd w Stambule wydał wyroki wobec kilku opozycyjnych burmistrzów w sprawie dotyczącej korupcji. Rıza Akpolat, były burmistrz Beşiktaşu, dzielnicy Stambułu, został skazany na 23 lata i trzy miesiące więzienia. Burmistrz Adany Zeydan Karalar otrzymał karę sześciu lat i trzech miesięcy. Prokuratura twierdzi, że oskarżeni należeli do grupy przestępczej zajmującej się korupcją, praniem pieniędzy i manipulowaniem kontraktami. Krytycy rządu wskazują z kolei, że podobne postępowania dotyczą przede wszystkim polityków głównej partii opozycyjnej.

Chodzi więc nie o pojedyncze wyroki, ale o samorządy. Te bowiem po wyborach lokalnych z 2024 r. stały się jednym z bastionów tureckiej opozycji.

Areszt za żart z prezydenta

Presji podlegają także kultura i wolność słowa. W ostatnich miesiącach uwagę opinii publicznej przyciągnęła sprawa komika Deniza Göktaşa. Artysta został zatrzymany na lotnisku w Stambule po powrocie z zagranicy. Prokuratura zarzuciła mu podżeganie do nienawiści i wrogości oraz znieważenie prezydenta, poszło zaś o fragmenty występu, w których Göktaş odnosił się do Erdoğana i Koranu. Sąd zdecydował o tymczasowym aresztowaniu popularnego twórcy internetowego (jeden z występów obejrzało na YouTubie ponad 9 mln osób), a sprawa szybko stała się częścią szerszej debaty o granicach satyry politycznej w Turcji.

Nie oznacza to, że każde postępowanie wobec krytyka rządu jest automatycznie polityczne. Liczą się konkretne zarzuty i dowody. Ale liczy się też kontekst. Przepisy dotyczące znieważenia prezydenta są w Turcji wykorzystywane od lat. Organizacje broniące wolności słowa wielokrotnie wskazywały, że sposób ich stosowania może prowadzić do ograniczania krytyki władz. Sprawa komika stawia więc proste, choć niewygodne pytanie: jak daleko państwo może się posunąć w ochronie urzędu prezydenta? I w którym momencie ochrona dobrego imienia zaczyna ograniczać swobodę wypowiedzi?

Jeszcze bardziej złożony obraz przynosi sierpniowa operacja przeciwko Süleymancılar, wpływowej konserwatywnej wspólnocie religijnej, która przez lata pozostawała ważnym elementem tureckiego życia społecznego.

13 sierpnia prokuratura rozpoczęła szeroko zakrojoną akcję przeciw strukturze kierowanej przez Alihana Kurişa. Wydano nakazy zatrzymania 49 osób w 17 prowincjach, wśród nich lidera wspólnoty. Według prokuratury śledztwo opiera się na ustaleniach organu zajmującego się analizą przestępstw finansowych. Podejrzanym zarzuca się pranie pieniędzy i tworzenie organizacji przestępczej. Władze podkreślają, że operacja nie jest wymierzona w działalność religijną wspólnoty. Dla części tureckich komentatorów ma to jednak szerszy wymiar.

Ruşen Çakır, założyciel i redaktor naczelny niezależnego portalu Medyascope, zwracał uwagę, że kwestie finansowe są tylko jednym z elementów tej historii. Jego zdaniem operacja jest również wycelowana w samą wspólnotę i może być sygnałem dla innych wspólnot religijnych, które pozostają poza pełną kontrolą władz. To komplikuje prostą opowieść o konflikcie między islamistycznym rządem a świecką opozycją czy społecznością LGBTQI+.

Państwo interesuje się także konserwatywnymi środowiskami religijnymi, kiedy pojawiają się wobec nich podejrzenia o działalność przestępczą lub finansową.

Coraz mniej miejsca

Każda z tych spraw ma inną podstawę prawną, władze za każdym razem przedstawiają uzasadnienie. Ale kiedy spojrzeć na nie wszystkie, pojawia się szerszy obraz. Coraz więcej środowisk pozostających poza bezpośrednią kontrolą rządzącej AKP ma do czynienia z prokuraturą, policją albo sądami.

„Moja rodzina jest bezpieczna" to akcja skierowana przeciw organizacjom LGBTQI+, aktywistom i miejscom związanym ze społecznością.

Nie oznacza to, że w Turcji z dnia na dzień zniknęła możliwość sprzeciwu wobec rządu. Nadal działają partie opozycyjne, organizacje społeczne i niezależne media. Odbywają się protesty, a politycy krytykują władzę. Ale kraj od dawna zmierza ku autorytaryzmowi. Zmienia się coś innego: przestrzeń, w której można ten sprzeciw wyrażać bez ryzyka wejścia w konflikt z państwem. Ulica. Media. Kultura. Organizacje społeczne. Samorząd. Polityka.

Wrześniowa operacja przeciwko społeczności LGBTQI+ jest zatem czymś więcej niż kolejną akcją policji. Pokazuje, że słowa takie jak rodzina, moralność i bezpieczeństwo mogą się stać narzędziami polityki państwa. A sprawy opozycyjnych burmistrzów, artystów i konserwatywnych wspólnot religijnych dowodzą, że krąg może być znacznie szerszy, niż wynikałoby to z jednej policyjnej operacji. ■

FOT.AFP/EAST NEWS

eprasa.pl f93f182c32

Zrozumieć tik



Codzienność z zespołem Tourette'a

Maciej Belowski

– Na początku koledzy z klasy widzieli, że dziwnie się ruszam i wydaję dźwięki, a ja sama nie wiedziałam, co mam im powiedzieć. Później poszłam do lekarzy, więc kiedy już wiedziałam, o co chodzi, wstałam i przed całą klasą wyjaśniłam, że jestem w trakcie diagnozy w kierunku zespołu Tourette'a. Bardzo dużo osób zapewniło, że rozumieją i będą mnie wspierać. Nauczyciele zupełnie to ignorowali na lekcjach – i to było najlepsze, co mogli zrobić, bo kiedy zwraca się uwagę na tiki, to one się nasilają. Jak się je ignoruje, w końcu mijają. Niestety, czasem zdarzy się ktoś, kto będzie się naśmiewać i prowokować. Był taki chłopak, ale na szczęście dużo osób stanęło w mojej obronie i mówiło, że to w ogóle nie jest zabawne i żeby sobie odpuścił – wspomina Aleksandra Boczek, u której zdiagnozowano zespół Tourette'a.

To nie jest odosobniony przypadek, ale każde doświadczenie z tym zaburzeniem wygląda inaczej. U jednych objawy są niemal niezauważalne, u drugich znacznie bardziej uciążliwe.

Statystyka a niewidzialna rzeczywistość

Próba ujęcia zespołu Tourette'a w sztywne ramy statystyk zderza się z barierą systemową. Oficjalne dane państwowe opublikowane przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji w opracowaniu nr WS.422.14.2024 z dnia 15 maja 2024 r. (na podstawie bazy SWIAD NFZ) pokazują, że w latach 2021-2023 liczba pacjentów z rozpoznaniem zespołu Tourette'a wynosiła zaledwie ok. 1,5 tys. rocznie. W 2021 r. zarejestrowano 1301 pacjentów, w 2022 r. – 1549, a prognoza na 2023 r. przewidywała 1797 osób.

To jednak zapewne tylko ułamek liczby osób z zespołem, gdyż znaczna część z łagodnymi tikami funkcjonuje poza radarem służby zdrowia. Jak wyjaśnia prof. Piotr Janik, neurolog z Katedry i Kliniki Neurologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, według danych epidemiologicznych i jego wyliczeń skala jest większa: – Dane epidemiologiczne mówią, że to ok. 0,8% osób w wieku 5-18 lat. Zgodnie z moimi wyliczeniami w Polsce żyje ok. 40 tys. ludzi z zespołem Tourette'a, którzy spełniają kryteria diagnostyczne. Nie ma jednak świadomości, że jest ich tak dużo, bo ogromna grupa z zaburzeniami nigdy nie widzi lekarza. Rodziców po prostu nie niepokoi łagodne nasilenie tików, a czasami w ogóle ich nie dostrzegają. Do gabinetów zgłaszają się ci, którzy potrzebują rzeczywistej pomocy.

Dokładnych informacji na ten tmeat nie ma, przyznaje Piotr Chojna z Polskiego Stowarzyszenia Syndrom Tourette'a, który sam żyje z tym zaburzeniem. – Zespół Tourette'a to spektrum. Większość osób ma nasilenie tików na poziomie, który nie wymaga żadnych interwencji lekarskich, i w większości przypadków nie zgłasza się do gabinetów. Mówi się, że ok. 1% dzieci doświadcza zaburzeń tikowych, z czego aż 80% w dorosłości ma remisję. Tylko ok. 20% w życiu dorosłym z tymi tikami zostaje.

eprasa.pl f93f182c32

Obraz kliniczny bez medialnego filtra

Wokół zespołu Tourette'a narosło przekonanie, że jego nieodłącznym elementem są wulgarne okrzyki. I takie właśnie pojmowanie dominuje w przestrzeni publicznej. Kultura masowa często sięga po ten motyw, redukując złożone zaburzenie neuropsychiatryczne do sensacji. Rzeczywistość gabinetów lekarskich wygląda jednak zupełnie inaczej.

– Żeby rozpoznać zespół Tourette'a, muszą występować tiki ruchowe i tiki głosowe: przynajmniej dwa ruchowe i przynajmniej jeden głosowy, utrzymujące się dłużej niż 12 miesięcy. Tik to mimowolny ruch lub dźwięk, tylko częściowo kontrolowany. Klasyczne tiki ruchowe to mruganie, przewracanie oczami, ruchy barkiem, ustami czy potrząsanie głową. Dźwięki mogą być nieartykułowane, jak chrząkanie czy kasłanie, albo artykułowane, czyli zrozumiałe słowa i frazy. Do tej drugiej grupy należy koprolalia, czyli złożony tik głosowy polegający na wypowiadaniu przekleństw – prof. Piotr Janik przypomina, że medyczna definicja zaburzenia stawia jasne granice między faktami a wyobrażeniami.

Przekonanie, że każdy pacjent z zespołem Tourette'a musi przeklinać, bywa krzywdzące, a dla rodziców nowo zdiagnozowanych dzieci staje się źródłem lęku. Tymczasem obecność wulgaryzmów w obrazie klinicznym nie jest regułą. Neurolog rozprawia się z tym stereotypem jednoznacznie.

– Koprolalia nie występuje zawsze. Średnio dotyczy ok. 20% osób z zespołem, choć wynik zależy od tego, czy badamy dzieci, czy dorosłych, osoby z łagodnymi czy z nasilonymi tikami. Na pewno nie jest to kryterium diagnostyczne. To kolejny mit z internetu, że musi być koprolalia, żeby rozpoznać zespół. Ona raczej występuje rzadko i tylko w ciężkich przypadkach – tłumaczy.

Złożoność zespołu Tourette'a polega również na tym, że rzadko występują same ruchy mimowolne. Bazując na własnym doświadczeniu, prof. Janik wskazuje, że u 75-80% pacjentów zgłaszających się po pomoc diagnozuje się zaburzenia współistniejące – przede wszystkim zespół nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi (ADHD) oraz zaburzenie obsesyjno-kompulsyjne (OCD), a także stany lękowe, depresyjne czy zaburzenia ze spektrum autyzmu (ASD).

Osoby, u których pojawia się koprolalia, muszą wypracować w sobie ogromną odporność na reakcje otoczenia. Z takim doświadczeniem mierzy się Aleksandra Boczek, która na TikToku zgromadziła ponad 113 tys. obserwujących, opowiadając o realiach życia z zaburzeniem i edukując. Pierwsze dwa tiki ruchowe pojawiły się u niej w wieku ośmiu lat i po kilku miesiącach zniknęły. Wróciły po pandemii, w pierwszej klasie liceum, przynosząc także przekleństwa.

W Polsce żyje ok. 40 tys. ludzi z zespołem Tourette'a, którzy spełniają kryteria diagnostyczne.

Dominuje przekonanie, że nieodłącznym elementem zespołu Tourette'a są wulgarne okrzyki.

– Byłam u trzech neurologów, a potem u psychiatry. Dostałam leki, które pomogły mi funkcjonować w szkole. Męczyłam się, żeby na lekcjach się powstrzymywać, a po powrocie do domu musiałam się wytikać. Ostateczną diagnozę dostałam rok później – wspomina Aleksandra.

Zupełnie inaczej przebiegała droga Kaliny Kortas, piosenkarki w sieci znanej jako KALI, której profil na TikToku śledzi ponad 160 tys. osób. U niej pierwsze objawy wystąpiły w wieku około sześciu lat i przypominały bardziej niewinne dziecięce rytuały.

– U dziecka trudno to zauważyć. Cały czas łapałam się za klatkę piersiową i sprawdzałam, czy bije mi serce – musiałam wykonać ten ruch. Około ósmego roku życia objawy ustały, a gdy miałam 14 lat, przez dorastanie i hormony wróciły pełną parą. Moim głównym tikiem głosowym było miauczenie. Zdarzało się, że zamiauczałam w miejscu publicznym i ktoś pytał, czy mam przy sobie kota. Dziś, dzięki terapii i lekom, objawów jest mniej, choć wracają w stresie czy chorobie – przyznaje Kalina.

Szkolne korytarze i spojrzenia w autobusie

Młodzi ludzie z zespołem Tourette'a każdego dnia wchodzą w przestrzeń społeczną z obawą przed odrzuceniem. Szkoła, która z definicji powinna być bezpiecznym środowiskiem rozwoju, bywa miejscem ogromnej presji, gdzie każdy mimowolny ruch może się stać powodem do drwin. W takich warunkach kluczowa okazuje się odwaga samego ucznia oraz dojrzałość rówieśników i nauczycieli.

Obie młode kobiety po powrocie do nauki stacjonarnej zdecydowały się na szczerość wobec swoich klas. Kalina wysłała krótką wiadomość: „Zdiagnozowano u mnie zespół Tourette'a i mogę tikać, i to tyle. Róbcie sobie, co chcecie z tą wiadomością". Większość znajomych przyjęła to naturalnie, a ewentualne docinki po prostu przestały mieć dla niej znaczenie.

O ile w znanej grupie rówieśniczej łatwiej wypracować zasady wzajemnego szacunku, o tyle wyjście na ulicę czy podróż komunikacją miejską oznacza konieczność konfrontacji z przypadkowymi ludźmi. W zamkniętym pojeździe, gdzie pasażerowie stłoczeni są na małej przestrzeni, każdy niespodziewany gest budzi podejrzliwość, a brak wiedzy natychmiast rodzi fałszywe oceny.

– Raz ustąpiłam miejsca starszej pani w autobusie, a nagły tik sprawił, że zaczęłam kucać. Patrzyła na mnie,

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f93f182c32

tak mi się wydawało, z dezaprobatą, dopóki nie zapytała i nie wyjaśniłam jej, czym jest tourette. Najtrudniejsze są presja społeczna i lęk, że z powodu koprolalii mimowolnie obrażę obcą osobę albo mijanego policjanta. Stresuję się tym na co dzień – opowiada o barierach w funkcjonowaniu Aleksandra Boczek.

Sprawdzianem odporności psychicznej okazuje się też internet. Obie kobiety zaczęły publikować w sieci materiały edukacyjne, by odczarować zaburzenie i pomóc innym w akceptacji siebie. Zderzyły się z różnymi reakcjami – od słów wsparcia i podziękowań po negatywne komentarze czy zarzuty o udawanie dla zasięgów. Kalina Kortas wspomina wiadomości, w których sugerowano jej m.in. wizytę u księdza.

Wyciszyć impuls, odnaleźć równowagę

Medycyna nie dysponuje obecnie lekiem, który mógłby trwale wyeliminować zaburzenie, a stosowane środki jedynie wyciszają objawy. Z tego względu decyzja o wdrożeniu farmakoterapii zawsze wymaga wyważenia zysków i strat. Prof. Piotr Janik przypomina, że medycyna powinna interweniować, gdy objawy stają się realną przeszkodą życiową.

– Tiki leczy się tylko wtedy, gdy istotnie zaburzają funkcjonowanie: naukę, relacje z rówieśnikami, czasem gdy powodują ból. Leki działają objawowo, a te najskuteczniejsze to silne środki psychotropowe z ryzykiem działań niepożądanych. Terapia behawioralna nie ma działań niepożądanych, ale jest trudno dostępna. Wykwalifikowanych terapeutów z doświadczeniem i certyfikatem jest zdecydowanie za mało. To metoda trudna i długotrwała, zwykle stosowana od mniej więcej 10. roku życia – wyjaśnia.

Poza gabinetami pacjenci metodą prób i błędów odkrywają własne sposoby na wyciszenie. Dla Kaliny Kortas, która leczy się też farmakologicznie, prawdziwym azylem okazała się muzyka.

– Przed wyjściem na scenę miewam straszne tiki ze stresu. Kiedy zaczynam śpiewać, wszystko w pewnym sensie znika. Śpiew wyłącza u mnie potrzebę tikania, czasem tylko wytikam się szybko między wersami. Muzyka to moja dodatkowa forma terapii – mówi piosenkarka.

Równie ważna jak praca samego pacjenta jest edukacja otoczenia.



Polskie Stowarzyszenie Syndrom Tourette'a w ramach kampanii „Uważaj na słowa" podkreślało destrukcyjną siłę poleceń, by się uspokoić i uciszyć. Piotr Chojna ze stowarzyszenia tłumaczy, dlaczego dyscyplinowanie osoby z tikami przynosi skutek odwrotny do zamierzonego: – Porównuję to do ugryzienia komara. Kiedy swędzi i powstrzymujemy się od drapania, swędzenie rośnie. Tak samo jest z tikami: im bardziej je powstrzymujemy, tym bardziej narasta napięcie i w pewnej chwili wybuchają mocniej. Nie wolno mówić osobie z tourette'em: „Uspokój się", „Przestań tikać". Nie da się ich wyłączyć. Niech tiki nie będą też głównym tematem rozmowy, bo ciągłe myślenie o nich tylko je nasila.

Empatyczna reakcja otoczenia potrafi pomóc przerwać spiralę stresu. Gdy w miejscu publicznym widzimy kogoś zmagającego się z gwałtownymi tikami, najgorsze, co można zrobić, to wpatrywać się z dezaprobatą.

– Zawsze można do takiej osoby zagadać, o czymkolwiek, i odwrócić jej uwagę. W takim miejscu człowiek sam się nakręca: „O Boże, tikam", i tików przybywa. Nie oceniać negatywnie, nie patrzeć, a jak już, to zareagować pozytywnie – Aleksandra Boczek wskazuje najprostsze rozwiązanie.

W zmaganiach z zespołem Tourette'a istotna jest również perspektywa czasu. Mimo że zaburzenie potrafi diametralnie zmienić dzieciństwo, w większości przypadków nie przekreśla szans na stabilną, satysfakcjonującą dorosłość.

– Zaburzenie zaczyna się zwykle w wieku pięciu-sześciu lat, a do okresu dojrzewania tiki są bardzo zmienne. Zazwyczaj nasilają się między 10. a 12. rokiem życia, a ok. 14. czy 15. roku życia naturalnie słabną, bez żadnej interwencji lekarskiej. Rokowanie jest dobre: ok. 80% osób, które miały tiki w dzieciństwie, w dorosłości nie ma ich wcale albo zostaje coś bardzo niewielkiego. Problem dotyczy zwykle jednej piątej osób z zespołem Tourette'a – prof. Janik przypomina o naturalnej dynamice zaburzenia.

Obok leczenia i wsparcia ważna bywa zgoda na własną odmienność. Kalina Kortas znajduje w tym doświadczeniu źródło siły: – Zespół Tourette'a jest głównie obciążeniem, ale pozwolił mi odkryć siebie. To trochę jak rodzeństwo, które przychodzi do pokoju, zrzuca coś na podłogę i wychodzi, nie zamykając drzwi. Trzeba się z tym pogodzić, ale można z tym żyć i być dumnym z tego, kim się jest, nawet jeśli ma się brata tourette'a w głowie.

Osoby zespołem Tourette'a potrzebują elementarnego spokoju i zwykłej akceptacji w codziennych sytuacjach. Kiedy społeczeństwo przestanie wpatrywać się w mimowolne ruchy, a zacznie dostrzegać stojącego za nimi człowieka, zdejmie z nich ciężar niezrozumienia.

Maciej Belowski

eprasa.pl f93f182c32



Oko w oko Tomasz Jastrun

Po pół wieku

W dzienniku 23 września 1976 r. zapisałem: „Dowiaduję się o niepokojach na socjologii, podobno studenci wywiesili na wydziale list Jacka Kuronia do szefa włoskiej partii komunistycznej. Inna wiadomość to utworzenie Komitetu Obrony Robotników (…). Podobno nadal trwają represje w Radomiu, Ursusie i w Puławach".

Minęło 50 lat. Pół wieku mija szybciej, niż to się wydaje młodym. Na Zamek Królewski są zaproszeni ocalali z pogromu czasu członkowie KOR. Było w komitecie raptem kilkadziesiąt osób, teraz żyje o wiele, wiele mniej. Są też dawni działacze opozycyjni z lat 70. i grupa znanych działaczy Solidarności. Ruch opozycyjny powstawał w latach 70., najpierw skupiał się wokół KOR, on był twardym rdzeniem. Kołem zamachowym były potem nielegalna działalność wydawnicza i kursy naukowe. Ten drugi obieg wydawniczy, jego rozmiar i rozmach, w czym brałem aktywny udział, to było niezwykłe zjawisko w skali światowej. O czym zdołaliśmy zapomnieć.

Dzisiaj duża sala pełna po brzegi, jest kilkaset osób. W sumie nie było nas tak wielu. I była to jednak odwaga albo głupota, nikt nie miał pewności, jak reżim zareaguje, a imperium trzymało się krzepko. Piękna sala pełna złoceń i luster, z sufitem malowanym w sceny mitologiczne. I zupełnie nieważne, że to wszystko rekonstrukcja, ona też stała się zabytkiem. Tusk mówi ciepło i osobiście. On także w latach 70. kręcił się wokół KOR. Potem wystąpienie Ewy Milewicz, byliśmy blisko w tamtym czasie. Ewa w dzieciństwie chorowała na heinemedinę, z pełnym niedowładem obu nóg, potem szalała swoim Maluchem, kolportując bibułę, a w jej mieszkaniu odbywały się tajne spotkania. Pamiętam, jak szedłem do niej z bibułą, gdy ktoś wrzasnął z okna jej mieszkania: „Rewizja u Ewy Milewicz!". Miałem szczęście. Pamiętam też, jak jakiś ubek powiedział mi na przesłuchaniu: „Ona swoje kalectwo wykorzystuje przeciwko nam". Występując, Ewa siedziała na swoim wózku, taka szczupła, coraz jej mniej. Mówiła Henryka Krzywonos, słynna motornicza tramwaju z Gdańska, pamiętam ją ze stoczni w Sierpniu '80. Teraz czasami spotykamy się, zawsze pełna energii, kobieta walki.

Panel dyskusyjny. Adam Michnik i przedstawiciele dawnej opozycji z Czech, NRD, Węgier i Ukrainy, których tajne nici łączyły z naszą sprawą, ale to były miniaturki. Polski opozycyjny ruch okazał się przy nich kolosem. Adam świetny jak zawsze i świetny Ukrainiec. Potem młody pianista, półfinalista konkursu chopinowskiego, znakomicie grał poloneza Chopina. Następnie jedzenie, spotkania, rozmowy. Próby rozpoznania się nawzajem. Czasami nieudane. Minęło już trochę dni, a ja nadal nie mogę dojść do siebie po tej uroczystości. To moja chorobliwa wrażliwość na upływ czasu. Tak, to był dla mnie też bal maskowy, danse macabre, ludzie, których pamiętam jako młodych, zmienieni, czasami łaskawie, czasami okrutnie. Sporo lasek i kul. I jakże znamienne – ani jednego pisowca. W KOR byli Macierewicz i Naimski, Antoni ma nawet spore zasługi. Prawica krzyczy, że nie zostali zaproszeni, jaka to podłość, przecież tylko oni byli ważni w KOR, inni to zdrajcy. Sprawdziłem, tych dwóch prawicowych bohaterów zostało zaproszonych, ale jak było do przewidzenia, nie przyszli na ten „sabat czarownic". Z prawicy wypatrzyłem jedynie Czaputowicza, eksministra spraw zagranicznych, ale gdy go teraz słucham, to mentalnie zupełnie wypisał się z PiS. Siedział obok Basi Labudy i rozmawiali serdecznie.

> Było w KOR raptem kilkadziesiąt osób, teraz żyje o wiele mniej.

Z dawnych bliskich Ania Bikont, byłem z nią kiedyś blisko, nie wiedziała wtedy, że będzie tak cenioną autorką. Jest poeta Ryś Krynicki, Alik Smolar taki mądry, Waldek Kuczyński jak zawsze dzielny, o kulach, Sewek Blumsztajn odważny i dobry człowiek – to ci, z którymi więcej rozmawiałem. Ale też kilku innych bliskich: Andrzej Zozula, kiedyś mój opozycyjny sąsiad, poeta Antek Pawlak dzielny po wylewie. Jest Witek Łuczywo. W jego i Heleny mieszkaniu – byliśmy sąsiadami dom obok – w latach 70. redagowano „Robotnika", potem powstawała „Gazeta Wyborcza". Legendarni działacze Solidarności mówili, że bez KOR nie byłoby Solidarności.

To wszystko, chociaż tak ważne w sferze społecznej, okazało się niczym przy spektaklu, jaki stworzył czas. Dwie osoby, które wiem, że bardzo mnie nie lubiły, co musiałem jakoś odwzajemniać, trudno inaczej, teraz w strasznym stanie: ona zgięta wpół, a jemu trzęsą się ręce. Gdy twoi adwersarze są pognębieni, dziwnie się robi z tym nielubieniem.

Tak, to wszystko to był bal maskowy. Byłem jego częścią, sam nieoszczędzony przez czas, ale mógł mnie przecież potraktować gorzej. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f93f182c32

Czy możemy skuteczniej zapobiegać samobójstwom?

Rozmawia
Bronisław Tumiłowicz

IV Kongres Suicydologiczny, który odbył się w Warszawie w dniach 11-12 września, wpisał się w sekwencję wydarzeń naukowych próbujących opanować zjawisko narastania problemów z samobójstwami w Polsce. Jak obecnie wyglądają statystyki? Co wydaje się w nich najbardziej niepokojące? W liczbach bezwzględnych notuje się przecież mniej takich tragedii...

– Taki ogólny trend obserwuje się od ok. 20 lat. Jednak spadek w liczbach bezwzględnych nie powinien nas wprowadzać w błąd, podobnie jak np. bezwzględna liczba zgonów w czasie epidemii covidu, kiedy podawano, że przodowało w nich województwo mazowieckie, które po prostu ma najwięcej mieszkańców. W tym wypadku trzeba szukać także innych wskaźników, jak liczba samobójstw na 100 tys. mieszkańców i zagrożenie takimi czynami ze względu na wiek, płeć itd.

W 2025 r. wzrosła liczba zgonów samobójczych wśród osób młodych.

Z czego wynika to, że mężczyźni znacznie częściej niż kobiety ponoszą śmierć na skutek samobójstwa?

– W większości krajów mężczyźni częściej umierają w wyniku samobójstwa niż kobiety, np. w Polsce współczynnik zgonów samobójczych wśród mężczyzn jest mniej więcej sześciokrotnie wyższy niż wśród kobiet. Przyczyny tej różnicy są złożone – znaczenie mogą mieć m.in. uwarunkowania kulturowe, społeczne oraz mniejsza gotowość części mężczyzn do korzystania z pomocy w kryzysie.



DR DARIA BIECHOWSKA
– psycholog i psychoterapeuta, zastępczyni koordynatora Biura ds. Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym przy Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie.

Statystyki pokazują, że najwięcej samobójstw zdarza się w grupie wiekowej 25-64 lata. To aż 73%.

– Wynika to z tzw. piramidy wieku – tych osób jest po prostu w społeczeństwie najwięcej.

O ile wśród dorosłych dużo więcej zgonów samobójczych dotyczy mężczyzn, o tyle wśród nastolatków próby samobójcze znacznie częściej rejestrowane są wśród dziewcząt.

– Jest wiele niepokojących danych, ale częściowo wynikają one także ze sposobu raportowania. Nie wszystkie próby samobójcze trafiają do statystyk policyjnych. W 2025 r. wzrosła liczba zgonów samobójczych wśród osób młodych. To pokazuje, że działania profilaktyczne powinny uwzględniać m.in. płeć i wiek. Osoby starsze również wymagają odrębnie projektowanych działań profilaktycznych, ponieważ

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl f93f182c32

inna jest w tej grupie charakterystyka czynników ryzyka i potrzeb.

Podczas odbywającego się Kongresu Suicydologicznego alarmistyczne dane dotyczyły też zatruć lekami.

– Skala zatruć lekami jest niepokojąca. Stanowią one jedną z istotnych form podejmowania prób samobójczych. W Polsce leki bez recepty są bardzo łatwo dostępne. Przedawkowanie niektórych może prowadzić do bardzo poważnych następstw zdrowotnych, w tym do ostrej niewydolności wątroby, a w skrajnych przypadkach nawet do konieczności transplantacji.

Jesteśmy świadkami rozwoju różnych grup pomocowych, programów profilaktycznych, fundacji, forów internetowych, które stawiają sobie za cel zapobieganie depresji i myślom samobójczym.

– Ważne, że w ostatnich latach udało się skoordynować niektóre działania w tej dziedzinie. W ramach Narodowego Programu Zdrowia powstał Krajowy Program Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym. Działania różnych towarzystw naukowych, realizujących w pojedynkę własne praktyki profilaktyczne, udało się włączyć do całościowego programu, który obejmuje wiele dziedzin naszego życia. Na przykład zasady świadomego i odpowiedzialnego informowania o tych sprawach w mediach, zasady dostępu do metod i programów profilaktycznych, upowszechnianie otwartych linii pomocowych, takich jak telefon Centrum Wsparcia 800 70 2222 Fundacji Itaka, programy dla dzieci, stworzenie standardów postępowania dla nauczycieli, służb mundurowych, duchownych, oczywiście pracowników służby zdrowia, pracowników socjalnych, a także dalsze monitorowanie zachowań samobójczych, nowych grup ryzyka itd. W konsekwencji powstało specjalne Biuro ds. Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym, które ma oficjalną stronę internetową, pod adresem: zapobiegajmysamobojstwom.pl. Można tam znaleźć kompendium wiedzy o całym programie i licznych inicjatywach środowiskowych, lokalnych, sektorowych; jest dostęp do poradników postępowania dla nauczycieli, pracowników mediów, służb mundurowych itd. Są też nawiązania do innych inicjatyw, np. do strony pokonackryzys.pl. Już teraz widać ogromne zainteresowanie szkoleniami, które obejmują chociażby nauczycieli.

W ramach Narodowego Programu Zdrowia powstał Krajowy Program Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym.

Czyli mamy środki i mechanizmy przeciwdziałania zachowaniom samobójczym?

– Są metody i mechanizmy, ale potrzebna jest koordynacja działań, bo to zjawisko nie dotyczy jednej jednostki organizacyjnej państwa, czyli np. resortu zdrowia, ale obejmuje sektory edukacji, rodziny, sprawiedliwości i policji, interesuje bezwzględnie rzecznika praw dziecka, samorządy, organizacje kościelne. Samobójstwo jest zjawiskiem interdyscyplinarnym, dlatego skuteczna pomoc wymaga współpracy różnych sektorów. Jednym z problemów pozostaje przepływ informacji, np. między szkołą a jednostkami zajmującymi się ochroną zdrowia psychicznego. Dokumentacja medyczna i informacje o leczeniu nie mogą być po prostu przekazywane szkole bez odpowiedniej podstawy prawnej lub upoważnienia, a to w praktyce może utrudniać koordynację pomocy.

Jak odnosi się pani do różnych postulatów pojawiających się na kongresie, takich jak podatek cyfrowy od big techów czy zakaz przynoszenia telefonów komórkowych do szkoły?

– To skomplikowane kwestie, bo oczywiście media, w tym media społecznościowe, mogą szkodzić, ale równocześnie są doskonałym narzędziem przekazywania wiedzy czy mobilizacji. Kategoryczne zarządzenia, jak wiemy, mogą odnieść odwrotny skutek, zakaz może obudzić chęć jego ominięcia. Sądzę więc, że zamiast zakazywać, lepiej skupić się na skutecznym wykorzystywaniu pozytywnych funkcji tych mediów, a zablokować strony napędzające tendencje samobójcze. Jeśli idzie o podatek cyfrowy, nie mamy takich doświadczeń jak w USA, gdzie niektóre stany zdobyły się na jego uruchomienie, a dochody z niego mają wspierać zdrowie psychiczne dzieci i młodzieży. Nie ma wątpliwości, że nadmierne korzystanie z mediów społecznościowych: Facebooka, Instagrama, TikToka, sprawia niekiedy, że zdrowie psychiczne się pogarsza.

b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

W 2025 r. policja odnotowała prawie 15 tys. zachowań samobójczych, to znaczy: **10 159 prób samobójczych i 4776 samobójstw.**

Gdzie szukać pomocy:

Jeśli Ty lub bliska Ci osoba doświadczacie kryzysu psychicznego lub macie myśli samobójcze, możecie uzyskać pomoc m.in. pod numerami telefonów:

800 70 2222 – Centrum Wsparcia dla Osób Dorosłych w Kryzysie Psychicznym;

116 123 – Poradnia telefoniczna dla dorosłych w kryzysie emocjonalnym;

116 111 – Telefon zaufania dla dzieci i młodzieży;

800 12 12 12 – Dziecięcy Telefon Zaufania Rzecznika Praw Dziecka.

W sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia należy bezwzględnie zadzwonić pod numer 112.

ZAPISZ SIĘ NA NEWSLETTER na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f93f182c32

Cały jestem czekaniem

Nie będzie pociągu, który zatrzyma się na mojej stacji
Opowiadania Tomasza Jastruna

Wojna domowa

Chodzili w liceum do jednej klasy, bywało, że siedzieli w jednej ławce, raz się pobili, nie bardzo wiadomo o co, nikt nie został pokonany, więc łatwo było się pogodzić. Nawet to ich zbliżyło. Po maturze wymienili się numerami telefonów, nigdy z tego nie skorzystali. Nie widzieli się więc przez lata, morze lat, ocean lat, aż tu nagle okazało się, że żona Stefana jest koleżanką jego żony w pracy i znajomość miała zostać odnowiona.

Zaprosili ich do siebie na kolację. Jak zwykle po tak długim niewidzeniu ludzie są trochę niespokojni, co zastaną, choćby co z ich twarzami porobił czas. Niby wie się, że czas nie ma litości, ma za to okrutną fantazję, ale to zawsze jest zaskoczenie.

Dzwonek rozwibrował mieszkanie, od dawna zbiera się, by go wymienić na gong z wesołą melodią, ale nie starcza mu na to energii. Stefan był zmieniony, ale do poznania. Niektórzy ludzie są zmienieni nie do poznania. Chociaż, czy by go poznał na ulicy? Pewnie nie. Przywitali się serdecznie. Kolega wyglądał jowialnie, utył, ale sympatycznie. Zdawał się sybarytą, Kiedy zobaczył jedzenie na stole, zarumienił się. Twarz miał okrągłą, dzięki temu zmarszczki nie były głębokie, w nadobnym obliczu królowały oczy zawieszone niebiesko pod grubymi brwiami, roześmiane i życzliwe. I miał sumiaste wąsy z odrobiną siwizny. W połowie wyłysiał, ale włosy, które ocalały, były ciemne, z ledwie widocznymi pasmami siwizny. Lubił dużo mówić i mówił ze swadą, dowcipnie.

Żona Stefana nie była szczupła, w małżeństwach ludzie lubią tyć parami. Z kolei oni z żoną byli szczupli, to cenne, bo rzadkie w tym wieku. I oboje byli z tego dumni. Mała tu zasługa mocnej woli, byli chudzi z natury, jak harty.

Przystąpiono do jedzenia i do wspomnień, jak to było kiedyś. Znajdowali w Polsce Ludowej sporo zalet, kiedyś widzieli same wady. Jedli i pili wino, próbowali potem nalewek, żona robiła świetne nalewki o różnych smakach, nawet różaną. Nalewki są zdradliwe, człowiek upija się nie wiadomo kiedy.

Wspominali szkołę, wariatów nauczycieli i jedną polonistkę, którą bardzo lubili. Okazało się, że dwie osoby z ich klasy umarły. Takie śmierci zawsze poruszają, bo mówią: skoro koledzy odeszli, to i ty już jesteś w kręgu śmierci. Pomilczeli nad sprawami ostatecznymi, po czym on powiedział:

– Popatrz, Stefan, co się porobiło w polityce. – Słowa już nie trzymały się swoich brzegów, jak to po alkoholu.

– A porobiło się – odparł kolega też jakby chwiejnie.

Milczeli przez chwilę, kołysząc głowami i ubolewając nad stanem rzeczy.

– Tak naprawdę to strasznie jest – powiedział Stefan.

– Ano strasznie – przytaknął.

Znowu zapadło milczenie.

– Wypijmy za wygrane najbliższe wybory, jak nie wygramy, to oni nas załatwią, koniec demokracji. – Nalał koledze i sobie nalewki, tym razem z tarniny. I nadzwyczaj zgodnie spełnili toast. Znowu milczeli, kołysząc się nad stołem.

– Byle nie o polityce, to się źle skończy, no już, wystarczy, i wystarczy, panowie, z piciem – prosiła żona Stefana.

Jego żona ją poparła:

– Jest przecież tyle innych ciekawszych tematów.

– A co się ma źle skończyć, my mamy identyczne poglądy, PiS to ścierwo, a Kaczor psychol, ewidentny psychol… nie można tego inaczej widzieć, jak ktoś widzi inaczej, to dureń i basta.

Stefan zastygł, jakby ktoś go uderzył w tył głowy.

– Ty chyba żartujesz, psychol to Tusk, agent niemiecki, chce z Polski zrobić niemiecki land.

– Nie strasz mnie, Stefciu, jaki land, ty przecież żartujesz, na pewno żartujesz, Tusk wybitny polityk w skali europejskiej.

Zapadło milczenie, jakoś głębsze niż poprzednie milczenia. Żony zaczęły pośpiesznie rozmawiać o jedzeniu, jak najlepiej piec w piekarniku łososia i czy łosoś na pewno zdrowy, bo różnie się o tym pisze.

– A ja ci mówię, Stefciu, że Kaczor to psychopata, a PiS mafia, nie, bracie, to rak złośliwy z przerzutami. Nie ma dyskusji.

– Panowie, spokój, spokój! – wołała żona kolegi.

Spór jednak zaogniał się, by buchnąć wysokim płomieniem. Wymyślali sobie od durniów, prostaków i nawet chamów. Sytuacji nie uspokoił deser w postaci tortu, a przecież słodycze zwykle łagodzą obyczaje. Spór tylko na chwilę przygasł, by wybuchnąć ze zdwojoną siłą. Kolega chwycił żonę za rękę i ciągnął ją za sobą ku drzwiom, opierała się, ale byli już na schodach. Gospodarz stał w drzwiach i coś bardzo głośno wołał.

Klatka schodowa huczała od ich okrzyków. Niektórzy lokatorzy otwierali drzwi i zaniepokojeni stawali w progu. Konflikt jak kamienny potok wciągał ich w swój nurt, niektórzy byli po stronie Stefana, inni utożsamiali się z sąsiadem. I tak wojna domowa szła przez Polskę jak długa i szeroka.

Uszy

Strzygł się od lat u pana Stefana. Fryzjer nie był młody, był nawet dosyć stary i jakby skulony w sobie z powodu wieku, poruszał się powoli jak żółw i tak strzygł, mozolnie. Przy okazji gadał, gadał, wywlekał z siebie słowa

eprasa.pl f93f182c32

nieśpiesznie, robił sprośne aluzje, nawet wobec rzeczy zdawało się zupełnie pozbawionych erotyzmu, i z ironią komentował wydarzenia polityczne. W gruncie rzeczy był przekonany, że wszyscy politycy to szuje i dranie, ale ci z prawicy to swojskie szuje i swojskie dranie, więc stał gorąco za nimi. Wiedział jednak, że strzyżony klient jest po drugiej stronie barykady w tej piekielnej polskiej wojnie domowej, a nie zwykł z powodu polityki tracić klientów, więc się miarkował w sądach. Telewizor był tak ustawiony, żeby pan Stefan podczas pracy mógł zerkać na ekran, choćby jednym okiem. Teraz, by nie drażnić klienta, szybko przełączył Republikę na jakiś program o zwierzętach. Te zwierzęta też irytowały strzyżonego, ale nic nie mówił. Siedział zamknięty w ramach lustra i starał się nie patrzeć na nie. Ów starszy facet w lustrze zdawał mu się niepodobny do niego. Niby on, a nie on. O wiele starszy, dziwnie pomięty i zmarnowany, jakby skotłowany przez życie. Nie ma bardziej bezlitosnych luster niż te u fryzjera. Zaleta luster przechodnich jest taka, że zanim rozczarujemy się swoją podobizną, już nas w lustrze nie ma. A u fryzjera twarz człowieka jest uwięziona na dłużej i pewnie dlatego zmienia się bezlitośnie w gębę. Można oczywiście zamykać oczy, ale prawda kusi bardziej niż kłamstwo. Lustro u fryzjera ujawni niezawodnie depresję, jeśli ona dręczy strzyżonego, smętek w oczach, wyostrzenie i zgrubienie rysów. Dzisiaj nie miał depresji, która nawiedzała go czasami. Miał za to już swoje lata, a te lata wypominało mu lustro. Włosy, zupełnie siwe, spadały na podłogę jak biały puch. Na czubku głowy widniała mała łysinka, taki różowy placek. Coś takiego. Brwi, już siwe, krzewiły się bujnie, też będą podcięte. Podcinanie brwi lubił najbardziej.



Opowiadania Tomasza Jastruna z tomu *Raju nie będzie*, Lira, Warszawa 2026

Zapłacił za usługę więcej niż miesiąc temu, jęknął, że wszystko drożeje w oczach, był oszczędny, by nie powiedzieć skąpy. Nie dał napiwku. Odchodząc, rzucił okiem w lustro, ach, za krótko, a prosił: nie za bardzo – mów jednak fryzjerowi, zawsze ostrzyże krócej, niż się prosi. I czegoś jakby mu brakowało w jego głowie, ale nie wiedział czego.

Wracał do domu pognębiony sobą i sytuacją, w jakiej znalazł się w swoim życiu. Żona mu potłuściała, a lubił chude, sam też dorobił się brzucha. I oboje z żoną zaczęli się psuć, bo już nie byli nowi i wszystko mieli dosyć stare, a z każdym rokiem starsze.

W domu żona krzątała się przy zlewie.

– Byłeś u Stefana? – zapytała, nie odwracając oczu znad mytych garnków.

– Byłem.

– Pokaż no się…

Wytarła ręce w kuchenny ręcznik i zlustrowała go wzrokiem.

– Jezus Maria!!! – wykrzyknęła, jakby się paliło.

– Co się stało?

– A gdzie ty masz uszy?!

– Jakie uszy?

– Nie masz uszu.

– A co ty za banialuki opowiadasz?

Poszedł śpiesznie do lustra wiszącego w przedpokoju i oniemiał. Nie miał uszu. Jak mógł coś takiego przegapić? Teraz przypomniał sobie, że gdy rzucił okiem w lustro, wychodząc od fryzjera, czegoś mu brakowało, nie wiedział tylko czego.

– A mówiłam, nie łaź ty do tego Stefana, on już nieprzytomny, wiedziałam, że dojdzie do jakiegoś nieszczęścia. Co ty teraz poczniesz bez uszu?! To sprawa kryminalna! – lamentowała żona.

Nie do końca wierzył żonie i lustru, przecież to niemożliwe, żeby stracił uszy, więc począł macać się rękami. Uszu nie było.

– Biegiem do tego partacza, może tam jeszcze one są, i pędem do szpitala, może ci tam przyszyją. Teraz wszystko można przyszyć. Co mi po mężu bez uszu! – Żona krzyczała tak dramatycznie, jakby to był koniec świata, jakby sam nie był dostatecznie przejęty zdarzeniem. Od niej nigdy żadnej pomocy jak bieda, tylko histeryzuje.

Wracał do Stefana tak szybko, jak potrafił, biegać już nie bardzo potrafił, więc trochę szedł, a trochę truchtał w miarę możliwości.

– Taka historia, taka historia! – wołał do siebie, aż ludzie się za nim oglądali. A jemu się zdawało, że oglądają się z powodu braku uszu.

Jak ja będę wyglądał bez tych uszu – nie znał nikogo, kto by nie miał uszu. Trzech znajomych miało sztuczny odbyt, tego jednak nie było widać, a brak uszu jest jak na talerzu. Znajdą się, przyszyją mi, pocieszał się, po czym znowu ogarniały go najgorsze obawy. I nawet przyszła do głowy myśl, że Stefan obciął mu te uszy specjalnie, z powodów politycznych. Samemu zdarzało mu się marzyć, by komuś po tamtej stronie barykady na złość obciąć uszy.

Dodreptał do zakładu pełen najgorszych myśli, nie był jednak gotowy na to, co tam zastał. Na drzwiach widniała żółta plakietka z napisem „Zamknięte" i ręczny dopisek „z powodu nagłej śmierci właściciela".

– Coś takiego, a kiedy on zdążył umrzeć? Co za łajdactwo, przecież dopiero co obciął mi uszy i miał się dobrze, coś takiego, takie buty, i co w tej sytuacji z moimi uszami? – wymamrotał.

I wtedy jego wzrok padł na małą karteczkę, jakby z boku, jakby zostawioną mimochodem. „Uszy klienta są zostawione w pobliskim mięsnym". Aż podskoczył. To ci historia, Stefan umierał, a pomyślał o moich uszach, jednak to porządny człowiek, musiał je obciąć przez pomyłkę.

Zadyszany zmierzał do mięsnego, dzwoniąc przy okazji do żony, by ją poinformować w kilku słowach

eprasa.pl f93f182c32

o wszystkim, nie było łatwe wszystko zawrzeć jedynie w kilku słowach.

W sklepie niemożliwa kolejka. Nie zważał na nią, sprawa nie cierpiała zwłoki.

– Przyszedłem w sprawie zostawionych tu uszu! – zawołał do trzech ekspedientek, które uwijały się wśród ciał zamordowanych zwierząt.

– Uszy świńskie do koloru do wyboru – odpowiedziała jedna, krojąc szynkę.

Nie ma bardziej bezlitosnych luster niż te u fryzjera.

– Ale ja w sprawie swoich uszu, obciętych przez nieuwagę, jedna para, ktoś od Stefana zostawił w sklepie. Chce traf, że to moje uszy.

– Ludzkich uszu nie sprzedajemy – mówiła ekspedientka, dalej ważąc szynkę. – Dokroić pani?

– A może być mniej – zgodziła się chętnie klientka.

– O nie, nie… to była jedna para ludzkich uszu, to moja para, dla mnie ważna sprawa, straciłem uszy, wielka bieda, błagam o zrozumienie i pomoc. – Próbował przemówić do sumienia kobiety.

Ekspedientka, okazało się, że ma sumienie, zawołała kierownika. Przybył z zaplecza z tasakiem i w białym fartuchu ubrudzonym krwią.

– Ja w sprawie moich uszu, pan Stefan, panie świeć nad jego duszą, obciął mi je przez nieuwagę z okazji strzyżenia włosów i ktoś dla mnie miał je zostawić w sklepie.

– Były tu jakieś ludzkie uszy w kopercie, ale ktoś już je odebrał…

– Co takiego?! To przecie moje uszy, co ja bez nich zrobię?!

– Koperta bez nazwiska, to daliśmy… jak było nie dać…

– Katastrofa!

– Rozumiem, że bieda, ja przecie widzę, że pan stracił uszy, proponuję, by w szpitalu przyszyli świńskie, trochę większe, ale też kształtne… Mogę panu z mety sprzedać parkę…

– Ten pan nie stał w kolejce, a głowę zawraca, proszę iść na koniec kolejki – żołądkowała się przysadzista jejmość.

I pomyśleć, że takie osoby były kiedyś dziewczynkami, może nawet ładnymi i miłymi, co też się z ludźmi robi.

Kierownik okazał się dobrym człowiekiem, nawet rzeźnik potrafi takim być. Zwrócił się do kolejki:

– Ten pan w pilnej sprawie, stracił uszy, sprzedam mu poza kolejką świńskie na przeszczep… – Kolejka nieco się wybrzuszyła, ale milczała, jakby nastało zrozumienie sytuacji.

Rzeźnik długo wybierał uszy, konsultował się, ale on nie wybrzydzał, mało było czasu, byle nie za duże i broń Boże włochate…

Wyszedł ze sklepu pospiesznie ze świńskimi uszami i skierował się w stronę szpitala. Nagle zatrzymał się, zawahał, po czym zadzwonił do żony.

– Hela, halo, moje uszy przepadły, ktoś zabrał… po co, do kurwy nędzy, były komuś moje uszy… Kupiłem świńskie, zupełnie świeże, trochę przyduże, co myślisz? Może przyszyją… Co myślisz…?

– Myślę, żeś dureń, jak ty będziesz wyglądał ze świńskimi? Ja już wolę z dwojga złego ciebie bez uszu, wracaj natychmiast do domu, znowu jakieś głupstwo zrobisz.

Powlókł się do domu zupełnie zrezygnowany, co za dzień, jaki fatalny dzień.



Na dworcu

Zagapiłem się. I przemknęło życie. Jak pociąg pośpieszny, podmuch rozwiał mi włosy już rzadkie, już siwe. Przemknęło w wielkiej ciszy, w ciszy zdawało się śmiertelnej, nie zwalniając. Stoję bezradny na peronie obok walizek, zgarbiony jak stary i chory gołąb. Wracam na dworzec. Na wielkim ściennym zegarze wskazówki się nie poruszają. Najwyraźniej zepsuł się czas. Idę do poczekalni. Siadam i czekam. I cały jestem czekaniem. Dzięki temu zapominam, że w tym życiu już nigdy nie będzie pociągu, który zatrzyma się na mojej stacji. Jedyne, co mogę zrobić, to zapisać swoje czekanie w zeszycie w kratkę, w takim, w jakim uczyłem się pisać tak wiele lat temu, że te lata pożółkły, sfilcowały się i są niewielką kulką papieru, którą nerwowo ściskam w ręce. ■

eprasa.pl f93f182c32

KURTYNA W GÓRĘ

Rzeczywistość urojona

Sztuka nie zaskakuje. Brak jej finezji, choć dotyka nader wrażliwej strefy życia: strefy informacji. Nie po raz pierwszy okazuje się, że przekaz w sieci bywa ważniejszy od prawdy. Może zabić albo wykreować bohatera. Powstaje swego rodzaju rzeczywistość urojona. Słowem, autor wziął pod lupę manipulację, a bohaterem uczynił gwiazdora filmowego, który wplątał się w niefortunną sytuację i za pomocą fingowanych w sieci wiadomości usiłuje wybrnąć z pułapki. Jeśli mu się nie uda, zniknie z ekranu.

Sztuka ma więc potencjał, ale do jej sukcesu zabrakło reżyserskiego szlifu. Tomasz Sapryk zatrzymał się na wstępnej fazie prób. Nie udało mu się stworzyć maszyny do grania tej komedii, która powinna śmieszyć i budzić zgrozę, a jest jak wystudzona herbata. Paradoksalnie wiarygodną postać wykreował jedynie Paweł Wawrzecki jako szef agencji artystycznej, który w ogóle nie pojawia się na scenie, słychać go jedynie przez telefon. Szkoda, że inni nie poszli w jego ślady, bo jest w tej sztuce pomysł, który może dojść do głosu pod warunkiem obdarowania bohaterów odrobiną życia.

Tomasz Miłkowski



Peter Quilter, „Moviestar", tłumaczenie Elżbieta Woźniak, reżyseria i oprawa muzyczna Tomasz Sapryk, Teatr Kwadrat, premiera 18 września 2026

NA POWAŻNIE

Na pohybel niszczycielom klimatu

Brytyjski reżyser David Pountney, który dał o sobie znać, przenosząc akcję „Strasznego dworu" Moniuszki w czasy po bitwie polsko-bolszewickiej, teraz wystąpił z apelem proekologicznym. Dokonał przeróbki barokowej paraopery, która jego zdaniem nie miała sensownej akcji, w celu dostarczenia argumentów obrońcom klimatu. Bohater przedstawienia, władca o imieniu Diktat, jak tyran zza wschodniej granicy morduje przeciwników, a potem sam budzi się w pościeli wypełnionej odpadkami. Lis i wilk muszą uciekać, bo las się pali, a drwale jeszcze wycinają. Ale wszystko kończy się dobrze. Przyroda zwycięża.

Bronisław Tumiłowicz



Henry Purcell, „Masque of Might", libretto i reżyseria David Pountney, dyrygent Paul Goodwin, Warszawska Opera Kameralna, premiera 25 września 2026



Inne ściany, inne głosy?

18 lat po premierze kultowego spektaklu Moniki Strzępki na wałbrzyską scenę wracają „Diamenty, czyli węgiel, który wziął się do roboty". Tym razem tekst Pawła Demirskiego inscenizuje Pamela Leończyk.

Rzecz inspirowana „Wujaszkiem Wanią" Czechowa, przepisanym na realia Polski potransformacyjnej, odbywa się w zgrzebnym salonie mieszkanka prowincjonalnej inteligencji, z którą kapitalizm nie obszedł się najłagodniej. Kiedyś można by uznać tę scenografię za realistyczną, dziś jest już groteskowa. Wojnicki (Rafał Kosowski), oszukany przegryw, a może niepoprawny idealista, wciąż czeka z pistoletem na profesora Sieriebriakowa, ojca polskiej transformacji, który niczym Godot nigdy się nie zjawia. W tle rozwijają się pomniejsze dramaty, niedopasowanie Soni (Irena Sierakowska) łaknącej stołecznego awansu, zapijana wódką samotność doktora Astrowa (Mateusz Flis). Na pierwszy rzut oka wszystkie te historie znamy. W dodatku reżyserka, rezygnując z tak charakterystycznej dla dawnych przedstawień duetu Strzępka-Demirski drapieżnej formy politycznego wodewilu na rzecz kameralnego dramatu psychologicznego, zwalnia tempo akcji, co chwilami nuży. A jednak szczere aktorstwo, zwłaszcza w finale, daje poruszające widowisko. Mniej tu teatralnych fajerwerków, bo i spektakularnych przykładów potransformacyjnej nędzy wokół nas jakby mniej. Co nie znaczy, że drapieżny neoliberalny kapitalizm z jego mitem ciągłego wzrostu, kultem sukcesu i pochwałą egoizmu nie wyjaławia nas intelektualnie, emocjonalnie i moralnie.

Świat, w którym zysk ekonomiczny jest najwyższą wartością, nie jest najlepszym z możliwych światów – przekonuje w finałowym monologu Wojnicki. Co ważniejsze, nie jest także jedyny.

Michał Centkowski

Paweł Demirski, „Diamenty to węgiel, który wziął się do roboty", reżyseria Pamela Leończyk, Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego w Wałbrzychu, premiera 25 grudnia 2025

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI, TOBIASZ PAPUCZYS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f93f182c32

Nadzieja w młodzieżówce

Lewandowski z Bośnią zagrał najgorszy mecz w życiu

Wojciech Kuczok

Po igrzyskach w Barcelonie, zakończonych w 1992 r. srebrem młodych polskich piłkarzy, kapitan tamtej reprezentacji, Jerzy Brzęczek, wygłosił buńczuczne zdanie: „Zmieniamy szyld i jedziemy dalej!". Chodziło o to, by kadra młodzieżowa w glorii zdobywców medalu olimpijskiego z marszu przystąpiła do mundialowych eliminacji jako seniorska reprezentacja Polski. Dorosła kadra nie miała wtedy czym się pochwalić, mistrzostwa Europy '92 oglądała w domu jak wszystkie poprzednie. Selekcjoner Andrzej Strejlau dokończył także przegrane kwalifikacje do II Mondiale '90 i nie przystępował do kolejnych jako człowiek sukcesu. Powiodło się za to szparkim młodziakom Janusza Wójcika, zatem hasło o wymianie starych przegrywów na młodych triumfatorów było chwytliwe.

Stało się inaczej – Strejlau wprowadzał młodzież do kadry seniorskiej ostrożnie, kadra narodowa osuwała się w mierność, ominęły ją jeszcze cztery kolejne turnieje mistrzowskie. Również Wójcik niczego nie wskórał; jak się potem okazało, jego metody szkoleniowe, z naczelną dewizą: „Tu trzeba dzwonić, a nie trenować", sprawdzały się w skorumpowanej Ekstraklasie ery Fryzjera, ale na międzynarodowej arenie nie działały.

Dzisiaj Brzęczek szefuje kadrze U-21 i powiedzieć, że w ciągu roku wydobył ją z kryzysu, to nic nie powiedzieć. Od kiedy zeszłego lata przejął po Adamie Majewskim kadrę zdruzgotaną przegranymi z kretesem Młodzieżowymi Mistrzostwami Europy (trzy mecze, trzy klęski, 11 goli straconych), prowadzi ją od zwycięstwa do zwycięstwa. Polacy jako jedyna ekipa w Europie wygrali jak dotąd wszystkie mecze kwalifikacji do kolejnego juniorskiego Euro, które będzie także dla najlepszych furtką do igrzysk Los Angeles '28 – dziewięć zwycięstw z rzędu przy średniej trzech strzelonych goli na jedno spotkanie.

Może się jednak okazać, że ta seria psu na budę, bo depczą nam po piętach Włosi, którym zwycięską passę przerwaliśmy przed rokiem w Szczecinie. Jeśli nam się zrewanżują, wyprzedzą nas w tabeli na samym finiszu rozgrywek. Czeka zatem chłopców Brzęczka egzamin dojrzałości – wystarczy wybronić remis, aby zwieńczyć dzieło.

Kilka dni temu nie daliśmy w Katowicach szans Szwedom, choć nasz bramkarz Marcel Łubik nie omieszkał słusznie zauważyć, że młoda kadra Trzech Koron jest po prostu bardzo słaba. Największy talent tego pokolenia, Lucas Bergvall, już dawno gra w pierwszej reprezentacji, a pośród jego rówieśników próżno wypatrywać przyszłych gwiazd futbolu. Może poza wybieganym napastnikiem Fiorentiny – Alieu Njie próbował nawet szarpać w Katowicach, dwoił się i troił, ale podobnie jak pozostali koledzy strzelić groźnie na polską bramkę nie zdołał.

Obie ekipy dzieliła różnica klas, Polacy nie musieli nawet włączać czwartego biegu, żeby rywali stłamsić. Debiutujący na poziomie reprezentacyjnym Bartosz Mazurek zaliczył dublet, a trzybramkową wygraną przypieczętował Daniel Bąk, korzystając z nieporadności szwedzkiego bramkarza. Profesurę na pozycji stopera zagrał Bright Ede, a w roli defensywnego pomocnika sprawdził się nawet Maxi Oyedele, którego Brzęczek postanowił odbudować, bo chłopak w Strasburgu w tym sezonie jeszcze ani razu nie powąchał murawy. „Wuja" jest dla tych chłopców mentorem, trenerem, wychowawcą i psychologiem sukcesu – ma u piłkarzy posłuch, cieszy się autorytetem, nikt mu nie „psuje szatni" gwiazdorskimi kaprysami.

Psuć robotę próbuje coach mającej pierwszeństwo „jedynki" – dowołał do siebie bramkarza Abramowicza, obrońcę Mońkę, skrzydłowego Pietuszewskiego oraz ofensywnego pomocnika Regułę – żaden z tych chłopców nie wszedł na boisko ani z Bośnią, ani ze Szwecją. Wyrywanie zębów trzonowych z kadry U-21 tylko po to, żeby se chłopaki posiedzieli na ławce lub na trybunach i patrzyli, jak ich starsi koledzy kompromitują się przed światem, uważam za sabotaż; nawet jeśli jest on bezwiedny, Urbana to nie usprawiedliwia.

> Brzęczek jest dla chłopców z U-21 mentorem, trenerem, wychowawcą i psychologiem sukcesu – ma u piłkarzy posłuch, cieszy się autorytetem.

Młodzieżówka rozgromiła Szwedów dwa dni po tym, jak reprezentacja seniorska dostała bezapelacyjne manto w Sztokholmie. „Zmiana szyldu i jedziemy dalej" nabrało aktualności – Jerzy Brzęczek jest typowany na następcę Jana Urbana albo już teraz, albo w najbliższej przyszłości. Kadra seniorska nie rokuje, gra poniżej oczekiwań, w dodatku za Brzęczkiem przemawia fakt, że przed laty spotkała go nadzwyczajna niesprawiedliwość. Został zwolniony z posady selekcjonera jeszcze za pezetpeenowskiej prezesury Zbigniewa Bońka, po tym jak awansował z kadrą na mistrzostwa Europy – poszło o nieefektowny styl i o to, żeśmy z Holandią i Włochami w Lidze Narodów ugrali ledwie punkcik. Na Euro pojechał Paulo Sousa, Polacy zaczęli grać efektowniej, ale efektów

eprasa.pl f93f182c32



Robert Lewandowski i Amar Memić w meczu Ligi Narodów Polska kontra Bośnia i Hercegowina. Warszawa, 25 września 2026 r.

brakowało, dlatego z grupy nie wyszli. Teraz w Lidze Narodów bijemy się z Rumunami o to, żeby nie spaść do Grupy C, bo z Bośnią u siebie i ze Szwecją na wyjeździe straciliśmy 5 pkt.

Robert Lewandowski – o którego tak się martwiono za kadencji Brzęczka, że potrzeba mu w szatni autorytetu, a selekcjoner rodem z Truskolasów i doświadczeniem z polskiej ligi przez gwiazdę światowego formatu poważnie traktowany być nie może – teraz przeżywa swój przykry zmierzch. Z Bośnią zagrał najgorszy mecz w życiu, piłka mu odskakiwała, podawał pod nogi rywalom i nieudolnie składał się do strzałów. Ze Szwecją trener wpuścił go jak pętaka w ostatniej minucie, przez co sfrustrowany Lewy wykopał piłkę na aut, żeby choć żółtą kartką zapisać się w statystykach.

Pierwszym zadaniem nowego selekcjonera powinna być budowa kadry bez Roberta i pomoc legendarnemu napastnikowi w godnym pożegnaniu się z kadrą, żeby jego reprezentacyjna kariera nie skończyła się w tak żałosnych okolicznościach, jak to miało miejsce przed kilkoma dniami z Cristianem Ronaldem. Portugalczyk obraził się na trenera Jorge Jesusa, że ten nie wpuścił go w meczu przeciw Norwegom nawet na minutę. CR7 wyjechał ze zgrupowania. Nikt go nie zatrzymywał, nikt nie zamierzał przepraszać ani błagać o litość. W kolejnym meczu Portugalczycy poradzili sobie bez niego równie świetnie, nawet numer 7 w kadrze nie został zastrzeżony – w zwycięskim meczu przeciw Danii zagrał z nim Rafael Leão.

Polacy jako jedyna ekipa w Europie wygrali dotąd wszystkie mecze kwalifikacji do juniorskiego Euro.

Jak się patrzy na naszą młodzieżówkę, serce rośnie, ale natychmiast kurczy się po występach pierwszej kadry narodowej. Człowiek gotów pomyśleć, że Polacy po prostu nie umieją grać w piłkę nożną, że są narodem w tej dziedzinie pokrzywdzonym przez Stwórcę i choćby się starali jak Wokulski o rękę Izabeli, na futbolowych salonach zawsze będą wyszydzani, bo nie mają w genach drygu, nie mają tej gibkości, fantazji, precyzji, a choćby i pracowitości, co inne nacje. Mają za to gen samozagłady, kłócą się między sobą najzajadlej, przeto w sportach zespołowych nigdy nie będą startować z uprzywilejowanej pozycji. Siatkówka jest tu szlachetnym wyjątkiem (reprezentacja mężczyzn właśnie w pięknym stylu obroniła mistrzostwo Europy, pokonując w finale Francuzów) może dlatego, że zawodnicy mogą między sobą podawać piłkę tylko dwa razy – tyle akurat podań to i nasi piłkarze wymienić potrafią, zanim piłkę stracą.

Ogląda człowiek mecz reprezentacji z Bośnią i widzi impotencję snajperską, niedbałość i bylejakość, ale słyszy po meczu, że jest z czego się cieszyć, bo zagraliśmy na zero z tyłu. Kilka dni później wychwalana obrona popełnia szkolne błędy w kryciu i Polska dostaje kolejne bęcki w Sztokholmie, ale podobno nie ma co płakać, bo do przerwy graliśmy dobrze i pojawił się nam w środku pola nowy Krychowiak, czyli Wiktor Nowak z praskiej Slavii.

A może zamiast szukać niemożliwego, czyli tzw. zalążków przyszłej wielkości, powinniśmy się pogodzić z tym, że to wielkość urojona, nigdy jej nie dostąpimy, bo nie oszukamy przeznaczenia. A przeznaczone jest nam lekko dostawać w dupę od drużyn solidnych, obrywać srogie baty od drużyn wybitnych, przepychać się ze średniakami i czasem wyżywać na słabeuszach. Nigdy nie zdobędziemy już żadnego medalu, nie przyjdzie żadne złote pokolenie, które nas zbawi, które uczyni z nas choćby i parweniuszy na arenach? A może to właśnie młodzież Brzęczka przyniesie nam piłkarskie zbawienie? Trzymajmy za nią dzisiaj kciuki – wyzwanie jest poważne, w Pescarze wybiegną przeciw nam ograni w najlepszych klubach i pewni siebie Niccolò Pisilli z AS Roma, Cher Ndour z Fiorentiny czy Alphadjo Cisse z AC Milan – ten w ostatniej akcji meczu zapewnił w czwartek Włochom zwycięstwo z Armenią. Wystarczy nie przegrać, aby było pięknie. ■

FOT. BEATA ZAWADZKA/EAST NEWS

eprasa.pl f93f182c32



Za tym płotem, na Wzgórzach Wałdajskich, bierze początek Wołga, najdłuższa rzeka europejska (3530 km).

Wołga
W poszukiwaniu rosyjskiej duszy

Rzeka płynie przez dwie Rosje: jedną, która gromadzi bogactwo, i drugą, która ponosi koszty

Jacek Pałkiewicz

Wołga od dawna była dla mnie czymś więcej niż największą rzeką Europy. Należała do tych nazw, które człowiek wcześniej niż z mapy poznaje z obrazów, pieśni i literatury. W mojej wyobraźni miała twarz ludzi z płótna Ilji Riepina: zmęczonych burłaków, którzy w szlejach, po błotnistym brzegu, ciągnęli pod prąd ciężką barkę. Była symbolem wysiłku zwykłego człowieka, na którego plecach budowano wielkość imperium. Rosyjscy pisarze nazywali ją matką, kręgosłupem kraju, duszą narodu. Chciałem sprawdzić, ile z tego patosu pozostało w dzisiejszej Rosji i czy za monumentalną legendą można jeszcze dostrzec życie ludzi mieszkających nad brzegami Wołgi.

W 2020 r. przeznaczyłem dwa miesiące na drogę od źródła Wołgi do Morza Kaspijskiego. Nie interesowała mnie wycieczka luksusowym statkiem, którego pasażerowie oglądają kraj zza panoramicznej szyby, a ich kontakt z Rosją ogranicza się do folklorystycznego wieczoru i kieliszka wódki. Płynąłem tak, jak pozwalały warunki: kajakiem, starym jachtem, wodolotem, statkiem pasażerskim i rzeczną barką.

Wołga zaczyna się skromnie na Wzgórzach Wałdajskich, niedaleko wsi Wołgowierchowje. Nad mokradłami prowadzi drewniany pomost, a w niewielkim domku przez otwór w podłodze widać wodę sączącą się z ziemi. Obok ustawiono głaz z przesłaniem do podróżnika, aby chronił miejsce narodzin wielkiej rzeki i duszy rosyjskiego narodu. Trudno nie ulec symbolice tej sceny. Oto niepozorna strużka, którą niemal można przekroczyć jednym krokiem, po tysiącach kilometrów zamieni się w wodny horyzont.

Wokół panowała cisza północnego lata. Brzozy, wilgotne łąki, zapach żywicy i dymu z pieca. Przed jedną z chałup siedział młody człowiek ze smartfonem. Nad zapadającym się dachem wisiała antena satelitarna. Internet dotarł tu wcześniej niż kanalizacja, a cyfrowa Rosja spotkała się z Rosją studni, drewnianego wychodka i drogi rozjeżdżonej przez ciężarówki. Ten obraz powtarzał się potem wielokrotnie. Technologia wkroczyła do głubinki, ale nie wyrównała jej szans. Człowiek może dziś rozmawiać z krewnym w Moskwie przez komunikator, nadal jednak do lekarza jedzie kilkadziesiąt kilometrów.

Głubinka to pojęcie szersze niż polska prowincja – to stan zapomnienia poza głównym obiegiem pieniędzy, usług i decyzji.

Rzeczną podróż rozpocząłem w Twerze, gdzie Wołga ma już szerokość poważnej rzeki. Potem pojawił się Uglicz, jedno z tych rosyjskich miasteczek, które wyłaniają się znad wody niczym teatralna dekoracja. Kopuły cerkwi, stare mury, zielone skarpy i niskie domy tworzą obraz tak harmonijny, że łatwo zapomnieć

eprasa.pl f93f182c32

o dramatycznej historii kraju. Z brzegu patrzą na rzekę świątynie, w których od pokoleń modlono się za cara, za zwycięstwo, o deszcz, urodzaj i powrót synów z wojny.

W Ugliczu poznałem Leonida, inżyniera pracującego w Moskwie, który płynął z dwoma przyjaciółmi wysłużonym jachtem. Zaprosił mnie na pokład, bo znał historię mojego samotnego rejsu przez Atlantyk. Płynęliśmy częściej na silniku niż pod żaglami. Wołga nie zawsze sprzyja romantycznym wyobrażeniom, ale nawet jednostajny pomruk diesla nie odbierał uroku bezkresnym lasom, zatokom, drewnianym osadom i zamglonym porankom.

Leonid chciał odwiedzić dziadków w Uchmie. Wioska wyglądała jak pozostawiona na uboczu historii. W ogródkach rosły ziemniaki, ogórki, porzeczki i koperek. W chacie jego dziadków pachniało dymem i świeżo ugotowanymi ziemniakami. Na stole pojawiły się samowar, chleb, śmietana, konfitury, pielmieni i butelka domowego alkoholu. Nie było tam niczego wystawnego. Lodówka pamiętała zapewne czasy Breżniewa, w rogu stał telewizor, a wodę trzeba było przynosić wiadrem.

Kilka kilometrów dalej nad rzeką wznosiły się nowe rezydencje ludzi z wielkich miast: wysokie ogrodzenia, monitoring, baseny, przeszklone werandy. Ich właściciele przyjeżdżali na lato, aby odpocząć od Moskwy i kosztować wiejskiej prostoty, lecz oddzielali się od miejscowych szczelnym płotem. Rosja kapitalistyczna osiedliła się obok Rosji chłopskiej, ale nie chciała z nią rozmawiać.

W Rybińsku myślałem o burłakach. Ich zawód przedstawiano jako symbol nieludzkiego wyzysku, choć historia była bardziej złożona. W sezonie mogli zarobić na wiele miesięcy życia, lecz nie zmienia to faktu, że państwo i kupcy budowali bogactwo na ich mięśniach. Mężczyźni pochylali się pod ciężarem liny i krok po kroku ciągnęli barkę pod prąd. Rosyjska historia zna wiele odmian tej samej pracy: chłopa pańszczyźnianego, robotnika przy wielkiej budowie, więźnia łagru i pracownika fabryki, któremu miesiącami nie wypłacano pensji. Zmieniały się ustroje, lecz ciężar często pozostawał na tych samych barkach.



Elegancka architektura XVII-wiecznej cerkwi w Kostromie.



Sielski widok ze środkowej Wołgi.

Jarosław, Kostroma i Plos ukazały mi inną twarz Wołgi. Złote kopuły, klasztory, stare domy kupieckie i nadrzeczne place przypominały o czasach, gdy rzeka była głównym szlakiem handlowym między Europą a Azją. W Plosie, ukochanym przez malarzy i pisarzy, panorama jest niemal zbyt doskonała. Zielone wzgórza schodzą ku wodzie, drewniane domy toną w ogrodach, a nad całością górują cerkwie. Takiej Rosji łatwo ulec. Ma w sobie melancholię, prostotę i ciszę, których brakuje metropoliom.

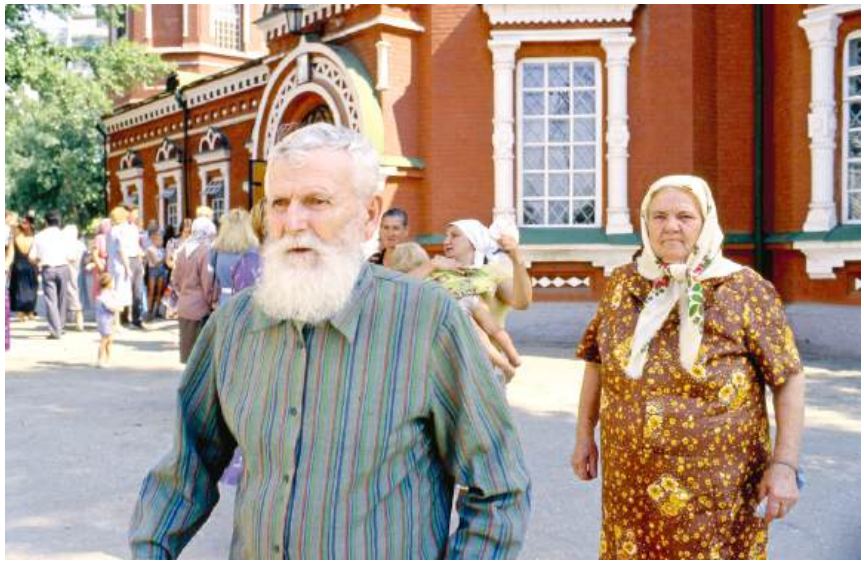
Wioski nad Wołgą nie były jednak pocztówkową idyllą. Wystarczy odpłynąć kilka kilometrów, aby zobaczyć drugą odsłonę krajobrazu. Liche chałupy, rozpadające się płoty, kobiety niosące wodę ze studni, starcy siedzący na ławce przed domem. W jednej z osad rozmawiałem z Ksenią, nauczycielką. Szkoła miała coraz mniej uczniów, bo młodzi wyjeżdżali do miasta. Ambulatorium działało tylko w wybrane dni, zakład przetwórczy zamknięto, a prom kursował nieregularnie. „Mamy internet, ale brakuje kanalizacji. Kraj wszedł w XXI w. nierównym krokiem. Jedną nogą tkwimy w cyfrowym świecie, drugą w błocie dawnej wsi", powiedziała.

To właśnie głubinka, pojęcie szersze niż polska prowincja. Nie oznacza

eprasa.pl f93f182c32

tylko odległości od stolicy. To stan zapomnienia. Człowiek żyje tam poza głównym obiegiem pieniędzy, usług i decyzji. Metropolia obiecuje nowoczesność, głubinka ma sobie radzić. W Moskwie można zamówić kolację przez telefon o drugiej w nocy, a w nadwołżańskiej wsi nie zawsze można wezwać karetkę.

Kapitalizm, który po upadku Związku Radzieckiego miał przynieść dobrobyt i wolność, okazał się dla wielu brutalną wyprzedażą wspólnego majątku. Państwowe przedsiębiorstwa rozdzielono formalnie pomiędzy obywateli, lecz akcje szybko przejęli dyrektorzy, dawni funkcjonariusze partyjni, ludzie służb i rodzące się struktury mafijne. Robotnik sprzedawał swój udział za równowartość kilku obiadów, bo nie miał pieniędzy na życie. Ropa, gaz, złoto, węgiel i przemysł znalazły się w rękach garstki oligarchów.



Zaściankowy obrazek nadwołżańskiej prowincji: surowej, skromnej i prawdziwej.

Z pokładu statku widziałem rezultat tej transformacji wyraźniej niż w moskiewskich analizach ekonomicznych. Na jednym brzegu nowa rezydencja z prywatną przystanią, na drugim opuszczony dom i zarośnięte pole. Bogactwo kraju nie zniknęło. Zmieniło właściciela.

Na statku do Samary piłem piwo z Olegiem, marynarzem urodzonym w Kijowie. Kiedy wspomniałem mu, że pisarze i poeci od zawsze wynosili Wołgę do roli matki wszystkich Rosjan, fundamentu narodu, wielkości jego ducha i wszystkiego, co rosyjskie, uśmiechnął się ironicznie. Jego zdaniem na symbol Rusi bardziej nadaje się Dniepr, bo tam narodziło się państwo kijowskie i biegł szlak od Waregów do Greków. Wołga przez długi czas pozostawała poza rosyjskim władaniem. Przez stulecia była rzeką Tatarów, Czuwaszów, ludów ugrofińskich, kupców arabskich, perskich i słowiańskich. Ta rozmowa była przypomnieniem, że symbole narodowe nie spadają z nieba. Tworzą je państwa, szkoły, pieśni i podręczniki.

Przed Samarą pojawiły się Góry Żygulowskie. Po wielu dniach równin krajobraz nagle nabrał siły. Wapienne zbocza, lasy i szeroka woda przywołały obrazy Ajwazowskiego. Wołga przypominała tu morze. Fale uderzały w burtę, drugi brzeg znikał w oddali, a wiatr niósł zapach mokrego lasu. Jako człowiek morza czułem się wreszcie całkowicie u siebie.

Nad Wołgą pojawiło się jeszcze inne zagrożenie. Rzeka, od której zależy ogromna część rosyjskiego przemysłu i rolnictwa, stała się kanałem dla ścieków, nawozów, pestycydów i odpadów. Wielkie kombinaty korzystały z niej przez dziesięciolecia jak z bezpłatnej kanalizacji. Państwo, tak skuteczne w budowaniu pomników i organizowaniu defilad, okazywało się bezradne wobec trucicieli. Koszty ponownie ponosili zwykli ludzie: rybacy, mieszkańcy wsi i dzieci kąpiące się w rzece.

Astrachań przywitał mnie upałem, kurzem i ostrym zapachem suszonych ryb. Na targu piętrzyły się arbuzy, zioła, przyprawy i właśnie ryby. W mieście spotykały się Rosja, Kaukaz i Azja Środkowa. Wołga rozdzielała się tu na setki odnóg, tworząc ogromną deltę. Nad trzcinami unosiły się ptaki, w wodzie odbijało się bezkresne niebo, a łódź sunęła przez labirynt kanałów ku Morzu Kaspijskiemu.

Ta kraina mogłaby być przyrodniczym rajem, lecz również padła ofiarą rabunkowej gospodarki. Po rozpadzie ZSRR przemyt kawioru przejęły grupy mafijne. Kłusownicy wytrzebili jesiotry i bieługi, a luksusowy produkt trafiał na stoły bogaczy w Europie i Ameryce. Jeszcze raz wielkie bogactwo natury przynosiło fortunę nielicznym, pozostawiając reszcie zniszczone środowisko.

Po tysiącach kilometrów nie znalazłem jednej rosyjskiej duszy. Zobaczyłem raczej wiele Rosji. Rosję metropolii, oligarchów i nowoczesnych biurowców. Rosję prowincjonalnych miast, żyjących wspomnieniem dawnej wielkości. Rosję wsi, gdzie starsza kobieta dzieli się z obcym ostatkiem chleba. Rosję muzułmańską, tatarską, chłopską, robotniczą i imperialną.

Rzeka płynie tak naprawdę przez dwie Rosje: jedną, która gromadzi bogactwo, i drugą, która ponosi koszty. Łączy je wspólna historia, lecz dzieli dostęp do godnego życia. Dopóki stary człowiek nad Wołgą będzie nosił wodę ze studni, a w telewizji widział pałace oligarchów, dopóty żadna opowieść o narodowej potędze nie będzie kompletna.

Wołga pokazała mi Rosję, której nie da się zamknąć w jednym zdaniu. Rosję bogatą i biedną, nowoczesną i archaiczną, dumną i zmęczoną. Metropolie biegną tam ku przyszłości, podczas gdy głubinka trwa przy swoim stole, piecu, ogrodzie i rzece.

Jacek Pałkiewicz – reporter, odkrywca źródła Amazonki, survivalowy guru, uczył kosmonautów i jednostki antyterrorystyczne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach

FOT. JACEK PAŁKIEWICZ

eprasa.pl f93f182c32

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Zalety lalkomanii

Problem z kinową wersją „Lalki" w reżyserii Macieja Kawalskiego jest taki, że jak się obsadza najprzystojniejszego polskiego aktora w roli Wokulskiego i najpiękniejszą polską aktorkę w roli Łęckiej, to wiadomo, że wyjdzie z tego melodramat. Widz patrzy na tych dwoje i nic go nie obchodzi tło historyczno-społeczne, żadne pozytywizmy-romantyzmy, panorama XIX-wiecznej Warszawy. Chodzi tylko o to, żeby on i ona mieli się ku sobie i jakoś oszukali przeznaczenie. A jako że twórcy tej wersji postanowili nie odfruwać zanadto od litery oryginału, z góry wiadomo, że happy endu nie będzie.

Maślona z Demirskim napisali „Lalkę" na nowo, Kawalski najodważniej zabawił się w epizodzie z udziałem Bolesława Prusa, który chce zrobić z Wokulskim wywiad, ale zostaje odesłany do Rzeckiego i poinformowany, że to pamiętnik starego subiekta powinien spisać. Reszta jest mniej lub bardziej wierna, łagodna, gustowna i grzeczna. Ja się na to nie obrażam, jeśli bowiem czegoś nam brakuje w życiu publicznym, to gustu, dobrych manier i łagodności.

Jeśli czegoś nam brakuje w życiu publicznym, to gustu, dobrych manier i łagodności.

Nieliczne momenty ekscytacji albo raczej rozrzewnienia zapewniają chwile z udziałem dawno nieoglądanych nestorów polskiego aktorstwa: wracającego po dekadach Marka Kondrata czy Mai Komorowskiej. Narzekania krytyki skupiają się na rzekomo ograniczonych środkach aktorskich dwojga protagonistów, zwłaszcza młodej Kamili Urzędowskiej – ja tam pamiętam mądrą zasadę wygłoszoną niegdyś bodaj przez Gustawa Holoubka: jak dziewczyna ci się na ekranie podoba, to nie nazywaj jej słabą aktorką.

O tym, jak błogosławiony to czas, że się Polacy kłócą o kino i literaturę, zamiast skakać sobie do gardeł z bardziej pospolitych powodów, już pisałem przy okazji felietonu zachwalającego serialową wersję. Kwitnie lalkobiznes, Prus na szczytach dworcowych stoisk, na listach bestsellerów, w twardej, w miękkiej, z ilustracjami i bez, w kilku tomach lub w jednym wolumenie, pisarze opłacani przez bankierów snują alternatywne losy bohaterów powieści, wódka Wokulski sprzedaje się lepiej niż Soplica i Pan Tadeusz razem wzięci. Nawet narodowe wzdęcie jakoś w tym wymiarze łagodnieje. Dopiero co polityczny hochsztapler ogłosił wszystkich artystów darmozjadami, a tu proszę bardzo: sztuka działa masowo, ludzie rwą się do lektury, choćby i pobieżnej lub „nieosobistej", zapośredniczonej.

Jeśli czytelnictwo drgnie w statystykach nawet o pół procent, choćby tylko na czas krótkotrwałej lalkomanii, oddali to nas od zagłady. Gdy spada czytelnictwo, wzrasta niepoczytalność. Człowiek zaczytany nie jest niebezpieczny, ba, zdaje się całkowicie bezbronny, oddaje siebie lekturze, poświęca jej siebie, oddanie i poświęcenie to cechy złagodzonej obyczajowości; człowiek oczytany pierwej użyje języka niż broni. Jestem przekonany, że najbardziej nawet beznadziejne przypadki emocjonalnego analfabetyzmu są uleczalne biblioterapią, bo sam nawyk czytania, nawet bez zrozumienia, sprawia, że człowiek przez osmozę uczy się empatii.

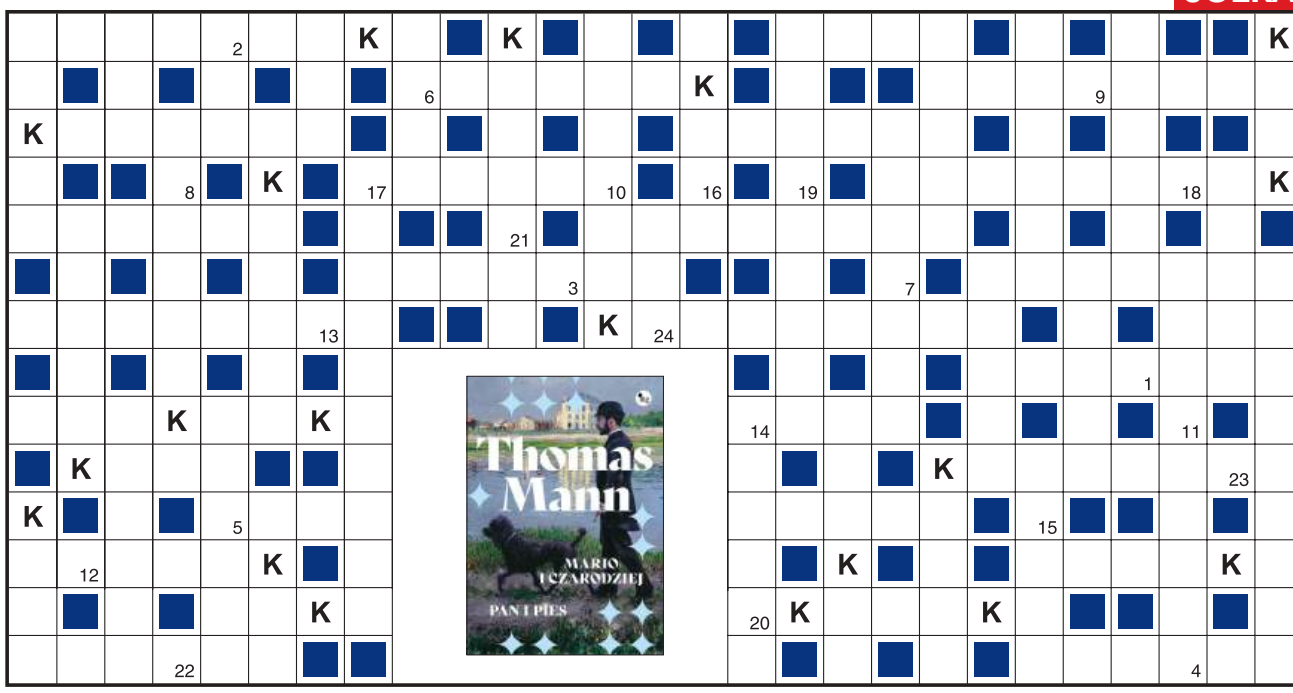
Idę więc o zakład, że funkcjonariusz medialnej szczujni, który napadł na Lecha Wałęsę i jął go nękać przed kamerami, „w imieniu narodu" zadając pytanie o jego wtórny analfabetyzm, czytaniem się nie para. Oglądanie tego „żołnierza prawdy" w akcji sprawiło mi wręcz fizyczny ból, było bowiem znęcaniem się nad starym, schorowanym człowiekiem, które za bohaterstwo mogą uznać tylko fanatycy i opętani nienawistnicy.

Wymazywanie Wałęsy z podręczników historii prawackim harcownikom nie wystarcza. Żulik uzbrojony w dziennikarską akredytację metodycznie wyprowadzał z równowagi pierwszego prezydenta III RP i marzyło mu się pewnie, żeby za jego sprawą Wałęsa dostał śmiertelnego zawału. Wciskanie mikrofonu pod nos i ganianie za politykami, którzy nie mają ochoty na rozmowę, jest niestety metodą w coraz powszechniejszym użyciu – standardy medialne wyznaczają ekstremiści, media głównego nurtu muszą równać w dół, żeby nie stracić poklasku.

Przemoc w treści, przemoc w formie, podzielony naród już innego dziennikarstwa nie uznaje, bez kłótni spada oglądalność. Wszyscy stajemy się ofiarami tej przemocy. ■

eprasa.pl f93f182c32

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- spierały się o niego Afrodyta i Persefona
- dziewczynka z elementarza
- imię prezydentów Jacksona i Johnsona
- ożywia marionetkę lub organizuje zabawę
- kontynent z Chinami i Indiami
- wielka, błotnista kałuża
- nadawanie koloru tkaninie
- płaksa, mazgaj
- lekkomyślność, niefrasobliwość, swoboda
- zerwanie relacji jako forma nacisku
- długa i biała u św. Mikołaja
- kłamstwo na resorach
- brak oświaty i zacofanie
- i wyprowadzony, zadany, i spada na kogoś
- „Tchórze” i „Ku przyszłości” hitami tego zespołu
- …Newtona z trzema zasadami
- jego święto 22 stycznia
- odmieniec, ekscentryk
- imię malarza Schielego
- przedsiębiorstwem wewnętrznego był Pewex
- nazywane hormonami szczęścia
- herbaciana, octowa lub waniliowa
- i rozgłośnia radiowa, i mały rozmiar
- krótka pelerynka lub szeroki szal
- Bem albo Demarczyk
- uczony z obrazu Vermeera
- imię Konopackiej
- wspinacz w najwyższych górach świata
- krzywe, rozchodzące się od kolan nogi
- w świecie Wiedźmina jego królem Henselt
- raz na ok. 10 lat …kropli paku w eksperymencie
- całokształt drogi zawodowej
- gryczana, jaglana lub manna
- w nim, w tramwaju – kochaj mnie
- szybszy od stępa, wolniejszy od galopu
- u Krasickiego ptak zwiedziony przez lisa
- majątek z ciężkiej pracy
- do zawieszania noży i widelców nie służył
- pluszak na szczęście
- roślina wrażliwa na dotyk
- drzewo gubiące igły na zimę
- środek trzymający mole z dala od szafy
- kamień osadzający się w czajniku
- „…Wirgiliusz uczył dzieci swoje”
- najliczniejsze, lecz najsłabsze bierki
- ich rozwiązanie ukryte w kombinacji liter i rysunków
- Mariański – najgłębszy
- taaaka marzeniem wędkarza
- bryłka złota
- w zimowy zapadają np. świstaki
- koniki szachowe inaczej
- …nie drużba
- podglądali Zuzannę w kąpieli
- czystego transportu lub płatnego parkowania
- Krystyna, zagrała Kotkową w „Alternatywy 4”
- wyciąg z aktu notarialnego, rejestru
- przesąd
- chronometr
- licho, co czasem w kogoś wstępuje
- naklejany na list

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1294”. Do rozlosowania książki „Mario i czarodziej. Pan i pies” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 11 października 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1291” z nr. 38: *Dostatek młodego nie naprawi*. Nagrody otrzymują: Anna Dymalska z Wrocławia, Krystyna Wiśniewska z Bełchatowa, Włodzimierz Zdanowicz z Wrocławia.

eprasa.pl f93f182c32

Przyganiał kocioł…

„Działaczka Platformy, polityk Platformy, mąż propagandystki TVP, absolwenci moskiewskiej szkoły szpiegów, były funkcjonariusz WSI, ludzie ściągani z głębokich emerytur, były dziennikarz-propagandysta bez znajomości języków… Takimi kadrami chcą okrasić polską dyplomację". Tak lamentuje Marcin Przydacz, prezydencki minister, wcześniej wiceminister w MSZ.

Przyganiał kocioł… Do tego MSZ Przydacz trafił z kancelarii prezydenta Dudy, w ministerstwie wcześniej nie przepracował nawet minuty. Swoją twarzą firmował czystki w MSZ i wpychanie ludzi PiS. Nie tylko na stanowiska ambasadorów, ale także na te niższe.

Przykład pierwszy z brzegu – konsulaty w USA. W Chicago konsulem generalnym został Paweł Zyzak. Ten od książki o Lechu Wałęsie. Zyzak działał w PiS, pracował w IPN, a w roku 2018 r. trafił do Kancelarii Premiera. Stamtąd w 2022 r. wyfrunął do Chicago, to była jego pierwsza praca w MSZ.

A spójrzmy na Adriana Kubickiego. Gdy PiS przejęło LOT, został jego rzecznikiem prasowym. Potem, w 2019 r., został dyrektorem Instytutu Kultury Polskiej w Nowym Jorku. A rok później konsulem generalnym RP w Nowym Jorku. I chwalił się, że jest „najprawdopodobniej najmłodszym konsulem generalnym w historii III RP".

Gdy przechodził pracować jako konsul, w Instytucie Kultury Polskiej zastąpiła go Agata Gabriela Lupoměská (Supińska). Nowa szefowa instytutu wcześniej pracowała w ambasadzie w Londynie. I tam zasłynęła taką akcją i takim wiele mówiącym tweetem: „W niedzielę, 15 listopada (2020) obchodzić będziemy 153. #urodzinyStudnickiego. Z tej okazji razem z @Cenckiewicz, @PiotrZychowicz, @JanSadkiewicz i in. odnowiliśmy #grób Studnickiego, mając nadzieję, że to zaledwie początek drogi przywracania pamięci o @W_Studnicki i jego koncepcjach".

Napisała też, że „Władysław Studnicki, jeden z największych polskich myślicieli XX wieku, mimo trafności swoich prognoz, nie cieszył się uznaniem i przez długie lata był zapomniany".

Więc przypomnijmy: Władysław Studnicki to polityk skrajnej prawicy, wściekły antysemita (pisał, że „odżydzenie Polski jest warunkiem jej ozdrowienia") i zwolennik kolaboracji z Hitlerem. Po wrześniu 1939 r. pisywał do władz niemieckich memoriały o utworzeniu polskich oddziałów do walki z ZSRR i próbował tworzyć kolaboracyjne struktury.

Z kolei konsulem w Houston została w styczniu 2023 r. Monika Sobczak. To była przewodnicząca NZS Uniwersytetu Warszawskiego, radna PiS w Warszawie, której drzwi do MSZ otworzył Andrzej Papierz w ramach akcji ściągania do służby państwowej „rokującej" młodzieży.

Niemal równocześnie z nią w Los Angeles pojawiła się jako konsul generalna Marta Wolańska. Ona z kolei przyszła ze spółek skarbu państwa. Była prezeską zarządu Pekao Leasing, a od 2020 r. prezeską zarządu PGE Synergia.

„Jeżeli chodzi o moje doświadczenie, nie pełniłam funkcji i nie byłam konsulem, nie byłam ambasadorem – mówiła w Sejmie. – Myślę, że to jest mój największy atut. Dlatego, że mam doświadczenie zarówno z administracji, jak i z biznesu i jestem w stanie połączyć to, co jest najlepszego zarówno z administracji, jak i z biznesu".

Nowy Jork, Chicago, Houston i Los Angeles – Polska w USA ma cztery konsulaty generalne i taką ekipą PiS to obsadziło. Przydacz był zachwycony.

Attaché



Stery Airbusa, którym Leon XIV podróżował z Paryża do Lourdes i z Lourdes do Metzu, powierzone zostały doświadczonej pilotce Air France Clémence Coussonneau. Nz. przed lądowaniem na lotnisku Metz-Nancy-Lorraine, 28 września 2026 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl f93f182c32









PENETRACJE

FAKTY PO MITACH

TOMASZ TUROWSKI,

POETA, PISARZ, AS WYWIADU PRL I RP

Do gabinetu prezydenckiego wpadł oficer ochrony: – Proszę włączyć telewizor. Coś dziwnego dzieje się w Nowym Jorku! Obraz emanował surrealizmem. Właśnie porwany przez terrorystów samolot pasażerski wbijał się w strzelisty prostopadłościan wieżowca World Trade Center. Tak mógłby wyglądać początek sensacyjnego filmu. Byliśmy świadkami wstrząsającej tragedii. 11 września 2001 r. na audiencji u prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego w momencie zamachu odbierałem prezydenckie listy uwierzytelniające przed wyjazdem 12 września w celu objęcia placówki w Hawanie. Prezydent zapytał: – Oczywiście zmieni pan decyzję jutrzejszego lotu? – W żadnym razie – odpowiedziałem. – Jutro będzie najbezpieczniej, bo uaktywnią się systemy bezpieczeństwa na całym świecie.

zwierciadło

PROF. ALEKSANDRA PRZEGALIŃSKA,

BADACZKA ROZWOJU NOWYCH TECHNOLOGII

Infrastruktura ma granice, bo prąd ma limit. Nie może nagle 7 mld ludzi się podpiąć i całymi dniami rozmawiać ze sztuczną inteligencją. Przez dwa, trzy lata spółki udostępniały technologię prawie za darmo, żeby przyzwyczaić ludzi. A teraz słyszymy, że za AI trzeba będzie płacić jak za prąd i za wodę. Dobre modele, które ciekawie odpowiadają na pytania, są drogie w utrzymaniu i treningu. (…) Głęboka emocjonalna relacja z AI? Tam nie ma stanów afektywnych, nie ma emocji. Mogą być tylko po twojej stronie. Jako osoba sceptyczna co do dystopii i utopii, jestem spokojna o świat. Nigdy nie jest tak radykalnie, jak przewidujemy. Świat w końcu zawsze wraca na swoje miejsce.

TYGODNIK ANGORA PRZEGLĄD PRASY KRAJOWEJ I ŚWIATOWEJ

SEBASTIAN ŚWIDERSKI,

PREZES POLSKIEGO ZWIĄZKU PIŁKI SIATKOWEJ

Nie ulega wątpliwości, że generałem zespołu jest Nikola Grbić, on wszystko scala. Kamil Semeniuk we włoskiej Perugii jest świetnym podstawowym siatkarzem, gra od deski do deski, wykonuje czarną robotę. Ale w reprezentacji dla Nikoli Grbicia jest żelaznym zmianowym, na którego zawsze można liczyć. Kamil przyjmuje to do wiadomości, zdaje sobie sprawę, że jest ważniejszym zmiennikiem niż tym z pierwszej szóstki. Wszyscy chcieliby grać w podstawowym składzie, ale trzeba znaleźć to właściwe miejsce i tutaj należą się wielkie brawa trenerowi. Grbić potrafi wszystko poukładać, wycisnąć maksa z tych, którzy tylko w cudzysłowie są rezerwowymi. Doskonale wiedzą, że muszą być zawsze gotowi, by dać drużynie coś wyjątkowego.

Twój STYL

DAWID OGRODNIK,

AKTOR

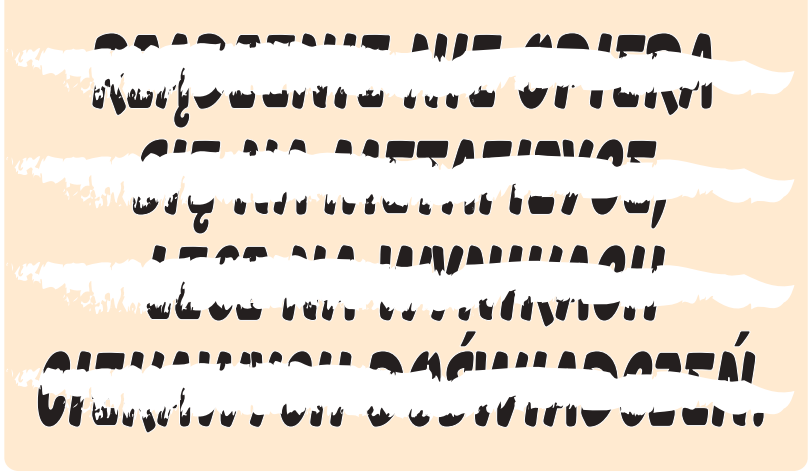
Odkąd moja córka nauczyła się mówić, ciągle powtarzam: „Przewiduj kolejny krok”. Oraz: „Pamiętaj, że zawsze jest jakieś rozwiązanie”. Znalezienie wyjścia z trudnej sytuacji może okazać się wartościowsze niż stawianie na swoim za wszelką cenę. Trochę czasu mi zajęło, zanim to zrozumiałem. Długo przez chory perfekcjonizm dyskutowałem o każdym elemencie filmu, spalałem się emocjonalnie, wkurzałem, irytowałem, krzyczałem… Uważałem, że skoro mam rację, muszę doprowadzić do tego, żeby było tak, jak myślę. To mnie wyniszczało.

FOT. AMEM, SARKAFARKA (3)

eprasa.pl f93f182c32

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – myśl, której autorem jest Napoleon Bonaparte.



ROZWIĄZANIA: RZĄDZENIE NIE OPIERA SIĘ NA METAFIZYCE, LECZ NA WYNIKACH CIEKAWYCH DOŚWIADCZEŃ.



Aby język giętki…

DAVID OST O NAJWAŻNIEJSZYM PYTANIU

Kto potrafi zorganizować społeczny gniew i w czyim imieniu będzie mówił?

OLGIERD ŁUKASZEWICZ O WETACH NAWROCKIEGO

Dziś weto prezydenta jest jak weto pojedynczego posła, który kiedyś zrywał sejmy.

GEN. BOGUSŁAW PACEK O TAJWANIE

To dziś najcenniejszy łup na świecie – gra idzie o przejęcie monopolu na nowoczesność.

PROF. EWA ŁĘTOWSKA O MACIEJU BERKU

Nie wyobrażam sobie bardziej niedźwiedziej przysługi niż sposób promowania jego kandydatury przez samego premiera.

ARTUR ANDRUS PO LEKTURZE „DZIECI Z BULLERBYN"

Powinno się po 50 latach obowiązkowo wracać do książek z dzieciństwa i wprowadzać w życie zawarte w nich mądrości.

PAULINA HOLTZ O NAGRYWANIU AUDIOBOOKÓW

Jeśli książka jest dobrze napisana – to nie czytam jej, tylko… gram monodram, by opowiadana historia była sugestywna.

MAREK KAMIŃSKI O SYNU KAJU

Podczas wyprawy na biegun południowy zbudowaliśmy więź, która jest trudna do opisania. Było znacznie ciężej, niż to sobie wyobrażał.

MARIA PAKULNIS O BUTACH

Tworzę autorskie kolekcje. Są wyjątkowe, ręcznie wykonane w rodzinnej włoskiej manufakturze, z najlepszej jakości surowców.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Dział promocji:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl f93f182c32



American Dream
Wanda Marzec





Malarska droga Wandy Marzec rozpoczęła się u progu lat 70. Wczesne prace artystki cechuje żywa kolorystyka, dekoracyjność i przenikanie się codzienności ze światem marzeń i fantazji. Ważnym etapem jej twórczości był 20-letni pobyt w USA i uczestnictwo w nowojorskim życiu artystycznym. Przełom lat 70. i 80. przyniósł wyraźną zmianę w jej malarstwie. Osobiste doświadczenia znalazły odzwierciedlenie w stonowanej kolorystyce, zdeformowanych postaciach oraz niepokojących miejskich pejzażach. Obrazy stały się refleksją nad samotnością, ludzkim losem i niespełnionymi marzeniami.

Galeria LETO
Warszawa, ul. Dzielna 5
do 30 października



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f93f182c32

tcn TEATR COLLEGIUM NOBILIUM

AKT II maska

SEZON 2026/2027

Repertuar | **Październik** 2026

16 PT | 19:00	**ZAWÓD NASZYCH MARZEŃ** premiera Gadomski, Gosławska, Nierzwicka, Oleś SALA 205 C | WSTĘP WOLNY	
17 SB | 19:00	**ZAWÓD NASZYCH MARZEŃ** Gadomski, Gosławska, Nierzwicka, Oleś SALA 205 C | WSTĘP WOLNY	
18 ND | 19:00	**ZAWÓD NASZYCH MARZEŃ** Gadomski, Gosławska, Nierzwicka, Oleś SALA 205 C | WSTĘP WOLNY	
23 PT | 19:00	**NIEZIDENTYFIKOWANE SZCZĄTKI LUDZKIE I PRAWDZIWA NATURA MIŁOŚCI** premiera reż. Jarosław Tumidajski SALA IM. JANA KRECZMARA	
24 SB | 19:00	**NIEZIDENTYFIKOWANE SZCZĄTKI LUDZKIE I PRAWDZIWA NATURA MIŁOŚCI** reż. Jarosław Tumidajski SALA IM. JANA KRECZMARA	
25 ND | 19:00	**NIEZIDENTYFIKOWANE SZCZĄTKI LUDZKIE I PRAWDZIWA NATURA MIŁOŚCI** reż. Jarosław Tumidajski SALA IM. JANA KRECZMARA	
27 WT | 19:00	**NIEZIDENTYFIKOWANE SZCZĄTKI LUDZKIE I PRAWDZIWA NATURA MIŁOŚCI** reż. Jarosław Tumidajski SALA IM. JANA KRECZMARA	
28 ŚR | 19:00	**NIEZIDENTYFIKOWANE SZCZĄTKI LUDZKIE I PRAWDZIWA NATURA MIŁOŚCI** reż. Jarosław Tumidajski SALA IM. JANA KRECZMARA	



MIODOWA 22/24

STACJONARNA KASA TEATRU:
WTOREK–PIĄTEK: OD 17:30 DO ROZPOCZĘCIA SPEKTAKLU | SOBOTA: OD 15:00 DO 17:00 LUB DO ROZPOCZĘCIA SPEKTAKLU
NIEDZIELA: OD 17:30 DO ROZPOCZĘCIA SPEKTAKLU (WYŁĄCZNIE W DNI, W KTÓRYCH JEST GRANY SPEKTAKL)
MAILOWY LUB **TELEFONICZNY** KONTAKT Z KASĄ TEATRU: 662 155 960 kasa@e-at.edu.pl:
WTOREK–PIĄTEK: 11:00–19:00 | SOBOTA: 13:00–17:00 LUB DO ROZPOCZĘCIA SPEKTAKLU
NIEDZIELA: 13:00–17:00 LUB DO ROZPOCZĘCIA SPEKTAKLU
TCN.AT.EDU.PL

COLLEGIUM NOBILIUM TEATR

AKADEMIA TEATRALNA WARSZAWA

Patroni medialni: chilli zet, Przegląd

Partnerzy Teatru: biletomat PLG

eprasa.pl f93f182c32

20 LAT

Elżbieta Jodłowska

KLIMAKTERIUM

...i już

3 listopada

Klub Stodoła
Warszawa



Elżbieta Jodłowska

KLIMAKTERIUM 2

czyli
menopauzy szał

25 listopada

Klub Stodoła
Warszawa



BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL** | **STODOLA.PL**

eprasa.pl f93f182c32